

PRADAWNA ISTOTA ZNALAZŁA PRZEJŚCIE
DO NASZEGO ŚWIATA



DEMONOLOG

A N D R E W

P Y P E R

ZYSKISKA
WYDAWNICTWO

Andrew Pyper

DEMONOLOG

przekład
Adrian Napieralski

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Drogi czytelniku,

Demonolog oznacza odwrót — a może nawet swego rodzaju promocję — od mojej poprzedniej pracy: niepokornej, dojrzałej powieści z gatunku horroru. W przeszłości z pewnością używałem terminu „horror”. Jednak tym razem całkowicie zagłębiłem się w konwencję gatunku grozy. To trochę tak, jakbym przez kilka lat wspinał się po schodach tylko po to, żeby u ich szczytu napotkać drzwi. Ta książka pozwoliła mi te drzwi otworzyć. *Demonolog* posuwa się o krok dalej od przekonania, że demony są prawdziwe. Postanowiłem jednak ująć temat z perspektywy niewierzącego, z mojej osobistej perspektywy, która zapewne aż tak bardzo nie różni się od twojej: świeckiej (mniej więcej), szkolnej, sceptycznej w odniesieniu do tego, co ponadnaturalne. Ten punkt widzenia podziela również mój protagonista David Ullman, człowiek postrzegający demony jako wytwory wyobraźni i nic więcej. Jest to założenie, które okazuje się błędne. Podczas pracy nad *Demonologiem* moim celem było stworzenie nowej demonicznej mitologii, która znalazłaby uzasadnienie w odniesieniu do naszych współczesnych realiów. To oznaczało jednak, że powieść musi być przeznaczona zarówno dla wielbicieli horrorów, jak i czytelników, którzy tego typu książki omijają z daleka. W jaki sposób przekonać wątpiących? W jaki sposób przekonać samego siebie? Trzeba napisać książkę o zwątpieniu.

Chcę, aby czytelnicy podążali tą samą ścieżką, którą kroczy mój protagonista, od zwątpienia do wiary. Jest to podróż, do której celu dociera się nie tyle przez uwierzenie w istnienie demonów, ile przez emocjonalny związek ze zrozpaczonym Davidem Ullmanem, jego pragnieniem stawienia czoła śmierci w imię ogromnej miłości. Z umysłem otwartym szerzej dzięki sercu. Mimo wszystko trudno było znaleźć odpowiednią bazę dla książki. Które spośród wszystkich źródeł — biblijnych, apokryficznych, historycznych — z których mogłem czerpać natchnienie, okaże się odpowiednie dla wykreowanego świata? Ostatecznie podpowiedział mi David. Poprosił o nadanie mu profesji, więc mu ją dałem. Profesor literatury specjalizujący się w *Raju utraconym* Milтона, poemacie o upadku szatana. Historia ta odnosi się wspólnie do czarnego charakteru, przez co pozwala tak dogłębnie poczuć jego ból, którego monstrialność jest jeszcze bardziej przerażająca ze względu na ludzką osobowość Lucyfera. *Demonolog* wrywa stronę z dzieła Milтона, zachęcając nas do uwierzenia w istnienie demonów nie przez ślepe wiary, lecz dzięki spojrzeniu przez przerażająco cienką błonę oddzielającą dobro od zła. W tej perspektywie okrucieństwa, które ludzie wyrządzają sobie nawzajem każdego dnia

— okrucieństwa, które wyrządzamy samym sobie — ujawniają się jako demony działające tuż przed naszymi oczyma.

Andrew Pyper

Miliony stworzeń duchowych po ziemi
Krażą, lecz dla nas są niedostrzegalne
Tak kiedy śpimy, jak po przebudzeniu¹.

JOHN MILTON

Raj utracony

¹. Autorem tłumaczeń wszystkich fragmentów *Raju utraconego* Johna Milтона jest Maciej Słomczyński (przytłum.).

Ostatniej nocy znów miałam sen. Tyle że wcale nie śniłam. Wiem o tym, bo kiedy do mnie przychodzi, wciąż tkwię na jawie.

Moje biurko. Mapa na ścianie. Wypchane zwierzęta, którymi już się nie bawię, ale których zarazem nie chcę schować do szafy w obawie przed zranieniem uczuć taty. Mogę być w łóżku. Mogę też stać tutaj, szukając zagubionej skarpety. Potem znikam.

Tym razem nie pokazuje mi czegoś tak po prostu. Tym razem zabiera mnie stąd TAM.

Stoję na brzegu rzeki wypełnionej ogniem. W głowie brzęczą mi tysiące os. Walczą i umierają w mojej czaszce, a ich ciała piętczą się tuż za moimi oczami. Żądłq i żądłq.

Głos taty dobiegający gdzieś zza rzeki. Woła mnie po imieniu.

Jeszcze nigdy nie słyszałam u niego takiego głosu. Jest tak przerażony, że nie potrafi tego ukryć, choć najwyraźniej próbuje (on ZAWSZE próbuje).

Obok przepływa ciało martwego chłopca.

Twarzą do dołu. Czekam, aż jego głowa się wynurzy, żeby zobaczyć otwory po oczach, żeby powiedział coś zsiniałymi ustami. Żeby powiedział o jednej z tych straszliwych rzeczy, które on mu zrobił. Przepływa jednak dalej niczym kłoda.

Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu, choć wiem, że jest prawdziwe.

Rzeka stanowi granicę między nim a Tamtym Miejscem. A ja stoję po niewłaściwej stronie.

Za plecami rozciąga się ciemny las, ale on nie jest tym, czym być powinien.

Próbuję dotrzeć tam, gdzie przebywa mój tata. Dotykam palcami stóp rzeki, która krzyczy z bólu. Jakieś ręce ciągną mnie do tyłu w stronę drzew. Wydaje się, że to ręce człowieka, ale to nie człowiek wciska mi palce do ust. Czuję paznokcie, które drapią tylną część mojego gardła. Skóra, która smakiem przypomina ziemię.

Ale krótko przed tym, kiedy znajduję się z powrotem w swoim pokoju z zagubioną skarpetą w dłoni, zdaję sobie sprawę, że wołałam ojca tak samo intensywnie, jak on wołał mnie. Przez cały czas powtarzałam te same słowa. Nie były to słowa wypowiedziane ustami i niesione powietrzem, lecz słowa pochodzące z serca, przenikające przez ziemię, dzięki czemu słyszeliśmy je tylko my dwoje.

ODNAJDŹ MNIE.

- I -
NIESTWORZONA
NOC



Rzędy twarzy. W każdym semestrze wydają się coraz młodsze. Oczywiście to tylko ja się starzeję wśród studentów pierwszego roku, którzy przychodzą i odchodzą. To takie samo złudzenie jak wówczas, kiedy patrzymy przez tylną szybę samochodu i wydaje się nam, że to krajobraz ucieka do tyłu, podczas gdy tak naprawdę to my się od niego oddalamy.

Prowadzę ten wykład już od wystarczająco wielu lat, żeby pozwolić sobie na tego typu rozmyślenia nawet w tej samej chwili, kiedy przemawiam do dwustu studentów. Już czas to wszystko podsumować. Podejmuję ostatnią próbę skierowaną do kilku studentów notujących na laptopach, ostatnią próbę opowiedzenia o pięknie poematu, któremu poświęciłem większą część zawodowego życia.

— I w ten sposób dochodzimy do końca — mówię i zawieszam głos.

Czekam, aż palce oderwą się od klawiatur. Biorę głęboki wdech w niedostatecznie przewietrzonej sali wykładowej, jak to zawsze czynię, i czuję, jak ogarnia mnie głęboki smutek związany z czytaniem ostatnich słów poematu.

*Kilka prostych łez wylali,
Lecz je otarli. Gdyż oto przed nimi
Świat cały leżał i mogli wybierać
Miejsce spoczynku. Opatrzność ich wiodła.
A więc dłoń w dłoni i krokiem niepewnym
Z wolna przez Eden ruszyli samotnie.*

Kiedy wypowiadam ostatnie słowa, myślę o mojej córce. Od momentu jej narodzin — a nawet wcześniej, kiedy wystarczała mi sama myśl o dziecku, które chciałem kiedyś mieć — zawsze wyobrażałem sobie, że to właśnie dłoń Tess spoczywa w mojej, kiedy wychodzę z ogrodu.

— Samotność — kontynuuję. — Do tego właśnie sprowadza się całe to dzieło. Nie do walki dobra ze złem ani do kampanii usprawiedliwiającej relację Boga do ludzi. Jest to najbardziej przekonujący dowód, którym dysponujemy — bardziej przekonujący niż sama Biblia — że piekło istnieje. Nie w postaci ognistej jamy ani

jakiegoś miejsca nad lub pod nami. Ono istnieje w nas samych. W głębi naszej świadomości. To poznanie siebie samego, odkrycie wciąż dającej o sobie znać samotności oraz wynikającego z niej cierpienia i przetrwanie tego stanu. To wygnanie. To wędrowanie. Co jest prawdziwym owocem grzechu pierworodnego? Samoświadomość! To tam trafiają nasi biedni nowożeńcy. I choć są razem, pozostają osamotnieni w swej samoświadomości. Gdzie mogą się teraz włóczyć? „Gdziekolwiek”, odpowie wam wąż. „Cały świat należy do nich!” A mimo to są skazani na wybieranie własnej „samotnej drogi”. To straszna, a nawet przerażająca podróż. Ale każdy z nas musi ją przeżyć, prędzej czy później.

Tu robię jeszcze dłuższą pauzę. Wystarczająco długą, by groziło to zinterpretowaniem jej jako końca wykładu, by ktoś wstał, zatrzasnął laptopa czy zakaszał. Ale nigdy się tak nie dzieje.

— Zadajcie sobie pytanie — mówię, ściskając mocniej wymagowaną dłoń Tess. — Dokąd pójdziecie teraz, kiedy Eden pozostał za wami?

Niemal natychmiast w powietrze wystrzeliwuje jedna ręka. Chłopak z tylnego rzędu, z którym ani nigdy nie rozmawiałem, ani nawet dotąd nie kojarzyłem.

— Tak?

— Czy to pytanie będzie na egzaminie?

Nazywam się David Ullman. Wykładam na Wydziale Literatury Anglojęzycznej Uniwersytetu Columbia na Manhattanie. Jestem specjalistą w zakresie mitologii i judeochrześcijańskich opowieści religijnych, choć moim źródłem utrzymania, tekstem, którego studium krytycznemu zawdzięczam etat w Lidze Bluszczonej¹ i zaproszenia na różne bezsensowne spotkania na całym świecie, jest *Raj utracony* autorstwa Johna Milтона. Upadłe anioły, kuszenie przez węża, Adam i Ewa, grzech pierworodny. Siedemnastowieczny poemat epicki odtwarzający wydarzenia biblijne z nieco skrzywionej perspektywy, która może wywołać u czytelnika sympatię do szatana, przywódcy zbuntowanych aniołów zniechęconych gderliwym, autorytarnym Bogiem, którzy wyłamali się z szeregów i postanowili uprzykrzyć życie ludziom.

To zabawny (pobożni mogliby nawet powiedzieć „obłudny”) sposób na życie — poświęcić je na edukowanie innych o czymś, w co sam nie wierzę. Ateistyczny badacz biblijny. Specjalista od demonów, który uważa, że zło jest wytworem rąk ludzkich. Pisywałem eseje na temat cudów — uleczonych trędowatych, zamiany wody w wino, egzorcyzmów — choć nigdy nie widziałem sztuczki iluzjonisty, której nie potrafiłbym rozgryźć. Moim usprawiedliwieniem dla tych wyraźnych

sprzeczności jest fakt istnienia rzeczy, które — mówiąc kulturalnie — mają znaczenie, faktycznie nie istniejąc. Diabeł. Anioły. Niebo. Piekło. Stanowią one część naszego życia, nawet jeśli nigdy ich nie zobaczymy, nie dotkniemy, nie udowodnimy ich realności. Wytwory wyobraźni.

Umysł jest dla siebie

Siedzibą, może sam w sobie przemienić

Piekło w niebiosach, a niebiosy w piekło.

To słowa Johna Milтона, przemawiającego przez szatana, swojego najznamienitszego protagonistę. A ja wierzę staruszkowi — obu staruszkom — że się nie mylą.

Wilgotne powietrze kampusu Morningside należącego do Uniwersytetu Columbia jest przesiąknięte egzaminacyjnym stresem i tylko częściowo zawdzięcza odświeżenie nowojorskiemu deszczowi. Wygłosiłem właśnie swój ostatni w semestrze wiosennym wykład, który zawsze przynosi słodko-gorzka ulgę, świadomość zakończenia kolejnego roku akademickiego (lekcje, godziny urzędowania i raporty z ocen niemal ukończone), lecz również tego, że upływają kolejne lata (a wraz z nimi kolejne nieprzyjemne kliknięcia na osobistym drogomierzu). Niemniej jednak w przeciwieństwie do wielu wychuchanych szefów, którzy otaczają mnie na wydziale i robią zamieszanie wokół bezsensownych planów spotkań Komisji Wydziałowej, ja wciąż lubię uczyć. Nadal lubię studentów, którzy po raz pierwszy mają styczność z dojrzałą literaturą. Owszem, większość z nich jest tutaj wyłącznie w drodze do czegoś, co „przyniesie konkretne pieniądze” — medycyny, prawa czy związku małżeńskiego z kimś zamożnym, ale ta większość wciąż nie jest całkowicie poza zasięgiem. Jeśli nie moim, to poezji.

Minęła trzecia po południu. Czas przespacerować się brukowanym dziedzińcem do mojego biura w Philosophy Hall, rzucić plik spóźnionych prac, które piętrzą się na moim biurku w sali wykładowej, a następnie pojechać do Grand Central na spotkanie z Elaine O'Brien, z którą umówiłem się na corocznego drinka na zakończenie semestru w barze Ostryga.

Choć Elaine wykłada na Wydziale Psychologii, mam z nią lepszy kontakt aniżeli z kimkolwiek innym na moim wydziale. Mógłbym nawet zaryzykować stwierdzenie, że mam z nią lepszy kontakt niż z kimkolwiek innym, kogo znam w Nowym Jorku. Jest w moim wieku. Czterdzieści trzy lata, schludna, często odwiedza korty do

squasha i biega w półmaratonach. Jest wdową. Jej mąż zmarł niespodziewanie na zawał przed czterema laty, w tym samym roku, w którym rozpocząłem pracę na Columbii. Od razu ją polubiłem. Miała w sobie to, co uznawałem za prawdziwe poczucie humoru — nie opowiadała zbyt wielu kawałów, ale potrafiła obserwować i opowiadać o absurdach tego świata z dowcipem, w sposób, który zarazem trochę irytował, jak i budził nadzieję. Była również bardzo atrakcyjną kobietą, choć zaznaczam, że sam jestem żonaty. Traktuję jednak taki rodzaj podziwu dla koleżanki i okazjonalne wypady na drinka w sposób, w jaki uniwersytecki kodeks postępowania lubi określać praktycznie każde stosunki międzyludzkie, czyli jako „nieodpowiednie”.

Jak dotąd jednak między O'Brien a mną nie było niczego, co można by określić jako „nieodpowiednie”. Choć jednego skradzionego pocałunku przed wejściem do wagonu na linii New Haven, ani jednej flirciarskiej rozmowy na temat tego, co mogłoby się wydarzyć, gdybyśmy się znaleźli w hotelowym pokoju i zechcieli tak po prostu się przekonać. Nie musimy się specjalnie hamować — tak przynajmniej sądzę — i nie ogranicza nas całkowicie nasze wzajemne poszanowanie małżeńskich przysiąg (choć oboje wiemy, że moja żona rok temu wyrzuciła swoje przez okno dla tego wymuskanego dupka z Wydziału Fizyki, częstującego złośliwymi uśmieszkami Willa Jungera). Po prostu wierzę, że ja i O'Brien („Elaine” została dopiero po trzecim martini) nie poruszaliśmy tego tematu, gdyż obawialiśmy się, że mogłoby to splugawić nasze dotychczasowe relacje. A jakie one są? Głęboka, choć aseksualna intymność, której nigdy nie widziałem u żadnego mężczyzny czy kobiety od czasu dzieciństwa, a może i nawet wtedy.

Mimo wszystko sądzę, że przez większość czasu naszej przyjaźni łączył nas szczególny związek. Kiedy się spotykamy, rozmawiamy o rzeczach, których nie poruszałem już od dłuższego czasu z Diane. Dla O'Brien jest to dylemat dotyczący jej przyszłości — obawa przed perspektywą zestarzenia się w samotności przy jednoczesnym zrozumieniu, że przywykła do takiego życia, pobbając swoim nawykom. Kobieta „coraz bardziej nienadająca się do wzięcia za żonę”, jak to ujęła.

Jeśli chodzi o mnie, dotyczy to ciemnej chmury depresji. A może powinienem powiedzieć, że czuję się w pewnym sensie zobowiązany do traktowania tego jako depresję, podobnie jak czyni to połowa ludzi na tym świecie, choć nie pasuje to dokładnie do mojego przypadku. Przez całe życie ścigały mnie czarne psy niewytłumaczalnego przynębienia, mimo że powiodło mi się w życiu zawodowym, na początku moje małżeństwo wydawało się obiecujące i w końcu spotkało mnie

szczęście największe ze wszystkich — dziecko, pogodna i czuła córka, która przysłała na świat po ciąży, na której wszyscy lekarze położyli krzyżyk. Stał się cud, jedyny, który mogłem uznać za prawdziwy. Po narodzinach Tess czarne psy odeszły na pewien czas. Kiedy jednak przestała być berbeciem i weszła w wypełniony radosnym szczebiotaniem okres szkolny, psy powróciły, bardziej głodne niż dotąd. Nawet moja miłość do Tess, nawet jej szeptane łóżkowe życzenia: „Nie smuć się, tatusiu”, nie były w stanie ich odegnąć.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że coś ze mną jest nie tak. Nie było to oczywiście nic zauważalnego z zewnątrz — jestem z całą pewnością „nienaganny”, jak z dumą określiła mnie Diane, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Teraz używa tego samego określenia tonem, który niesie za sobą bolesne skojarzenia. Nawet wewnątrz jestem szczerze pozbawiony litości nad sobą samym czy budzących frustrację ambicji, co jest dość nietypowe dla pracownika uniwersytetu. Nie, moje cienie pochodzą z bardziej ulotnego źródła niż zwyczajne teksty literackie. A jeśli mowa o objawach, mógłbym postawić kilka ptaszków na liście symptomów ostrzegawczych umieszczanych nad drzwiami wagonów metra. Drażliwość czy agresja? Tylko wówczas, kiedy oglądam wiadomości. Brak apetytu? Nie. Od momentu opuszczenia college'u bezskutecznie usiłuję pozbyć się pięciu zbędnych kilogramów. Problemy z koncentracją? Zarabiam na życie czytaniem poematów pewnego nieżyjącego już białego faceta i studenckich esejów — koncentracja jest kluczem do sukcesu w mojej pracy.

Moją bolączką jest raczej czyjaś obecność, której nie potrafię zdefiniować, pozbawiająca mnie przyjemności samotnego przebywania samego ze sobą. Poczucie, że posiadam niewidzialnego towarzysza, który podąża za mną w życiu, wyczekującego na odpowiednią okazję, by nawiązać relację bliższą od tej, którą już zdołał nawiązać. W dzieciństwie na próżno próbowałem nadać mu osobowość, traktując jak wyimaginowanego przyjaciela, podobnie jak, z tego co słyszałem, czyni to wiele dzieci. Ale mój towarzysz tylko za mną podążał — nie bawił się, nie chronił ani nie pocieszał. Jego głównym celem było — i nadal jest — zapewnianie mrocznego towarzystwa, złowrogię w swym uporczywym milczeniu.

Owszem, można by to określić typową profesorską semantyką, ale dla mnie oznacza to bardziej melancholię niż cokolwiek tak klinicznego, jak nierównowaga chemiczna depresji. Robert Burton określił to w swojej *Anatomii melancholii* (wydanej czterysta lat temu, kiedy Milton dopiero szkicował swojego szatana) mianem „udręczenia ducha”. To trochę tak, jakby całe moje życie było nawiedzone.

O'Brien niemal się poddała, sugerując, że powinienem się spotkać z psychiatrą. Przyzwyczała się jednak do mojej odpowiedzi: „Dlaczego w takim razie powinienem mieć ciebie?”.

Uśmiecham się przelotnie na wspomnienie tych rozmów, lecz uśmiech szybko gaśnie na widok Willa Jungera schodzącego po kamiennych stopniach z biblioteki. Macha do mnie ręką, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Jakby nagle umknął mu fakt, że przez dziesięć miesięcy posuwał moją żonę.

— Davidzie! Mogę na słówko?

Jak ten facet wygląda? Jest w nim coś przebiegłego i zdumiewająco mięsożernego. Coś z pazurami.

— Kolejny rok — mówi, stając przede mną i teatralnie wstrzymując oddech.

Zerka na mnie z ukosa, szczerząc zęby. Sądzę, że to właśnie takie miny zostały zaliczone do „uroczych” podczas pierwszych kaw wypitych z moją żoną po zajęciach z jogi. Takiego właśnie słowa użyła, kiedy zadałem zawsze pierwsze i zawsze bezsensowne pytanie rogowca: „Dlaczego on?”. Wzruszyła ramionami, jakby to wcale nie wymagało wyjaśnień, i była zaskoczona, że mogło. „Jest uroczy”, odpowiedziała, lądując na słowie niczym motyl podejmujący decyzję, na którym kwiatku przysiąść.

— Posłuchaj, nie chcę tego utrudniać — zaczyna Will Junger. — Przykro mi, że cała ta sprawa potoczyła się w taki sposób.

— Jaki?

— Słucham?

— W jaki sposób potoczyła się „ta sprawa”?

Wywija dolną wargę w wyrazie smutku. Teoria strun. Tego właśnie uczy i zapewne o tym rozmawia z Diane, kiedy już ją zaliczy. Jak cała materia po odarciu do rdzenia jest związana przez niezwykle maleńkie struny. Nie znam się na materii, ale jestem skłonny uwierzyć, że cały Will Junger się z niej składa. Niewidzialne nitki unoszą mu brwi i kąciki ust jak doskonale wymodelowanej kukielce.

— Po prostu staram się być dojrzały — odpowiada.

— Masz dzieci, Will?

— Dzieci? Nie.

— Oczywiście, że nie. I nigdy nie będziesz ich mieć, samolubny smarkaczu — rzucam, wypełniając płuca wilgotnym powietrzem. — „Po prostu staram się być dojrzały”? Pieprz się. Myślisz, że to scena z jakiegoś niskobudżetowego dramatu, w którym zabierasz moją żonę w siną dal? Taką scenę, pełną kłamstw, pewien facet

z „The Timesa” określił mianem naturalnie zagranych. Ale w prawdziwym życiu jesteśmy kiepskimi aktorami. Patałachami, którzy cierpią. Ty tego nie czujesz, bo nie potrafisz, ale ból, który nam zadajesz, całej mojej rodzinie, niszczy nasze życie, to, co razem stworzyliśmy. To, co mieliśmy.

— Posłuchaj, Davidzie. Ja...

— Mam córkę — kontynuuję, przetaczając się po nim niczym walec. — Małą dziewczynkę, która wie, że coś jest nie tak, która ucieka w jakieś mroczne miejsce, a ja nie potrafię jej stamtąd wyciągnąć. Czy ty masz pojęcie, jak to jest obserwować, jak twoje dziecko, twój cały świat rozpada się na kawałki? Oczywiście, że nie. Jesteś pusty. Socjopata summa cum laude, który zarabia na życie, wykładając praktycznie o niczym. O niewidzialnych strunach! Jesteś specjalistą od niczego. Chodzącą i gadającą próżnią.

Nie spodziewałem się, że powiem to wszystko, ale cieszę się, że tak się stało. Później będę żałował, że nie wskoczyłem do maszyny czasu tylko po to, żeby powrócić do tej chwili i przygotować jeszcze lepsze obelgi. Ale póki co brzmi to całkiem dobrze.

— To śmieszne, że mówisz takie rzeczy o mnie — odpowiada.

— Śmieszne?

— Ironiczne. Może to lepsze określenie.

— „Ironiczne” nigdy nie jest lepszym określeniem.

— A tak przy okazji, to był pomysł Diane. Że teraz rozmawiamy.

— Kłamiesz. Ona wie, co o tobie myślę.

— Ale czy wiesz, co ona myśli o tobie?

Sznurki kukiełki się uniosły. Will Junger uśmiecha się w nieoczekiwanym poczuciu triumfu.

— Ciebie tu nie ma — mówi. — Tak właśnie to określa. „David? A skąd mam wiedzieć, co czuje David? Jego tu nie ma”.

Nie znajduję na to żadnej odpowiedzi. Bo to prawda. To był wyrok śmierci dla naszego małżeństwa, a ja byłem bezsilny wobec winy, którą ponosiłem. Nie potrafiłem jej naprawić. To nie pracoholizm, przygody na boku ani obsesyjne hobby, ani odległość, na jaką wycofują się mężczyźni, kiedy docierają do wieku średniego. Ta część mnie, która potrzebuje Diane... Jej już po prostu nie ma. W ostatnim czasie mogę przebywać w tym samym pokoju, w tym samym łóżku, ona wyciąga do mnie rękę, ale to tak, jakby próbowała chwycić księżyc. To, co chciałbym

wiedzieć, o co mógłbym się modlić, gdybym wierzył, że modlitwy przynoszą efekty, to zrozumieć, gdzie podział się ten brakujący kawałek mnie. Co zostawiłem za sobą? Czego nigdy nie miałem, kiedy zaczynałem? Jakie imię należy nadać pasożytowi, który żywił się mną bez mojej wiedzy?

Wychodzi słońce i nagle całe miasto jest skąpane w oparach, a schody prowadzące do biblioteki lśnią. Will Junger marszczy nos. Jest kotem. Teraz to dostrzegam, szkoda, że za późno. Czarnym kotem, który przeszedł mi drogę.

— Zapowiada się pary dzień — mówi i odchodzi w stronę promieni słońca.

Mijam wykonany z brązu pomnik *Mysliciela* Rodina („Wygląda, jakby bolała go głowa”, powiedziała kiedyś o nim Tess) i przechodzę do Philosophy Hall. Mój gabinet mieści się na trzecim piętrze, wspinam się więc po schodach uczepony poręczy i wyczerpany niespodziewanym upałem.

Kiedy docieram na moje piętro i mijam narożnik, atakują mnie tak silne zawroty głowy, że opieram się o ścianę i przytulam do chłodnej zaprawy. Miewam od czasu do czasu napady paniki, które natychmiast pozbawiają mnie tchu. Moja matka nazywała to „okresami zawrotów głowy”. Ale jest w tym coś jeszcze. Nieokreślone uczucie spadania. Nie z wysokości, ale w pozbawioną granic przestrzeń. Otchłani, która połyka mnie, budynek i cały świat jednym, bezlitosnym przełknięciem.

Potem wszystko mija. Cieszę się, że nikt nie zobaczył moich spontanicznych pieszczot ze ścianą.

Nikt, nie licząc kobiety siedzącej na krześle przy drzwiach do mojego gabinetu.

Zbyt dojrzała jak na studentkę. Zbyt dobrze ubrana, by mogła pracować na uczelni. Początkowo oceniam ją na trzydzieści kilka lat, ale kiedy podchodzę bliżej, wydaje się starsza i nadmiernie koścista, przedwcześnie postarzała przez zaburzenia łaknienia. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że kobieta głoduje. Cechuje ją kruchość, której nie jest w stanie zamaskować szyty na miarę żakiet i długie, farbowane, czarne włosy.

— Profesor Ullman?

W jej akcencie daje się słyszeć jakaś europejska nuta. Może to być zabarwiony amerykańskim francuski, niemiecki lub czeski. Akcent, który raczej ukrywa pochodzenie, niż je ujawnia.

— Nie mam dzisiaj dyżuru.

— Oczywiście. Przeczytałam kartkę na pańskich drzwiach.

— Czy przyszła pani w sprawie studenta? Czy pani dzieć ko uczestniczy w moich

zajęciach?

Przywykłem już do tej sceny. Nadopiekuńczy rodzic, który wykorzystał już trzecią hipotekę, żeby tylko załatwić dziecku studia na wymyślnej uczelni, i usprawiedliwia to wielką nadzieją w stosunku do swojego niezbyt zdolnego studenta. Jednak nawet w chwili, kiedy zadaję kobiecie to pytanie, wiem dobrze, że nie przyszła w podobnej sprawie. Znalazła się tutaj z mojego powodu.

— Nie, nie — odpowiada pospiesznie, odgarniając zbłąkany kosmyk ze swych ust. — Przyszedłam, aby przekazać zaproszenie.

— Moja skrzynka pocztowa znajduje się na dole. Może pani tam zostawić to, co zostało zaadresowane na moje nazwisko.

— To zaproszenie, które mam przekazać ustnie.

Wstaje. Jest wyższa, niż sądziłem. I choć jest niepokojąco chuda, na co zwróciłem uwagę, kiedy siedziała, nie widać u niej wyraźnej słabości. Nie zwiesza ramion, a podbródek trzyma wysoko.

— Mam spotkanie w centrum — odpowiadam, choć już wyciągam dłoń w stronę klamki, żeby otworzyć drzwi. A ona już się odwraca, żeby za mną wejść.

— Zajmę panu tylko krótką chwilę, profesorze — dodaje. — Obiecuję, że nie spóźni się pan z mojego powodu.

Mój gabinet nie należy do przestronnych, a wypełnione książkami półki i sterty papierów jeszcze bardziej zacieśniają wolną przestrzeń. Zawsze odnosiłem wrażenie, że nadaje to pomieszczeniu przytulność, czyni je prawdziwym gniazdkiem dla uczonego. Jednak tego popołudnia, kiedy opadam na krzesło za biurkiem, a Chuda siada na starej ławce, na której moi studenci proszą o przedłużenie terminów czy błagają o lepsze stopnie, mam wrażenie, że się duszę. Powietrze jest rzadkie, jakbyśmy zostali przeniesieni na dużą wysokość.

Kobieta wygładza spódnicę długimi palcami. Jedynym elementem biżuterii, który ma na sobie, jest złoty krążek na kciuku. Leży na nim tak luźno, że obraca się swobodnie, kiedy kobieta porusza dłonią.

— W takim momencie zwyczajnie nakazują się przedstawić — mówię, zaskoczony nutką irytacji we własnym głosie. Nie wynika ona jednak z pozycji siły, lecz z samoobrony, jak u małego zwierzęcia, które nadyma się, tworząc iluzję zaciekłości przed drapieżnikiem.

— Niestety nie mogę ujawnić mojego prawdziwego nazwiska — odpowiada. — Mogłabym oczywiście zaferować coś w zamian, jakiś pseudonim, ale brzydzę się

wszelkiego rodzaju kłamstwami. Nawet takimi niewinnymi w wymiarze społecznym.

— W ten sposób zyskuje pani przewagę.

— Przewagę? Ale to nie jest żaden pojedynek, profesorze. Jesteśmy po tej samej stronie.

— To znaczy po jakiej?

Śmieje się w reakcji na moje pytanie. Chorobliwy grzechot ledwie kontrolowanego kaszlu. Unosi obie dłonie, by zakryć usta.

— Pani akcent. Nie potrafię go jednoznacznie umiejscowić — stwierdzam, kiedy się uspokaja, a krządek na jej kciuku przestaje wirować.

— Mieszkałam w wielu miejscach.

— Podróżniczka.

— Wędrowniczka. To słowo chyba lepiej mnie określa.

— Wędrowanie wskazuje na brak celu.

— Czyżby? Ale tak nie jest. Wędrówka przywiodła mnie właśnie tutaj.

Przesuwa się do przodu tak, że przysiadła na krawędzi ławki. Ruch o pięć, może osiem centymetrów. Wydaje się, jakby siedziała już na moim biurku, przestrzeń między nami nieznośnie się kurczy. Czuję teraz jej zapach. Powiew aromatu słomy prosto ze stodoły, woń hodowlanych zwierząt. Jest jeszcze coś, co sprawia, że jestem bliski skrzywienia się z niesmakiem przy kolejnym wdechu. I wtedy ona zaczyna mówić. Jej głos nie pozwala całkowicie zapomnieć o zapachu, ale w jakiś sposób zmniejsza jego intensywność.

— Reprezentuję klienta, który przede wszystkim oczekuje dyskrecji. A w tym konkretnym przypadku, co zapewne pan doceni, ten wymóg ogranicza mnie do przekazania jedynie najistotniejszych informacji.

— Według faktycznych potrzeb.

— Tak — potwierdza i przechyla głowę, jakby nigdy wcześniej nie słyszała takiego określenia. — Tylko tyle, ile musi pan wiedzieć.

— Czyli?

— Pańskie doświadczenie jest niezbędne mojemu klientowi w zrozumieniu pewnego przypadku o zasadniczym znaczeniu. Dlatego tutaj jestem. Aby zaprosić pana w roli konsultanta do przedstawienia swoich profesjonalnych opinii, obserwacji, czegokolwiek, co uzna pan za stosowne, by ułatwić nam zrozumienie...

— przerywa, jakby przewijała w głowie listę odpowiednich słów, aby ostatecznie wybrać najbardziej nieodpowiednie — ...zjawiska.

— Zjawiska?

— Proszę wybaczyć moją ogólnikowość.

— To wszystko brzmi bardzo tajemniczo.

— To konieczne, jak już wspomniałam.

Wpatruje się we mnie, jakbym to ja przyszedł do niej z pytaniami, a nie na odwrót. Jakby oczekiwała, że to ja w jakiś sposób posunę temat do przodu. Próbuje więc dowiedzieć się więcej.

— Użyła pani określenia „przypadek”. Czego on dokładniej dotyczy?

— Dokładniej? Tego już zdradzić nie mogę.

— Bo to tajemnica? A może sama nie potrafi pani tego pojąć?

— Pytanie jest słuszne. Ale udzielenie na nie odpowiedzi oznaczałoby wykroczenie poza to, co pozwolono mi ujawnić.

— Nie ma pani zbyt wiele do zaoferowania.

— Zaryzykuję więc przekroczenie wyznaczonych granic rozmowy i powiem panu, że faktycznie nie mam wiele do zaoferowania. To pan jest ekspertem, profesorze, nie ja. Przyszłam do pana w poszukiwaniu odpowiedzi, pańskiego punktu widzenia. Brakuje mi jednego i drugiego.

— Czy widziała pani osobiście to zjawisko?

Przełyka ślinę. Skóra na jej szyi jest tak naciągnięta, że widzę pod nią ruch, jakbym obserwował mysz przesuwaną się pod prześcieradłem.

— Tak, widziałam — przyznaje.

— I jaka jest pani opinia na ten temat?

— Opinia?

— Jak by to pani opisała? Nie profesjonalnie, nie jako specjalistka, ale tak osobiście. Co pani o tym myśli?

— Och, nie potrafię tego określić — mówi, potrząsając głową i opuszczając wzrok, jakby sądziła, że z nią flirtuje, a uwaga jest przyczyną zakłopotania.

— Dlaczego nie?

Unosi oczy.

— Bo nie istnieje określenie, którego mogłabym użyć — odpowiada.

Powinienem ją poprosić, żeby sobie poszła. Zaciekawienie, które poczułem, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy przed gabinetem, już się ulotniło. Ta dyskusja może jedynie pogłębić poczucie dziwności sytuacji, w której się znalazłem, a nie posłużyć jako materiał do zabawnej anegdotki o zwariowanej kobiecie, którą

mógłbym później opowiadać przy proszonych obiadach. Ta kobieta nie jest szalona. Zwyczajna postawa obronna, którą przybiera się podczas podobnych krótkich spotkań z kimś niegroźnie ekscentrycznym, zniknęła — poczułem się obnażony.

— Dlaczego potrzebuje mnie? — pytam jakby na przekór sobie. — Na moim wydziale jest wielu profesorów.

— Ale niewielu demonologów.

— Nie określiłbym siebie w taki sposób.

— Nie? — Uśmiecha się, szczerząc zęby. Demonstruje frywolne poczucie humoru, które ma na celu odwrócenie uwagi od zachowywanej powagi. — Jest pan znanym ekspertem w dziedzinie opowieści religijnych, mitologii i tego typu spraw, czyż nie? A w szczególności odnotowanych pojawień się biblijnego Nieprzyjaciela? Apokryficznej dokumentacji demonicznej aktywności w starożytnej historii? Czy pomyliłam się w swoich poszukiwaniach?

— To wszystko prawda, co pani powiedziała. Nie wiem jednak nic na temat demonów lub tego typu wynalazków poza tymi tekstami.

— Oczywiście! Nie oczekiwaliśmy, że będzie pan dysponował tego rodzaju doświadczeniem.

— A kto miałby nim dysponować?

— W rzeczy samej! Kto? Nie, profesorze, potrzebujemy wyłącznie pańskich akademickich kwalifikacji.

— Nie jestem pewien, czy pani dobrze mnie zrozumiała. Ja nie wierzę.

Marszczy tylko czoło w widocznym braku zrozumienia.

— Nie jestem duchownym. Nie jestem też teologiem, jeśli o tym mowa. Nie przyjmuję do wiadomości faktu istnienia demonów w stopniu większym, niż dotyczyłoby to Świętego Mikołaja. Nie chodzę do kościoła. Nie uznaję wydarzeń opisanych w Biblii czy innych świętych księgach za takie, które wydarzyły się naprawdę, w szczególności, jeśli dotyczą rzeczy nadprzyrodzonych. Jeśli szuka pani demonologa, to sugeruję skontaktować się z kimś w Watykanie. Może tam znajdzie pani osoby, które zajmują się tymi sprawami na poważnie.

— Tak. — Znów się uśmiecha, szczerząc zęby. — Zapewniam pana, że są tam tacy.

— Pracuje pani dla Kościoła?

— Pracuję dla agencji, której zapewniono znaczący budżet i wyznaczono daleko sięgające obowiązki.

— Uznam to za odpowiedź twierdzącą.

Pochyla się do przodu. Usłyszałem, jak opiera tępe łokcie na kolanach.

— Wiem, że jest pan umówiony. Wciąż ma pan dość czasu, żeby pojechać do Grand Central i się nie spóźnić. Czy mogę zatem przedstawić propozycję mojego klienta?

— Chwileczkę. Wcale nie powiedziałem, że wybieram się do Grand Central.

— Nie, nie powiedział pan.

Zastyga w bezruchu. Jej stagnacja podkreśla osobliwość tej sytuacji.

— Czy mogę? — pyta ponownie, po upływie dobrej minuty.

Opieram się o krzesło, dając jej znak, by kontynuowała. Koniec z udawaniem, że posiadam w tej sytuacji jakikolwiek wybór. W ciągu kilku ostatnich minut w takim stopniu zwiększyła swoją obecność w gabinecie, że blokuje drzwi równie skutecznie jak wykidają w nocnym barze.

— Polecą pan w najbliższym dogodnym terminie do Wenecji. Najlepiej jutro. Zostanie pan zakwaterowany w jednym z najlepszych hoteli w mieście, moim ulubionym, jeśli wolno mi dodać. Na miejscu uda się pan pod wskazany adres. Nie będzie wymagany żaden pisemny dokument czy raport. Prawdę mówiąc, prosimy pana o nieujawnianie swoich obserwacji nikomu innemu poza osobami obecnymi na miejscu. To wszystko. Oczywiście pokryjemy wszelkie wydatki. Przelot w klasie biznesowej oraz wynagrodzenie za konsultację, które, jak mamy nadzieję, uzna pan za godziwe.

Kiedy skończyła mówić, wstaje. Robi jeden krok wymagany do zbliżenia się do mojego biurka, wyjmując długopis z kubka i pisze coś w notesie leżącym przy telefonie. Kwotę przekraczającą trzykrotność mojej rocznej pensji na uczelni.

— Chce mi pani tyle zapłacić, żebym pojechał do Wenecji i odwiedził czyjś dom? A potem odwrócił się i przyleciał z powrotem? To wszystko?

— Ogólnie rzecz biorąc, tak.

— Piekielna historia.

— Wątpi pan w moją szczerłość?

— Mam nadzieję, że pani nie uraziłem.

— Absolutnie nie. Czasami zapominam, że niektórzy wymagają potwierdzenia propozycji.

Sięga do wewnętrznej kieszeni zakietu i kładzie na moim biurku firmową kopertę. Bez adresu.

— Co to takiego?

— Voucher lotniczy. Opłacona rezerwacja hotelu. Potwierdzony czek na jedną czwartą pańskiej gaży. Reszta zostanie opłacona po pańskim powrocie. Jest tu również adres, pod który ma się pan udać.

Zatrzymuję dłoń nad kopertą, jakby jej dotknięcie oznaczało podpisanie umowy.

— Oczywiście może pan zabrać ze sobą rodzinę — dodaje. — Ma pan żonę? Córkę?

— Owszem, córkę. Jeśli chodzi o żonę, to nie mam co do niej pewności.

Unosi wzrok do sufitu, zamyka oczy i zaczyna recytować:

*Bądź pozdrowiona, miłości małżeńska,
Prawo tajemne i źródło prawdziwe
Potomstwa ludzi, własności jedyna
W Raju, gdzie każda rzecz wspólną się mieni.*

— Pani również studiuje Milтона? — pytam, kiedy ponownie otwiera oczy.

— Nie na takim poziomie jak pan, profesorze. Jestem tylko pełną podziwu czytelniczką.

— Niewielu zwyczajnych czytelników zapamiętałoby tekst.

— Wyuczona wiedza. To taki dar. Nigdy jednak nie doświadczyłam tego, co opisuje poeta. „Potomstwo ludzi”. Nie mam dzieci.

To ostatnie wyznanie zaskoczyło mnie. Cały czas wykręca się od odpowiedzi, aby na koniec wyznać mi coś tak osobistego ze swobodą i wyczuwalnym smutkiem.

— Milton miał rację w kwestii radości płynącej z posiadania potomstwa — mówię. — Ale proszę mi uwierzyć, w takim samym stopniu mylił się co do małżeństwa, jak powszechnie wyrażał się na temat raju.

Kiwa głową, choć raczej nie w reakcji na moją uwagę. Pomyślała o czymś innym. A może po prostu przekazała wszystko, co miała do powiedzenia, i teraz czeka na moją odpowiedź.

— Moja odpowiedź brzmi: nie. Nie wiem, o co chodzi w tej sprawie, i choć jest to bardzo intrygujące, to dalece wykracza poza moją specjalizację. Nie ma możliwości, żebym mógł się zgodzić.

— Źle mnie pan zrozumiał. Nie jestem tutaj po to, żeby wysłuchać pańskiej odpowiedzi, profesorze. Przyszłam, żeby przekazać zaproszenie. To wszystko.

— Doskonale. Ale obawiam się, że pani klient będzie rozczarowany.

— Rzadko tak się zdarza.

Odwraca się jednym ruchem. Wychodzi z gabinetu. Oczekuję jakiegoś serdecznego podziękowania, czegoś w rodzaju: „Dobrego dnia, profesorze” czy pożegnalnego gestu jej kościstej dłoni, ale ona tylko rusza korytarzem w stronę schodów.

Kiedy podnoszę się z krzesła i wysuwam głowę zza drzwi, kobieta już zdążyła zniknąć.

1. Ivy League (ang.) — mianem tym określa się osiem najbardziej prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych (przyp. tłum.).

Wrzucam do torby trochę papierów do pracy i wychodzę na upalne powietrze, kierując się w stronę metra. Powietrze staje się tam jeszcze bardziej paskudne, odizolowane niczym próżniowy bąbel i podsłodzone odorem śmieci. Zapachy te wraz z wonią ludzkich ciał opowiadają krótką tragedię o zniewoleniu lub pełnym frustracji pożądaniu.

Podczas jazdy do centrum myślę o Chudej, staram się przypomnieć sobie fizyczne szczegóły jej ciała, jeszcze przed chwilą tak namacalne. Ale niezależnie od tego, czy to niepokojące wcześniejsze wydarzenia czy jakiś fragment mojej pamięci krótkotrwałej napotkał usterkę, kobieta powraca do mnie jedynie jako idea, nie jako osoba. A idea ta jest bardziej nienaturalna i przerażająca niż podczas naszego spotkania. Myślenie o niej w tym momencie przypomina opowiadanie o sennym koszmarze w słonecznym bezpieczeństwie poranka, kiedy cały jego sens wydaje się zawiliły i absurdalny.

Na Grand Central jadę windą i przechodzę tunelami do głównej hali dworca. Godzina szczytu. Wszystko wokół przypomina bardziej wybuch paniki aniżeli celowe przemieszczanie się. A nikt nie wygląda na bardziej zagubionego niż turyści, którzy przybyli doświadczyć dreszczu związanego z przebywaniem w pełnym życia Nowym Jorku, aby stać teraz bezradnie, trzymając kurczowo swoich współmałżonków i dzieci.

O'Brien stoi przy punkcie informacyjnym pod złotym zegarem na środku hali, w naszym zwyczajowym miejscu spotkania. Wygląda na pobladłą. Najprawdopodobniej zirytowało ją moje spóźnienie.

Kiedy do niej podchodzę, patrzy akurat w innym kierunku. Dotykam jej ramienia, a ona nerwowo podskakuje.

— Nie wiedziałam, że to ty — przeprasza. — Choć powinnam, czyż nie? To nasze miejsce.

Podoba mi się to bardziej, niż powinno — określenie „nasze miejsce” — ale ostatecznie uznaję to jako zwyczajne połączenie słów.

— Przepraszam za spóźnienie.

— Wybaczam.

— Przypomnij mi jeszcze raz. Dlaczego to jest nasze miejsce? Czy to coś z Hitchcocka? *Północ, północny zachód*?

— A ty jesteś moim Carym Grantem? Pochlebiasz sobie. Nie twierdzę, że daleko ci do obsady w jakimś filmie, więc się nie dąsaj. Ale prawda jest taka, że lubię się tutaj spotykać, dlatego że jesteśmy tutaj tacy niecywilizowani. Ten tłok. Maski chciwości i desperacji. Pandemonium. Zorganizowany chaos.

— Pandemonium — powtarzam w zamyśleniu, jednak zbyt cicho, by O'Brien mogła to usłyszeć w całym tym gwarze.

— Co mówiłeś?

— To nazwa, którą szatan nadaje fortecy zbudowanej dla siebie i swoich popleczników po wygnaniu z Nieba.

— Nie tylko ty czytujesz Milтона, Davidzie.

— Oczywiście. Ty mnie wyprzedziłaś.

O'Brien robi krok do przodu, żeby spojrzeć mi w oczy.

— Co się dzieje? Wyglądasz na nieco wstrząśniętego.

Zastanawiam się, czy powiedzieć jej o Chudej, o propozycji, którą złożyła mi w gabinecie. Ale mam wrażenie, że byłoby to jak zdradzenie tajemnicy, którą powierzono mi w zaufaniu. Nie, coś więcej niż wrażenie, raczej fizyczne ostrzeżenie, ucisk w piersi i zwężająca się krtań, jakby weszły we mnie niewidzialne palce z zamiarem uciszenia mnie. Ostatecznie mruczę coś na temat upału i pragnienia, które mnie męczy.

— Po to tutaj przyszliśmy, prawda? — odpowiada O'Brien, biorąc mnie za ramię i prowadząc przez tłum w hali dworcowej. Jej dłoń na moim łokciu kojąco chłodzi moją rozpaloną skórę.

Bar Ostryga znajduje się na podziemnym poziomie. Pozbawiona okien jaskinia pod dworcem, która z nieznanых przyczyn zniża się do serwowania surowych owoców morza i zimnej wódki. Spędzamy tam czas z O'Brien, dyskutując o naszych karierach — mojej osiągającej szczyt, dzięki któremu na każdym spotkaniu jestem „czołowym światowym ekspertem” i O'Brien piszącej na temat psychologicznych fundamentów leczenia wiarą, co przyniosło jej ostatnio rozgłos. Najczęściej jednak rozmawiamy o wszystkim i o niczym, jak dobrze dopasowani, choć stanowiący dziwną parę towarzysze.

Co czyni nas dziwną parą? Przede wszystkim to, że ona jest kobietą. Wolną

kobietą. Krótko przycięte ciemne włosy, niebieskie oczy otoczone irlandzką cerą. W przeciwieństwie do mnie ona pochodzi z zamożnej rodziny, choć takiej z północnego wschodu, unikającej ostentacji. Obóz tenisowy dla młodzieży w Connecticut, bezproblemowo zdobywane stopnie naukowe, udana prywatna praktyka w Bostonie, a teraz Columbia, gdzie w ubiegłym roku została szefową Wydziału Psychologii, co pozwoliło jej skoncentrować się na własnych badaniach. To bez wątpienia życiorys człowieka sukcesu. Ale niekoniecznie dopasowany dla żonatego kumpla od kielicha.

Diane nigdy nie narzekła bezpośrednio na naszą przyjaźń. Co więcej, zachęcała mnie do niej. Nie przestała oczywiście okazywać zazdrości związanej ze spotkaniami w barze Ostryga czy oglądanymi w lokalu meczami hokejowymi (razem z O'Brien jesteśmy teraz tymczasowymi kibicami Rangersów, choć z pochodzenia przydzieleni do innych drużyn, ona do Bruins, ja do Leafs). Diane nie miała wyboru — musiała zaakceptować O'Brien, ponieważ wyrzeczenie się naszej przyjaźni oznaczałoby, że Elaine daje mi coś, czego nie potrafi dać Diane. Jednak cała nasza trójka doskonale wie, co sprawia, że powrót do domu po wieczorze spędzonym z O'Brien oznacza wyjątkowy chłód.

Owszem, myślałem o tym, że mógłbym zerwać przyjaźń w ramach pokojowej oferty dla Diane, podobnie jak zrobiłby to każdy mąż w felernym małżeństwie, któremu nadal na nim zależy, niezależnie od korzyści i dobrych rad. A ja chcę, aby ono funkcjonowało. Jestem świadomy moich porażek — niezdefiniowanego zbiornika cieni, który leży u podstaw mojego jestestwa — ale żadna z nich nie była zamierzona, nad żadną nie miałem kontroli. Moje niedoskonałości nie powstrzymały mnie przed robieniem wszystkiego, co możliwe, żeby być dobrym mężem dla Diane. Ale prawda jest taka, że potrzebuję Elaine O'Brien w moim życiu. Nie dla chronicznego flirtu, nie jako sentymentalnej udręki na myśl o tym, jak mogłoby między nami być, lecz jako doradczynie. Mojej wyraźniejszej, trzeźwo myślącej części osobowości.

To może zabrzmieć dziwnie — bo jest dziwne — ale zajęła miejsce mojego brata, którego straciłem, kiedy byłem dzieckiem. Choć nie mogłem wówczas zrobić niczego, by zapobiec jego śmierci, teraz nie mogę pozwolić odejść O'Brien.

Mniej oczywiste jest to, co ona wnosi z naszej relacji. Pytałem ją od czasu do czasu, dlaczego marnuje nieliczne wolne godziny dla takiego melancholijnego miltonisty jak ja. Odpowiada zawsze tak samo:

— Jestem tobie przeznaczona.

Znajdujemy stołki przy długim kontuarze i zamawiamy na początek tuzin ostryg malpeque z okolic Nowego Brunswiku i parę szklaneczek martini. W barze jest tłoczno i gwarno niczym na giełdzie papierów wartościowych, jednak bez problemu owijamy się z O'Brien kokonem wspólnych przemyśleń. Rozpaczam od relacji ze spotkania z Willem Jungerem, dodając kilka ostrych komentarzy do tych, które już przekazałem wcześniej tego popołudnia (i pomijając wyznania dotyczące troski o Tess). O'Brien uśmiecha się, choć wykrywa moje ozdobniki (i zapewne również pominięcia), co wcale mnie nie dziwi.

— Naprawdę to wszystko powiedziałaś?

— Prawie — przyznaję. — Raczej chciałbym, żeby to wszystko zostało powiedziane.

— W takim razie załóżmy, że to zrobiłeś. Niech będzie, że oślizły wąż William Junger z Wydziału Fizyki liże teraz rany zadane słowami przez niebezpiecznego i niedocenianego Dave'a Ullmana z Wydziału Starych Ksiąg.

— Tak, podoba mi się to. — Kiwam głową, sącząc drinka. — To prawie jak supermoc. Dobrze mieć przyjaciela, który akceptuje twoją wersję rzeczywistości.

— Nie ma rzeczywistości, jedynie jej warianty.

— Kto to powiedział?

— Ja, o ile dobrze pamiętam — odpowiada i popija długo ze szklaneczki.

Wódka, kojące uczucie jej obecności, przekonanie, że póki co wszystkie realne niebezpieczeństwa nie mogą nas dotknąć — to wszystko sprawia, że zaczynam odczuwać przekonanie, że mogę wykonać skok naprzód i opowiedzieć O'Brien o moim spotkaniu z Chudą. Ocieram usta chusteczką, przygotowując się do rozpoczęcia, ale ona mnie ubiega.

— Mam pewne wieści — mówi, wysysając ostrygę malpeque. To swego rodzaju wprowadzenie do plotek z najwyższej półki, czegoś zaskakującego i koniecznie o zabarwieniu seksualnym. Ale kiedy połyka ostrygę, dodaje: — Mam raka.

Gdybym w tej chwili miał cokolwiek w gardle, to z pewnością bym się zadławił.

— To ma być dowcip? — pytam. — Powiedz mi, że to jakiś pieprzony dowcip.

— Czy onkolodzy z New York Presbyterian opowiadają dowcipy?

— Elaine. Mój Boże. Nie. Nie!

— Nie są całkiem pewni, gdzie to się zaczęło, ale teraz jest w kościach. Co zresztą wyjaśnia moje mizerne rezultaty w squashu w ostatnim czasie.

— Tak mi przykro.

— Jak brzmi ta bazarowa mantra z zen? „Jest, jak jest”.

— Czy to jest poważne? To znaczy... Oczywiście, że jest poważne... Ale jak to się ma w czasie?

— Twierdzą, że jest zaawansowany. Trochę jak kurs dla studentów czy coś w tym stylu. Tyle że raki już zdążyły go zaliczyć.

Jest niesamowita w swoich próbach zachowania dobrego nastroju — trochę moja w tym zasługa, jestem pewien, a trochę wpływu martini — ale w kąciku jej ust dostrzegam drżenie, które interpretuję jako walkę ze łzami. I nagle, zanim mogę cokolwiek zrobić, to ja zaczynam płakać. Zarzucam wokół niej ramiona, strącając na podłogę kilka pustych skorup po ostrygach.

— Spokojnie, profesorze — szepcze mi do ucha, choć obejmuje mnie równie mocno. — Ludzie mogą to mylnie zinterpretować.

A jak miałyby wyglądać poprawna interpretacja? Takiego objęcia nie sposób pomylić z pożądaniem czy gratulacjami. To wyraz bezradnego sprzeciwu. Dziecka, które przyłgnęło do ukochanej odjeżdżającej osoby na stacji, walczące do końca pomimo grzecznego wycofywania się dorosłego.

— Uzyskamy pomoc — mówię. — Znajdziemy odpowiednich lekarzy.

— To już nic nie da, Davidzie.

— Nie zamierzasz chyba tak po prostu się z tym pogodzić?

— Owszem. Zamierzam spróbować. I chcę cię poprosić o pomoc.

Odpycha mnie od siebie. Nie w wyrazie zakłopotania, ale po to, bym mógł spojrzeć w jej oczy.

— Wiem, że się boisz — dodaje.

— Oczywiście, że się boję. To tragiczne...

— Nie mówię o raku. Mówię o tobie.

Bierze głęboki oddech. Cokolwiek chce teraz powiedzieć, wymaga od niej energii, którą może nie dysponować. Chwytam ją za ramiona, żeby ją podtrzymać. Pochylam się, by lepiej słyszeć.

— Nigdy nie potrafiłam stwierdzić, czego tak się boisz, ale jest w tobie coś, co zapędziło cię w ślepy zaułek, że aż zamykasz oczy — mówi. — Nie musisz mi mówić, co to takiego. Założę się, że sam tak naprawdę nie wiesz. Ale coś ci powiem. Prawdopodobnie już mnie nie będzie, kiedy stawisz temu czoła. Chciałabym być, ale to niemożliwe. Będziesz kogoś potrzebował. Sam nie dasz rady. Nie znam nikogo, kto potrafiłby sobie z czymś takim poradzić.

— Tess.

— To prawda.

— Czy chcesz, żebym poszukał pomocy u Tess?

— Chcę, żebyś pamiętał, że ona boi się tak samo jak ty. Ona też uważa, że jest sama.

— Nie jestem pewny, czy rozumiem...

— Twoja melancholia. Albo depresja. I dziewięć dziesiątych dolegliwości, które badałam, diagnozowałam, próbowałam leczyć. Nazwij je, jak chcesz, ale to tylko różne określenia dla samotności. To właśnie wpuszcza do środka mrok. Z tym właśnie musisz walczyć.

Samotność. To tak, jakby O'Brien była dziś na moim wykładzie i sporządzała notatki.

— Nie jestem sam.

— Ale tak sądzisz. Uważasz, że przez całe życie byłeś sam. I wiesz co? Może tak było. To cię prawie zniszczyło. Gdybyś nie miał swoich książek, swojej pracy, wszystkich tych tarcz w świadomości, tak właśnie by się stało. To nadal chce cię zniszczyć. Ale nie możesz na to pozwolić, bo teraz masz Tess. I niezależnie od tego, jak daleko od niej będziesz, nie możesz się poddać. Ona jest twoim dzieckiem, Davidzie. Ona jest tobą. Musisz więc udowodniać swoją miłość do niej w każdej przeklętej minucie każdego przeklętego dnia. Mniejszy wysiłek oznacza, że oblejesz test na bycie człowiekiem. Mniejszy wysiłek oznacza, że naprawdę będziesz sam.

Nawet tutaj, w pozbawionym klimatyzacji barze Ostryga, O'Brien drży.

— Dlaczego właśnie teraz mi to mówisz? — pytam. — Nigdy wcześniej nie powiedziałaś nic podobnego na temat Tess. Że ona jest... jak ja. Co oznacza, że cierpi z tych samych powodów.

— We krwi przechodzi coś więcej niż tylko kolor oczu i wzrost.

— Chwileczkę. Czy ty wypowiadasz się jako psycholog, doktor O'Brien? Czy moja przyjaciółka O'Brien, która potrafi motywująco skopać tyłek?

Pytanie, które miało zabrać nas na lżejszy grunt, chyba tylko ją zmieszało. A kiedy poszukuje odpowiedzi, jej choroba wychodzi na pierwszy plan. Skóra naciąga się na twarzy, policzki bledną. W transformacji, która jest widoczna tylko dla mnie, zaczyna przypominać siostrę Chudej. Podobieństwo, które powinno być dostrzegalne już w chwili, kiedy siedziała przed moim gabinetem, a które ujawniło się dopiero teraz.

— To po prostu coś, co wiem — odpowiada w końcu.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Zamawiamy kolejną rundę i wspólnego homara, tak jak mamy w zwyczaju. Przez cały czas O'Brien umiejętnie stroni od tematu jej diagnozy czy dziwnie złowieszczej analizy mojej życiowej przypadłości. Powiedziała na ten temat wszystko, co chciała powiedzieć, i między nami pojawia się niewypowiedziana bariera, pełna powikłanych spraw, z których nawet ona nie zdaje sobie sprawy.

Kiedy kończymy, odprowadzam ją z powrotem do głównej hali dworca. Teraz jest tam znacznie ciszej, podróżni ustąpili miejsca gapiom i amatorom fotografowania. Jestem skłonny towarzyszyć O'Brien przy wejściu na jej peron w oczekiwaniu na odjazd pociągu do Greenwich, ale ona zatrzymuje mnie przy złotym zegarze.

— Poradzę sobie — zapewnia, uśmiechając się słabo.

— Oczywiście, że sobie poradzisz. Ale nie ma sensu, żebyś czekała sama.

— Nie jestem sama. — Otacza dłonią mój nadgarstek, żeby mi podziękować. — Poza tym ktoś czeka na ciebie.

— Wątpię. Ostatnimi czasy Tess zamyka się w pokoju po obiedzie, siada do komputera, a na drzwiach świeci się neonowy napis: NIE PRZESZKADZAĆ.

— Czasami ludzie zamykają drzwi, ponieważ chcą skłonić innych do zapukania.

O'Brien puszcza mój nadgarstek i miesza się z tłumem turystów z Niemiec. Poszedłbym za nią, a przynajmniej spróbował, ale ona tego nie chce. Odwracam się więc w przeciwnym kierunku, przechodzę tunelem do wejścia do metra. Powietrze staje się coraz gorętsze.

Zjawiam się na peronie przy 86. Ulicy na Upper West Side. Tam mieszkamy, moja mała rodzina pośród innych małych rodzin z sąsiedztwa. Nasza ulica jest często zatłoczona przez rodziców pchających nowoczesne, jednomiejscowe wózki. To doskonały magazyn dla takich ludzi jak my — wyedukowanych zawodowców niechętnie odnoszących się do przedmieść i przekonanych, że mieszkanie w tym stosunkowo bezpiecznym miejscu położonym niedaleko Central Parku, Muzeum Historii Naturalnej i znanych szkół publicznych zapewni naszym dzieciom to, co jest im potrzebne, żeby pewnego dnia stały się tacy jak my.

Podoba mi się tutaj, niczym turyście. Wychowałem się w skromniejszym mieście Toronto, relatywnie odmitologizowanym i o spokojniejszym temperamencie. Życie w Nowym Jorku jest dla mnie procesem doskonalenia się w udawaniu. Udawanie, że to naprawdę mój dom, a nie jakiś wytwór z książek czy filmów. Udawanie, że kiedykolwiek spłacimy hipotekę za przestronne, trzypokojowe mieszkanie w „prestiżowym budynku” przy 84. Ulicy. Często męczy mnie świadomość, że tak naprawdę nie możemy sobie pozwolić na to miejsce, choć Diane lubi podkreślać, że „dziś już nikt na nic nie może sobie pozwolić, David. To nie 1954 rok”.

Źle się dzieje między nami, być może nieodwracalnie źle. Kiedy jednak wjeżdżam grzechoczącą starą windą na nasze piętro, przygotowuję wieści z tego dziwnego dnia, decydując, co przekazać, a co pogrzebać. Chcę powiedzieć Diane o O'Brien, o rozmowie z Willem Jungerem, o Chudej, bo nie mam się tym z kim innym podzielić. Każda z tych spraw jest zbyt intymna, żeby ją wyłożyć przed kolegą czy na spotkaniu przy obiedzie. Poza tym jest jeszcze nadzieja, że do niej dotrę, że powiem coś, co wzbudzi jej zainteresowanie czy współczucie. Opóźnienie tego, co nieuniknione, bo już chyba tylko to mi zostało w ostatnim czasie.

Otwieram drzwi do mieszkania i dostrzegam Diane. Stoi tam, czeka na mnie z niemal opróżnionym kieliszkiem wina w dłoni. Co mówi jej spojrzenie? Mówi tyle, że cokolwiek jej opowiem, i tak nie zrobi to na niej żadnego wrażenia.

— Musimy porozmawiać — zaczyna.

— Dwa najbardziej przerażające słowa w historii małżeństwa.

— Mówię poważnie.

— Ja też.

Prowadzi mnie do salonu, gdzie na stoliku czeka na mnie pełny kieliszek wina. Coś, co pozwoli stępić ból po ciosie, który zamierza zadać. Ale je nie chcę być otepiały. To ona ma problem, czyż nie? Że rzadko bywam obecny w odpowiednim momencie. Cóż, niezależnie od tego, czy chce mi powiedzieć o dziwnych i strasznych wydarzeniach z całego dnia, czy przekazać nowe postanowienie, w tym momencie jestem cholernie trzeźwy.

— Wyprowadzam się — oświadcza Diane buntowniczym tonem, jakby był to dla niej epizod odwagi, śmiała ucieczka.

— Dokąd?

— Do domu należącego do rodziców w Cape. Na okres letni. Może na część lata. Dopóki nie znajdę nowego mieszkania w mieście.

— Dwa mieszkania na Manhattanie? Jak możemy sobie na to pozwolić? Wygrałaś na loterii?

— Proponuję, żeby nie stosować już określenia „my”, David. A to oznacza, że mówię o tylko jednym mieszkaniu. Moim.

— Nie powinienem zatem potraktować tego jako próbnej separacji?

— Nie, chyba nie powinieneś.

Bierze ostatni łyk z kieliszka. To było łatwiejsze, niż sądziła. Już jej tu prawie nie ma, a świadomość tego sprawia, że chce jej się pić.

— Staram się, Diane.

— Wiem.

— A więc to dostrzegasz?

— Nie sprawiło to, że przestałaś być kimś, kogo mija się każdego dnia, mówiąc „cześć”, ale kogo tak naprawdę w ogóle się nie zna. Wydaje ci się, że się starasz, ale jak przychodzi co do czego, to tego nie robisz.

— Nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie?

— Tu nigdy nie chodziło o mówienie czegokolwiek. Raczej o czyny. Albo ich brak.

Nie mogę się z nią sprzeczać. A nawet gdybym mógł, nigdy nie zwykliśmy tego robić. Może to był błąd. Kto wie, może kilka ostrych oskarżeń, kilka bardziej emocjonalnych zaprzeczeń i wyznań mogłoby coś zmienić. Ale ja się na tym nie znam.

— Będziesz mieszkać z nim? — pytam.

— Rozmawiamy o tym.

— Więc kiedy go dziś spotkałem, kiedy „przypadkowo” na mnie wpadł, chciał się tylko zabawić moim kosztem?

— Will taki nie jest.

Mam ochotę powiedzieć: „Mylisz się, Diane. On właśnie taki jest”.

— A co z Tess? — pytam.

— To znaczy?

— Już jej powiedziałaś?

— Uznałam, że zostawię to tobie — odpowiada. — Lepiej sobie z nią radzisz.

Zawsze tak było.

— To nie jakiś konkurs. Jesteśmy rodziną.

— Nie, to już skończone.

— Ona jest również twoją córką.

— Nie potrafię do niej dotrzeć, David!

Po wykrzyczeniu tych słów Diane zaczyna głośno, choć krótko łkać.

— Z nią jest coś nie tak — w końcu udaje się jej wykrztusić. — Ale nie coś takiego, o co można by zapytać lekarza. Nie coś takiego, co wychodzi na badaniach. To coś złego, czego nie można zobaczyć.

— Jak sądzisz, co to takiego?

— Nie wiem. Ma jedenaście lat. Jest już prawie nastolatką. Humory? Ale to nie to. Ona jest taka jak ty — dodaje, co jest przypadkowym, złośliwym odbiciem słów O'Brien. — Wy dwoje zamknęliście się w swoim prywatnym, nietykalnym klubie.

Jest samotna. Dostrzegam to teraz równie wyraźnie jak plamę po szmince na brzegu utrzymanego kieliszka. Jej mąż i dziecko tkwią w jakiejś problematycznej ciemności, a pośród wszystkich efektów ubocznych pozostawiło ją to na zewnątrz. Stoję tutaj — tak jak zawsze — ale ona jest samotna.

— Tess jest u siebie? — pytam.

Diane kiwa głową.

— Idź — mówi, chcąc mnie odprawić, ale mnie już nie ma.

Nawet tysiącczterystustronicowa Anatomia *melancholii* Roberta Burtona nie odpowiada na pytanie, czy ten stan jest dziedziczny czy nie. Wydaje mi się, że wraz z Tess potwierdzamy to w wystarczającym stopniu. W ciągu minionego roku

otwarcie okazała objawy bluesowego rozkojarzenia, pozbycia się przyjaciół, przejścia z kręgu szerokich zainteresowań do jednej obsesji. W jej przypadku było to prowadzenie dziennika, którego nigdy nie odważyłem się podejrzeć, po części dlatego, że szanuję jej prywatność, a po części dlatego, że obawiam się, co mógłbym tam znaleźć. To ostatnie najbardziej niepokoiło Diane. Jednak prawda jest taka, że dostrzegam w Tess siebie w dużo wcześniejszym wieku. Zdystansowanie się od codziennej wrzawy, którą nieustannie próbujemy spiąć mostem, jedynie częściowo odnosząc sukces.

Pukam do jej drzwi. Usłyszawszy średniowieczne przyzwolenie: „Wejść!”, wchodzę do środka. Spozrzęgam, jak zamyka dziennik, siedząc prosto na skraju łóżka. Długie włosy w kolorze rieslinga wciąż ma spięte w warkocz, który jej rano zaplotłem. Zajmowanie się jej włosami było moim terytorium już od kołyski, ponieważ wykazywałem dużo większą cierpliwość do wyczesywania czy wycinania zaschniętej gumy. Może to dziwne zajęcie dla taty, choć pamiętam, że nasze najlepsze rozmowy toczyły się zawsze w zaparowanej po prysznicu łazience przed ósmą, kiedy decydowaliśmy o wyborze kucyka, pojedynczego warkocza czy koczków.

Moja Tess. Podnosi wzrok i natychmiast odczytuje, co się wydarzyło w salonie.

Przesuwa się, robiąc mi miejsce na łóżku.

— Czy ona wróci? — pyta w ramach pierwszej części niewypowiedzianych słów wstępu.

— Nie jestem pewien. Nie wydaje mi się. Nie.

— Ale ja tu zostaję? Z tobą?

— Nie omówiliśmy jeszcze tego dokładnie. Ale tak, to nadal będzie twój dom. Dla nas obojga. Niczego nie jestem tak piekielnie pewny, jak tego, że miałbym się gdziekolwiek ruszyć bez ciebie.

Tess kiwa głową, jakby fakt, że pozostaję z nią, był wszystkim, czego potrzebowała się dowiedzieć. Ja też niczego innego nie muszę wiedzieć.

— Musimy coś zrobić — mówię po chwili.

— Coś jak rodzinna terapia? Coś takiego?

Już na to za późno, myślę sobie. Za późno dla naszej trójki. Ale wciąż jesteśmy ty i ja. Zawsze tak będzie.

— Mówię o czymś ciekawym.

— Ciekawym? — powtarza to słowo, jak gdyby należało do pradawnego języka,

jakby było zapomnianym pojęciem w staronordyckim, które należało jej wyjaśnić.

— Myślisz, że zdążysz się spakować na rano? Ubrania na trzy dni? Wskoczyć do samolotu i wyrwać się stąd? Mówię o biletach w najlepszej klasie. I czterogwiazdkowym hotelu. Będziemy jak gwiazdy rocka.

— Jasne — odpowiada. — Mówisz serio?

— Jak najbardziej serio.

— Dokąd polecimy?

— A co powiesz na Wenecję?

Tess się uśmiecha. Już od tak długiego czasu nie widziałem, jak moja córka w spontaniczny sposób wyraża szczęście — i to z powodu czegoś, co zrobiłem — aż muszę zamaskować kaszlem wzruszenie.

— „Najczystsze światło niebios” — dodaję.

— To znów ten stary Milton?

— Tak. Ale również ty.

Delikatnie ściskam jej nos za pomocą kciuka i palca wskazującego, czego zaprzestałem kilka lat temu po jej pełnych złości protestach. Spodziewam się teraz kolejnego, ale zamiast tego reaguje tak, jak za dziecięcych czasów, kiedy była to jedna z tysięcy naszych gier.

— Buuu!

Wybucha śmiechem. A ja śmieję się wraz z nią. Na krótką chwilę powraca do nas beztroska. Jak się okazało, spośród wszystkich rzeczy, których brakowało mi z wcześniejszych czasów, to moje własne infantylne zachowanie znalazło się na czele listy zakazanych rzeczy.

Wstaję i ruszam w stronę drzwi.

— Dokąd idziesz? — pyta.

— Powiedzieć mamie.

— Zaraz jej powiesz. Zostań ze mną jeszcze chwilę, dobrze?

Zostaję. Nic nie mówię. Nie próbuję czarować jakichś pocieszających banałów. Nie udaję. Po prostu jestem.

Tej nocy śnię o Chudej.

Siedzi samotnie w sali wykładowej, tej samej, w której prowadzę wykłady dla studentów pierwszego roku, tyle że zmienionej, poszerzonej. Nie sposób ocenić jej wymiarów, gdyż ściany po lewej i prawej stronie nikną w mroku. Stoję za pulpitem i patrzę na nią, mrużąc oczy. Jedyne oświetlenie pochodzi z niewielkich lampek przy

schodach i dwóch jasnoczerwonych prostokątów z napisem WYJŚCIE przy tylnych drzwiach. Teraz wydają się one odległe niczym miasta na pustyni.

Chuda siedzi na środku rzędu w połowie sali. Widać tylko jej twarz. Chorobliwą, niedożywną. Czarno-biała twarz z codziennej gazety. Skóra gotowa rozstąpić się nad nosem, kośćmi policzkowymi i szczęką. Wydaje się mieć wytrzeszczone gałki oczne, jakby próbowały uciec.

Żadne z nas się nie odzywa, choć mimo to cisza jest wypełniona poczuciem, że właśnie wypowiedziano głośno coś, co nie powinno nigdy zostać wypowiedziane. Coś obscenicznego. Klątwa.

Mrugam.

A ona nagle stoi tuż przede mną.

Otwiera usta. Jej gardło wewnątrz przypomina papier czy zrzuconą skórę węża. Smrodliwy oddech, który dociera do moich warg, skleja je.

Wydycha powietrze. Zanim się budzę, uwalnia z siebie niekończące się westchnienie, takie, które zmienia się w słowo z każdą chwilą głośniejsze i silniejsze, dopóki nie opuszcza jej niczym wiersz.

Powitanie. Herezja.

Pandemonium..

Lecę na wysokości dziesięciu kilometrów nad Atlantykiem. Jestem jedynym pasażerem z włączoną lampką do czytania w kabinie biznesklasy. Tess śpi niespokojnie obok mnie z zamkniętym dziennikiem na kolanach. Po raz pierwszy od momentu, kiedy Chuda opuściła mój gabinet, zaczynam się zastanawiać, co może na mnie czekać w Wenecji.

Wczorajszy dzień obfitował w tyle wydarzeń, że trudno było zdecydować, któremu należałoby poświęcić czas na rozmyślania. Śmiertelna choroba mojej najlepszej przyjaciółki, ostateczny upadek mojego małżeństwa czy wysłanniczka z domniemanej agencji kościelnej, która zaoferowała mi kupę forsy w zamian za odwiedzenie... No właśnie, czego? Jedynym aspektem mojego doświadczenia, o którym konkretnie wspomniała, była znajomość pracy Milтона. Nie, nawet nie to. Potrzebny im de monolog.

Nawet tutaj, w naszym wiszącym hotelu Boeinga, nie czuję się komfortowo, rozmyślając na ten temat, niezależnie od tego, jak bardzo wydawał się absurdalny. Wracam więc do lektury. Do książek, które należą do mojego ulubionego gatunku. Przewodników turystycznych.

Jestem typowym molem książkowym, który poznał więcej miejsc z książek niż z rzeczywistych odwiedzin. I w większości przypadków wolę o nich czytać, niż je odwiedzać. Nie chodzi o to, że nie lubię podróżować, ale że zawsze jestem świadom swojej obcości wśród miejscowych. Tak właśnie się czuję, w mniejszym lub większym stopniu, niezależnie od tego, gdzie jestem.

Mimo to cieszę się na myśl o zobaczeniu Wenecji. Nigdy tam nie byłem i chcę koniecznie przedstawić Tess jej fantastyczną historię i opisywane w literaturze uroki miasta. Mam przy okazji nadzieję, że piękno tego miejsca wyzwoli ją z obecnego stanu ducha. Może spontaniczność tej przygody i wyjątkowość tego miasta okażą się wystarczające, by przywrócić blask jej spojrzeniu.

Czytam więc dalej przesiąknięte krwią mroczne opowiadania o zabytkach Wenecji, wojnach toczonych o ziemię, handel i religię. Przy okazji zapamiętuję restauracje i miejsca, które mogą sprawić najwięcej przyjemności Tess. Będę dla niej najlepiej

poinformowanym i przystosowanym do jej potrzeb przewodnikiem turystycznym.

Podróż już zdążyła się okazać emocjonująca. Tess opowiadająca Diane o naszych planach dopiero nad ranem (zadała kilka pytań, a w jej oczach można było dostrzec, jak kalkuluje ilość dostępnego czasu, który spędzi z Willem Jungerem), pospieszne pakowanie, wyjście do banku w celu zakupu euro (czek Chudej bez problemu pozwolił zwiększyć stan mojego konta) oraz jazda limuzyną na Lotnisko imienia Kennedy'ego, podczas której chichotaliśmy beztrzesko na tylnej kanapie jak szkolni przyjaciele uciekający na węgry.

Nie miałem czasu na telefony, więc napisałem esemesa O'Brien z lotniska. Zastanawiałem się, jak wiele powinienem jej powiedzieć. Opisanie Chudej za pomocą klawiatury telefonu w poczekalni pierwszej klasy okazało się niemożliwe, podobnie jak parametry mojej „konsultacji” dotyczącej „sprawy”, na temat której nie ujawniono niczego poza moją hojną rekompensatą. Ostatecznie napisałem tylko:

Polecałem z Tess do Wenecji (do tej włoskiej, nie kalifornijskiej).

Wracam za kilka dni. Wyjaśnię później.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

Co jest grane?

Wstaję, żeby rozprostować nogi. Szum i pogwizdywanie pasażerskiego odrzutowca jest tak kojące, jakbym przebywał w mechanicznej macicy. To, oraz śpiący pasażerowie po obu stronach, sprawia, że czuję, jakbym był jakimś transatlantyckim duchem mknącym w przestrzeni, jedynym duchem czuwającym tej nocy.

Ale jest jeszcze jeden. Starszy mężczyzna stojący między toaletami w dalszej części korytarza, spoglądający z wyrazem wytwornego znudzenia na twarzy na swoje buty. Kiedy podchodzę bliżej, podnosi wzrok i uśmiecha się, jakby nieoczekiwanie rozpoznał towarzysza.

— Okazuje się, że nie jestem sam — mówi na powitanie z urokliwym włoskim akcentem. Ma delikatną, miłą twarz, niczym aktor.

— Czytałem.

— Tak? Ja również jestem miłośnikiem książek — przyznaje. — Dobrych książek. Ludzkiej wiedzy.

— W moim przypadku to tylko przewodniki turystyczne.

Śmieje się.

— One również są ważne! Nie wolno się zgubić w Wenecji. Trzeba znać drogę.

— We wszystkich książkach podkreślają, że zagubienie się w Wenecji to jeden z jej największych uroków.

— Owszem, wędrowanie ma w sobie urok. Ale zgubienie się? To spora różnica.

Rozważam te słowa, kiedy mężczyzna kładzie mi rękę na ramieniu. Ma silny uścisk.

— Co pana sprowadza do Wenecji? — pyta.

— Praca.

— Praca! Ach, jest pan złodziejem?

— Dlaczego pan tak uważa?

— Wszystko w Wenecji jest kradzione. Kamień, relikty, ikony, złote krzyże w każdym kościele. To wszystko pochodzi z innych miejsc.

— Dlaczego?

— Bo tam nic nie ma. Żadnych lasów, kopalń czy farm. To miasto stanowi zniewagę dla Boga, zbudowane wyłącznie na ludzkiej dumie. I to zbudowane na wodzie! Czy taka magiczna sztuczka może sprawić przyjemność Ojcu Niebieskiemu?

Pomimo pobożnego znaczenia tych słów odnoszę wrażenie, że mówi o czymś zupełnie odwrotnym, że to rodzaj taniego żartu. Wcale nie jest zmartwiony grzechami „ludzkiej dumy” czy niezadowoleniem Ojca Niebieskiego. Wręcz przeciwnie, to go ekscytuje.

Spogląda nad moim ramieniem na śpiących pasażerów.

— Błogosławiona niewinność snu — rzuca. — Niestety nie odwiedza mnie już i nie przynosi zapomnienia. — Jego oczy odnajdują Tess. — Pańska córka?

Nagle nabieram pewności, że odebrałem tego faceta zupełnie niewłaściwie — to nie starszy, urokliwy pan, który nawiązuje rozmowę z innym towarzyszem cierpiącym na bezsenność. On udaje. Ukrywa swoje prawdziwe pragnienia wraz z przyczyną, dla której tutaj ze mną stoi.

Rozważam różne odpowiedzi: „To nie twoja pieprzona sprawa” czy „Nawet na nią nie patrz”. Ale tylko odwracam się i kieruję bezpośrednio w stronę swojego fotela. Słyszę, jak wchodzi do toalety i zamyka za sobą drzwi. Kiedy siadam, wciąż tam przebywa.

Udaję, że czytam, nie spuszczać wzroku z drzwi do toalety. I choć nie śpię jeszcze przez godzinę czy dwie, nie zauważam, żeby wyszedł.

W końcu wstaję i pukam do drzwi. Te okazują się jednak otwarte. Kiedy zaglądam do środka, orientuję się, że nikogo tam nie ma.

Wenecja specyficznie pachnie.

Czym? Trudno stwierdzić od razu, ponieważ jest to zapach niepochozący z jakiegoś określonego źródła. To nie aromat kuchni, farmy czy fabryki, ale zapach imperium, licznych opowieści i niedającej się wywabić plamy zepsucia. Kiedy w Nowym Świecie miasto posiada własny zapach, można stwierdzić, jaki on jest. Słodkawa woń fabryki papieru. Pieczone kasztany i wyziewy z kanałów na Manhattanie. Ale w Wenecji nasze północnoamerykańskie nozdrza atakuje nieznamy fetor wielkich abstrakcji. Piękna. Sztuki. Śmierci.

— Popatrz!

Tess wskazuje nasze *vaporetto*, tramwaj wodny, którym mamy przepłynąć wzdłuż Canale Grande do naszego hotelu. „Popatrz!” — to wszystko, co powiedziała moja córka od momentu wylądowania. I ma rację — jest tu tak wiele do zobaczenia. Fasadę każdego budynku cechuje tyle detali, że zachodzi stałe niebezpieczeństwo pominięcia zachwycających atrakcji. Jestem więcej niż szczęśliwy, kiedy podążam wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. Moja córka jest blisko mnie. Wspólnie dzielimy się wrażeniami z przebudzenia w innym świecie.

Wsiadamy do *vaporetto*, które odbija, pyrkocząc i tnąc ślady innych łodzi i gondoli. Niemal w jednej chwili tracimy z oczu dowody na istnienie tego, co nowoczesne.

— Jak w Disneylandzie — zauważa Tess. — Tyle że takim prawdziwym.

Wskazuję jej więc prawdziwe cuda, o których dowiedziałem się podczas nocnej lektury w samolocie. Przed moimi oczami przesuwają się szare Fondaco dei Turchi z imponującymi, łukowatymi oknami. Pescheria z neogotyckim rynkiem rybnym funkcjonującym od czternastego wieku („Śmierdzi tak, jakby niektóre ryby leżały tutaj od czternastego wieku”, zauważa Tess). Palazzo dei Camerlenghi, gdzie niegdyś w lochu przetrzymywano oszustów podatkowych.

Wydaje się, że minęło zaledwie kilka minut, kiedy Canale Grande zaczyna się zwężać i przepływamy pod mostem Rialto, który jest tak obwieszony turystami, że w mojej wyobraźni wali się na nas w lawinie aparatów cyfrowych, okularów przeciwsłonecznych i rzeźbionych kamieni. Chwilę później kanał skręca i ponownie się rozszerza. Przepływamy pod mniej zatłoczonym Ponte dell'Accademia i wpływamy do dużego basenu Bacino di San Marco. Za nim rozciąga się lśniąca

laguna.

Vaporetto zwalnia i skręca w kierunku przystani Bauers Il Palazzo, naszego hotelu. Pracownicy obsługi w strojach z guzikami z mosiądzu cumują łódź, zabierają do środka nasze bagaże, a jeden z nich oferuje Tess odzianą w rękawiczkę dłoń. W ciągu godziny, która upłynęła od lądowania samolotu, zostaliśmy przetransportowani z anonimowego niemiejsca, międzynarodowego portu lotniczego, do niemal niewyobrażalnej pedantyczności jednego z najznamienszych hoteli w Wenecji, a może i w całej Europie.

Tess stoi na przystani, mentalnie fotografując gondole, lagunę i wieżę zegarową San Marco i swojego oszołomionego ojca.

— Cieszysz się, że tu przyjechaliśmy? — pytam.

— Nie bądź głuptasem — odpowiada i chwytą mnie za rękę.

Chuda nie żartowała.

— Bardzo tu ładnie — potwierdza Tess, zauważywszy wypolerowaną podłogę z brązowego marmuru w lobby hotelu Bauer oraz tkaniny Bevilacqua i Rubelli przesłaniające okna. — Kto za to płaci?

— Nie jestem do końca pewny — przyznaję.

Po zameldowaniu się wjeżdżamy na górę do pokoju, żeby się odświeżyć. A dokładniej do naszych pokoi — dwóch sypialni i dwóch łazienek oraz eleganckiego salonu z ponadtrzymetrowymi drzwiami prowadzącymi na balkon z widokiem na Canale Grande.

Bierzemy prysznice, przebieramy się i kierujemy do restauracji na poddaszu, żeby zjeść lunch. Z naszego stolika po jednej stronie widok rozciąga się na lagunę, a po drugiej na cały plac Świętego Marka. Jesteśmy — zgodnie z tym, co napisano z dumą w przewodniku turystycznym — w najlepszym punkcie widokowym w całej Wenecji. I najwyższym.

— Wiesz, jak się nazywa ta restauracja? — pytam. — Il Settimo Cielo. Zgadnij, co to znaczy.

— Nie znam włoskiego, tato.

— Siódme Niebo.

— Bo jest na siódmym piętrze?

— Niech ktoś tej dziewczynce da laleczkę Kewpie¹.

— Co to takiego?

— Nieważne.

Podają nam lunch. Dla mnie pstrąg z grilla, dla Tess spaghetti alla limone. Jemy łapczywie, gdyż po kilku ostatnich godzinach rozglądania się dookoła nabraliśmy ogromnego apetytu.

— Co to za miejsce? — pyta Tess, wskazując palcem położone po przeciwnej stronie kanału eleganckie kolumny i białą kopułę Santa Maria della Salute.

— Katedra — wyjaśniam. — Jeden z kościołów związanych z zarazą, które zbudowano w siedemnastym wieku.

— Z zarazą?

— Zbudowali go, aby ochronić się przed straszliwą epidemią czarnej śmierci, która nawiedziła Wenecję. Zmarła niemal połowa wszystkich mieszkańców. Nie mieli wówczas odpowiednich lekarstw, więc uznali, że należy zbudować kościół i polecić się opiece boskiej.

— I to pomogło?

— Zaraza w końcu ustąpiła. Tak by się stało niezależnie od tego, czy wybudowano kościół czy też nie.

Tess zawija nitki makaronu wokół widelca.

— Myślę, że to Bóg im pomógł. Nawet jeśli ty w to nie wierzysz — mówi z przekonaniem. Nabiera pełne usta spaghetti. Gryzie i jednocześnie szeroko się uśmiecha.

Tego wieczoru, zmęczeni, lecz podekscytowani, udajemy się przed snem na krótką przechadzkę wzdłuż krętych *calli* otaczających hotel. Moje poczucie orientacji w terenie jest lepsze od przeciętnego (to przychodzi samo po studiowaniu map turystycznych), dzięki czemu naszą wyprawę widzę w głowie. Trzy postrzępione strony placu i powrót. Jednak krótko po wyjściu zakręty okazują się nieoczekiwane, alejka rozdziela się na dwie mniejsze *fondamenta*, co wymusza podjęcie decyzji. W lewo? Czy w prawo? Tego nie miałem w planach. Mimo wszystko nie zmieniam decyzji o obejściu placu i powrocie do Canale Grande, nawet jeśli miałyby to potrwać nieco dłużej.

Po upływie pół godziny zgubiliśmy się.

Ale wszystko jest w porządku. Tess jest ze mną. Trzyma mnie za rękę, nieświadoma moich wewnętrznych kalkulacji, prób zlokalizowania północnej i południowej strony miasta. Zagubienie się w Wenecji okazuje się tak ekscytujące, jak obiecywały przewodniki. Wszystko zależy od tego, z kim się spaceruje. Z Tess

może to trwać wiecznie. Wtedy dopada mnie myśl, której towarzyszy ukłucie emocji, że dopóki jestem z nią, nie mogę się tak naprawdę zgubić.

Kiedy już jestem bliski porzucenia swojej męskiej dumy i poproszenia kogoś o wskazówki, docieramy do drzwi Baru u Harry'ego. „Hemingway miał tutaj swój własny stolik zimą 1950 roku”. Przypominam sobie ten fakt z przewodnika, a wraz z nim powraca jakże przydatne wspomnienie mapy tej okolicy. Nie oddaliliśmy się zbyt daleko. Prawdopodobnie przez cały czas byliśmy blisko zamierzonej trasy. Bauer jest tuż za narożnikiem.

— Jesteśmy w domu — mówię do Tess.

— Zgubiliśmy się wcześniej, prawda?

— Może troszeczkę.

— Widziałam to na twojej twarzy. Czasami masz taką minę — dodaje, marszcząc czoło — kiedy rozmyślasz.

— Twoja twarz zachowuje się tak samo.

— Oczywiście, że tak. Jestem taka jak ty, a ty jesteś taki jak ja.

Ta prosta obserwacja sprawia, że się zatrzymuję, ale Tess podąża dalej przed siebie. Mój przewodnik prowadzący mnie do drzwi hotelu.

Mój plan na następny dzień przewiduje odrobinę zwiedzania, odwiedziny pod adresem, który wskazała mi Chuda, a następnie odprężenie się po oficjalnej przyczynie przyjazdu i spędzenie wieczoru i kolejnego dnia z Tess. Kiedy jednak lądujemy w prywatnej gondoli, a Tess zaczyna rozważać, jak zwinnie poruszać się ta długa łódź, zaczynam podejrzewać, że błędnie oceniłem dostępny czas. W pierwszej kolejności powinienem zająć się pracą (czegokolwiek ona dotyczy), ponieważ moje spekulacje związane z celem wizyty zaczęły mnie dręczyć już podczas śniadania. Niecodziennosc mojego zadania zaczęła przyprawiać o dreszcz w ciągu ostatniej doby. Początkowo postrzegałem to wszystko jak coś, o czym będę opowiadał na sali wykładowej czy jako anegdotę, którą będę dzielił się na kolejnym spotkaniu przy winie i talerzach z serami. Jednak teraz, w złotym blasku weneckiego światła, motyle w moim żołądku ustąpiły miejsca walczącym osom, szamoczącym się i żądającym.

Jak to określiła Chuda? Sprawa. „Zjawisko”. Nie analiza nowo odkrytego tekstu czy interpretacja wersetu (jedyny rodzaj zajęcia, w którym mogłoby się okazać przydatne moje doświadczenie). Przybyła do mnie, żeby zapytać, odnosząc się do mojej wiedzy, o Nieprzyjaciela (jedno z wielu biblijnych określeń szatana). „Apokryficzna dokumentacja demonicznej aktywności w starożytnej historii”,

wspominam słowa Chudej.

Oczywiście o żadnej z tych spraw nie mogłem porozmawiać z Tess. Bawię się więc w radosnego przewodnika turystycznego najlepiej, jak tylko potrafię. Przez cały czas staram się zarazem przekonać samego siebie, że ten dzień jest tylko jednym z nietypowych, że nie powinienem obawiać się jego niezwykłości, ponieważ umożliwił mi on wyrwanie się z biblioteki, gabinetu, sali wykładowej. Kto wie, może faktycznie kolejne takie dni sprawią, że będę bardziej obecny, jak tego sobie życzyła Diane? Ekscytacja sprawia, że w człowieku jest więcej życia.

Nie zmienia to jednak faktu, że wraz z porannym słońcem przeganiającym mrok starego miasta ekscytacja ta zaczyna ustępować miejsca strachowi.

Zaczynamy od Pałacu Dożów. Odległość od hotelu do placu Świętego Marka nie jest duża i kiedy wychodzimy na rozległy plac, już z odległości dostrzegamy tę imponującą budowlę. To prawda, co napisano w jednym z przewodników. Długie arkady na dolnym poziomie sprawiają, że wyższa kondygnacja wydaje się pływać. Nie oczekiwałem, że budowla ma aż takie rozmiary. Tysiące ton kamienia, nieważne jak wdzięcznie z sobą połączonego, przywodzi na myśl dawne opowieści o pracy, krwi i śmierci.

Mówię Tess, że wśród poległych wznoszących tę budowlę znaleźli się potężni, których sprowadzono tu w celu zagwarantowania ostatniej szansy na odkupienie grzechów.

- Dlaczego byli potężni? — pytam.
- Robili złe rzeczy i zasługiwali na karę.
- Ale najpierw przywożono ich tutaj?
- Tak mówią opowieści.
- Jak opowieści mogą mówić?

Opowiadam jej o kolumnie. Przewodnik podaje, że znajduje się ona po odsłoniętej stronie i jest widoczna z Bacino di San Marco, naprzeciw wyspy San Giorgio. Należy odliczyć trzy kolumny i oto ona. Podniszczona wokół marmurowego cokołu przez więźniów, a w ciągu kolejnych stuleci przez ciekawskich turystów próbujących niemożliwego. Wyzwanie polega na tym, by umieścić ręce za plecami (po dobnie jak wiązano więźniów) i z twarzą skierowaną na zewnątrz obejść całą kolumnę. W przypadku potężnych była to okrutna propozycja odzyskania wolności, ponieważ legenda podaje, iż nikt nigdy nie wykonał tego zadania.

Tess uważa, że powinienem pójść pierwszy. Wsuwam palce za pasek, wspinam się

na krawędź cokołu. Jeden nieostrożny krok i spadam.

— Nie dam rady.

— Moja kolej!

Tess wspina się na marmur, odwraca w moją stronę i uśmiecha od ucha do ucha. Potem rozpoczyna próbę. Przesuwa się delikatnie na piętach. I sunie dalej. Stoję tam i kręcę film iPhone'em, żeby zarejestrować jej upadek, ale zamiast tego Tess znika, okrążając kolumnę. Chwilę później znów się pojawia, nadal ostrożnie przesuwając stopy. Jednak już się nie uśmiecha. Jej twarz jest pozbawiona wyrazu, co biorę za oznakę poważnego skupienia. Wsuwam telefon do kieszeni.

Kiedy w końcu dociera do punktu początkowego, zatrzymuje się i spogląda w stronę wody, jakby nasłuchiwała szeptanych poleceń ze strony kołyszących się fal.

— Tess! — krzyczę, żeby sprowadzić ją z powrotem, gdziekolwiek myślami była, i pogratulować jej osiągnięcia. — Udało ci się!

Schodzi. Kiedy rozpoznaje mnie i przypomina sobie, gdzie jest, znów się uśmiecha.

— Co wygrałam? — pyta.

— Swoje miejsce w historii. Najwyraźniej nikt nigdy wcześniej tego nie dokonał.

— I zbawienie. To też wygrałam?

— To również. Chodź — mówię, biorąc ją za rękę. — Schowajmy się już przed tym słońcem.

Przechodzimy przez zatłoczony o tej porze plac do bazyliki. Wiszące wysoko słońce, boleśnie przypiekające, sprawia, że nawet ta krótka przechadzka jest męcząca. A może wczesny świt po długim locie osłabił mnie bardziej, niż mi się wydawało. Tak czy inaczej, kiedy w końcu wchodzimy do chłodnego wnętrza katedry, czuję się wykończony, jakbym stał na pokładzie żaglowca.

Częściowo z powodu chęci odzyskania równowagi zatrzymuję się, żeby wskazać mozaikę dekorującą wnętrze kopuły nad naszymi głowami. Obrazy opowiadają historię stworzenia. Boski wynalazek światła, Adam w ogrodzie, wąż i jego kuszenie Ewy, Upadek. W tych obrazach panuje zdumiewająca prostota, szczególnie w kontekście przytłaczającej, bizantyjskiej architektury. To trochę tak, jakby budowniczowie zamierzali odwrócić uwagę od prawdziwych materiałów wiary, zamiast je przedstawiać. Jednak tutaj, w tej wielkiej wnęce, znajduje się opowieść o Początku wyłożona niczym w dziecięcej książce z ilustracjami, a cały ten rozmach

odbiera mi dech w piersi.

W pierwszej chwili zakładam, że to reakcja estetyczna. Człowiek w nabożnej czci podziwia gigantyczne osiągnięcie artystyczne. Ale to nie piękno mnie paraliżuje, lecz wzniosłość. Niepokojąca obecność węża i jego wpływ nie tylko na ikoniczną Ewę, lecz dwoje prawdziwych ludzi przedstawionych na mozaice — mężczyzna i kobieta dotknięci nie przez symbol, lecz przez ucieleśnione zło. Zielone, łuskowate ciało i rozwidlony język.

I wtedy, w cichym grobowcu kościoła, słyszę szept. Wąż utkwiał swoje oczy nie w trzymającej jabłko dziewczynie, lecz we mnie.

— Tato? — Tess opiera ręce na moich plecach.

— Co się stało?

— Ze mną? — pyta. — Co się dzieje z tobą? Podtrzymuję ciębie.

— Przepraszam. Zakręciło mi się w głowie.

Zerka na mnie z ukosa. Wie doskonale, że nie mówię jej całej prawdy, i zastanawia się, czy powinna ją poznać czy też nie.

— Wracajmy do hotelu — proponuje. — Odpocznijemy przed twoim spotkaniem.

Ona jest twoim dzieckiem, mówi w mojej głowie wyobrażona O'Brien, kiedy Tess wprowadza mnie na rozbrzmiewający krzątanią plac. *Wie więcej, niż jesteś w stanie ukryć.*

1. Niewielkie laleczki dla dziewczynek, niezwykle popularne w USA na początku XX wieku (przyp. tłum.).

Po zjedzonym lunchu czuję się dużo silniejszy. Opiekunka, którą zamówił recepcjonista, przychodzi do naszego pokoju, żeby zaopiekować się Tess na czas mojej kilkugodzinnej nieobecności. Krzepka matrona, „całkowicie sprawdzona”, jak zapewniono mnie w hotelu. Ufam jej od samego początku. Podobnie jak Tess. Zanim wychodzę, obie już rozpoczynają lekcję języka włoskiego.

— Niedługo wrócę! — wołam do Tess, która podbiega, by mnie ucałować na do widzenia.

— *Arrivederci*, tato!

Zamyka za mną drzwi. Zostaję sam. Dopiero kiedy zjeżdżam do zatłoczonego lobby, czuję się gotów do wyjęcia notatki z adresem, który podała Chuda.

Santa Croce 3627.

Typowy wenecki adres. Bez nazwy ulicy, bez numeru mieszkania, bez kodu pocztowego. Nawet maksymalne powiększenie mapy w Internecie pokazuje jedynie obszar o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych. Aby znaleźć drzwi, do których mam zapukać, muszę znaleźć się na miejscu i szukać znaków.

Wsiadam na pokład *vaporetto* na przystani hotelowej i wracam wzdłuż Canale Grande na przystań przy Rialto. Most jest dziś bardziej zatłoczony niż poprzedniego dnia i kiedy pokonuję go, żeby wejść do *sestiere* Santa Croce po drugiej stronie, jestem zwyczajnym turystą wśród zwiedzających, mijających stragany i pytających w różnych językach świata: „Ile to kosztuje?”.

Następnie idę w miarę prostą drogą wskazaną na wydruku, którym wyciągnąłem z kieszeni. Tutaj też widzę zwiedzających, którzy studiują mapy podobnie jak ja, choć kiedy kontynuuję spacer, jest ich coraz mniej. Po pewnym czasie mijam już tylko miejscowych wracających do domów z torbami pełnymi zakupów i dzieciaki odbijające piłkę o stare mury.

Chyba jestem blisko. Ale skąd mam to wiedzieć? Numery znajdują się tylko na niektórych drzwiach, a poza tym nie umieszczono ich w żadnej sensownej kolejności. Po 3668 dostrzegam 3720. Zawracam więc, uznawszy, że liczby będą maleć, tylko po to, by znaleźć numer 3732, a tuż po nim 3720. Przez większość czasu

staram się zapamiętać charakterystyczne punkty, w które mogę wbić mentalną szpilkę — opadające nisko kwiaty ze skrzynki w oknie na piętrze, starszych mężczyzn o surowych obliczach, popijających espresso przed kawiarnią. Kiedy jednak wracam w założeniu tą samą drogą, nie widzę kawiarni, a zamiast kwiatów dostrzegam podkoszulek wywieszony, żeby się wysuszył.

Dopiero kiedy zaczynam zawracać w kierunku mostu Rialto (lub w kierunku, który tylko uznałem za prowadzący do mostu), znajduję właściwe miejsce.

Na drewnianych drzwiach, dużo mniejszych od innych, dostrzegam namalowane złotą farbą przy użyciu szablonu cyfry 3-6-2-7. Drzwi muszą być oryginalne, utrzymane w takim stanie od czasów, kiedy je wytworzono dla niższych siedemnastowiecznych Wenecjan. Dzięki tym niedużym drzwiom z niewielkimi cyframi odnoszę wrażenie, że znalazłem się pod adresem, który usiłowano od dawna ukryć.

Przycisk dzwonnka migocze jak nocne światełko nawet w środku dnia. Naciskam go dwukrotnie. Nie sposób stwierdzić, czy wewnątrz budynku rozległ się jakikolwiek dźwięk.

Po chwili drzwi się otwierają. Z zacienionego wnętrza wyłania się mężczyzna w średnim wieku ubrany w szary, flanelowy garnitur, zdecydowanie zbyt gruby, żeby nadawał się do noszenia w tak gorący dzień. Jego oczy mrugają na mnie zza pomazanych soczewek drucianych okularów, jedyne dowodu nieporządku w tym nadzwyczaj formalnym wyglądzie.

— Profesor Ullman — mówi. To nie jest pytanie.

— Skoro zna pan moje nazwisko, to znaczy, że jestem we właściwym miejscu — odpowiadam z uśmiechem, by zachęcić go do humorystycznej dyskusji podkreślającej osobliwość naszego spotkania, ale w wyrazie jego twarzy nie ma niczego, co wskazywałoby, że zarejestrował cokolwiek ponad moją obecność w progu.

— Spóźnił się pan — dodaje z pewnym akcentem, ale jednak doskonałym angielskim. Otwiera szerzej drzwi i niecierpliwie macha dłonią, zapraszając mnie do środka.

— Nie przypominam sobie, żeby wyznaczono dla mnie konkretną godzinę spotkania.

— Jest późno — odpowiada z nikłą oznaką zmęczenia w głosie, sugerując, że ma na myśli coś innego niż czas.

Przechodzę do pomieszczenia, które przypomina swego rodzaju poczekalnię.

Drewniane krzesła dosunięte oparciami do ścian. Stolik z włoskimi magazynami, które — sądząc po aktach terroru i fotosach filmowych na okładkach — mają co najmniej kilka lat. Jeśli to poczekalnia, to nikt inny tutaj nie czeka. Ponadto nie ma niczego — żadnych oznaczeń, biurka recepcjonistki, plakatów — co wskazywałoby na rodzaj świadczonych tutaj usług.

— Jestem lekarzem — mówi mężczyzna w garniturze.

— Czy to pański gabinet?

— Nie, nie. — Kręci głową. — Zostałem oddelegowany. Z innego miejsca.

— Skąd?

Na moje pytanie macha tylko ręką. Nie chce odpowiedzieć albo po prostu nie może.

— Jesteśmy tutaj tylko my dwaj? — pytam.

— W tej chwili tak.

— Są jeszcze inni? O innych porach?

— Tak.

— Zatem zaczekamy na ich przybycie?

— To nie będzie konieczne.

Rusza w kierunku jednych z trojga zamkniętych drzwi. Naciska klamkę.

— Chwileczkę — mówię.

Otwiera drzwi, udając, że mnie nie słyszy. Dostrzegam wąskie schody prowadzące na piętro.

— Chwileczkę!

Lekarz się odwraca. Nie próbuje nawet maskować niepokoju, który maluje się na jego twarzy. To oczywiste, że ma zadanie do wykonania — zaprowadzić mnie na górę — i że stara się je zrealizować możliwie jak najszybciej.

— Tak?

— Co znajduje się na górze?

— Nie rozumiem.

— Chce mi pan coś pokazać, prawda? Proszę mi powiedzieć, co to takiego.

W jego oczach można niemal odczytać różne odpowiedzi, jakich mógłby udzielić. To proces, który wydaje się zadawać mu ból.

— Coś dla pana — odpowiada w końcu.

Zanim zadaję mu kolejne pytanie, zaczyna wchodzić po schodach. Jego wypolerowane, skórzane buty marki Oxford dudnią po stopniach z nieoczekiwaną

siłą, jakby chciał zagłuszyć moje dalsze komentarze lub poinformować kogoś o moim przybyciu.

Wchodzę za nim na górę.

Schody są ciepłe i ciemne. Temperatura rośnie z każdym pokonanym stopniem, a gipsowane ściany są śliskie od wilgoci. Czuję się, jakbym wchodził do czyjegoś gardła, a wraz z pojawieniem się tego wrażenia słyszę stłumione oddychanie kogoś nowego. Lub, dokładniej rzecz biorąc, dwa nakładające się oddechy. Jeden wysoki i słaby, niczym z łoża śmierci. Drugi basowy i dudniący, który bardziej się odczuwa, niż słyszy.

Na piętrze panują kompletne ciemności. Nawet kiedy spoglądam za siebie, dostrzegam tylko blade światło w poczekalni.

— Doktorze?

Mój głos wydaje się ożywiać lekarza, który włącza silną, oślepiającą latarkę.

— *Le mie scuse* — mówi, opuszczając stożek światła na podłogę.

— Światło nie działa?

— Zasilanie. Wyłączono je w budynku.

— Dlaczego?

— Nie pytałem. Chyba po prostu... — przerywa na chwilę w poszukiwaniu odpowiednich słów — ...odłączono dom od sieci.

Po raz pierwszy przyglądam się uważnie twarzy mężczyzny. Jego twarz podświetla blask latarki, więc panująca na niej panika jest wręcz karykaturalna.

— Dlaczego pan to robi? — pytam. Już samo pytanie prowokuje zaciśnięcie zębów w poczuciu dyskomfortu.

— Nie mogę powiedzieć.

— Czy ktoś pana do tego zmusza?

— Nie istnieje działanie bez wyboru — odpowiada z nieco modulowanym akcentem, jakby cytował czyjąś odpowiedź na takie samo pytanie.

— Czy jesteśmy tutaj bezpieczni?

Żałosne brzmienie tego pytania zaskakuje nawet mnie samego, ale nie lekarza, który na moment przymyka oczy, jakby pomyślał o czymś z ubolewaniem.

Następnie gwałtownym ruchem sięga po coś leżącego na stole za jego plecami. Promień latarki zatacza przy tym krąg, dzięki czemu mogę się zorientować, że jesteśmy w pomieszczeniu, z którego wyprowadzają przynajmniej troje zamkniętych drzwi. Nie ma tu żadnych dzieł sztuki czy dekoracji, jedynie lekkie migotanie

wilgoci na białych ścianach.

Lekarz ponownie oświetla mnie latarką, skupiając stożek światła na mojej piersi. Widzę, że podaje mi coś, co wygląda na zupełnie nową cyfrową kamerę wideo.

— Dla pana — mówi.

— Nie chcę jej.

— Dla pana — powtarza z naciskiem.

Upuszcza kamerę na moją dłoń.

— Co mam z tym zrobić?

— Tego mi nie powiedziano. Miałem ją tylko przekazać.

— To nie jest częścią umowy.

— Nie ma żadnej umowy — odpowiada, krzywiąc się, jakby próbował zdławić złośliwy śmiech. — To pan musi stwierdzić, co należy z nią zrobić, profesorze.

Lekarz skierował kroki w moją stronę. W pierwszej chwili zakładam, że zamierza przejść ze mną przez jedne z drzwi, które otworzy, a może zaprowadzić na wyższe piętro. Ale on mnie mija — czuję kwaśny zapach jego ciała, kiedy to robi — i dostrzegam, że zamierza zejść z powrotem po schodach.

— Dokąd pan idzie?

Zatrzymuje się i oświetla najdalsze drzwi.

— *Per favore* — mówi.

— Zaczeka pan na mnie? Na dole? Będzie pan tutaj, gdybym potrzebował pana pomocy, czy tak?

— *Per favore* — powtarza. Jest cały poźółkły i wygląda jak ktoś, kto za wszelką cenę stara się zdążyć do toalety, żeby zwymiotować.

Jedna minuta.

To moja jedyna myśl, kiedy ruszam w kierunku drzwi.

Jedna minuta na przeprowadzenie obserwacji, zgłoszenie ich temu człowiekowi czy ktokolwiek będzie czekał na mnie na dole, a potem wychodzę. Biorę bezpłatny urlop, pieniądze i znikam. Dotrzymam obietnicy.

A jaka jest prawda? Otwieram drzwi i wchodzę do środka nie w celu zdobycia pieniędzy od Chudej czy wywiązania się z zobowiązania wobec niej. Prawda jest dużo prostsza.

Chcę zobaczyć.

Mężczyzna siedzący na krześle.

Wygląda na pogrążonego we śnie. Ma zwieszoną głowę, podbródkiem dotyka piersi. Choć nie mogę zobaczyć jego twarzy, dobrze widzę rzędniejące loki w kolorze soli z pieprzem i niewielki krążek różowej skóry na czubku głowy, który występuje u wielu mężczyzn w średnim wieku. Ma na sobie spodnie od garnituru, prążkowaną koszulę i mokasyne ze skóry. Obrączka na palcu. Jego stosunkowo smukłą sylwetkę zdradza jedynie lekko zaokrąglony brzuch, jakby mężczyzna przywykł do dobrego jedzenia, ale jednocześnie był wystarczająco próżny, by walczyć z efektami za pomocą obowiązkowych ćwiczeń. Po pierwszym wrażeniu wszystko to sugeruje, że jest człowiekiem o dobrym, choć nieco nudnym guście, profesjonalistą, ojcem. Człowiekiem takim jak ja.

Ale kiedy idę kolejny krok do przodu, odkrywam kolejne, niewidoczne wcześniej szczegóły.

Jest przesiąknięty potem. Koszula przykleiła mu się do karku, pod pachami ma ciemne kręgi. Jego oddech. Chrapliwe grzechotanie, tak głębokie, że wydaje się, jakby czerpał powietrze z innego miejsca niż z własnych płuc.

I krzesło. Każda noga przykręcona do drewnianej podłogi za pomocą grubych śrub. Szorstkie, skórzane pasy, jakich używa się przy koniach, krępują mu pierś i utrzymują na miejscu.

Porwanie. Uprawdzili tego człowieka i przechowują go dla okupu.

Ale po co sprowadzili tutaj mnie? Nie oczekiwano ode mnie niczego poza stawiennictwem.

Ty też zostaniesz tutaj uwięziony. Albo gorzej. Dali ci kamerę, żeby nagrać coś strasznego. Tortury. Morderstwo. Coś, co zrobią temu człowiekowi.

Ale na co im świadek, jeśli to mam być ja, sprowadzony aż z samego Nowego Jorku?

Ciebie również uprowadzą.

W jakim celu? Nie dla pieniędzy. Nie mam ich tyle, żeby gra była warta świeczki. A jeśli chcą mnie uwięzić, to na co tyle czekali?

Północ, północny zachód Hitchcocka. Mają niewłaściwego faceta.

Ale Chuda wiedziała doskonale, kim jestem. Podobnie jak przedstawiciel linii lotniczej na lotnisku, recepcjonista w Bauerze, wszyscy ci, którzy widzieli mój paszport. Ona chciała tutaj Davida Ullmana. I oto jestem.

Zdaję sobie sprawę, że tę wewnętrzną debatę prowadzę z wyimaginowaną O'Brien. Ścisła mnie w piersi, tak bardzo bym chciał, żeby była ze mną tutaj w tej chwili. Znałaby odpowiedzi, których moja wyobrażona O'Brien nie zna.

Włączam kamerę.

Nie próbuję uciekać czy wzywać *la polizia*. Z jakiegoś powodu jestem przekonany, że nie znajduję się w bezpośrednim fizycznym niebezpieczeństwie, że nie sprowadzono mnie tutaj po to, żeby przytroczyć do krzesła.

Jestem tutaj z powodu tego mężczyzny. To on jest „sprawą”. Zjawiskiem.

Naciskam przycisk nagrywania i patrzę przez wizjer kamery, kadrując obraz na siedzącym mężczyźnie. W narożniku cyfrowy zegar zaczyna odmierzać czas. Kamera przez chwilę szuka ostrości i po chwili ją znajduje. Mężczyzna nadal śpi.

Wypróbuję opcję zbliżenia. Przciskam guzik, aż z kadru znikają podłoga i ściany.

1:24.

Nie puszczam go, dopóki w kadrze nie widzę tylko górnej części jego ciała i głowy.

1:32.

Nagle jego głowa podskakuje do góry, zrzucając z czoła wilgotne pasemka włosów. Szeroko otwiera oczy, ma przytomne spojrzenie, choć przepełnione wyczerpaniem. Nie były zamknięte przez cały czas, kiedy jego podbródek spoczywał na piersi. On nie spał ani przez chwilę.

Patrzy prosto w obiektyw kamery, a ja nie przestaję filmować. Rejestruję wyraz jego twarzy, na której niepełne zrozumienie ustępuje miejsca rozpoznaniu. Nie pomieszczenia, lecz mnie. Jego wargi rozszerzają się w uśmiechu, jakby w reakcji na przybycie starego przyjaciela.

Ale uśmiech jest zbyt szeroki, aż w kącikach ust pękają stare strupki, które pozostawały tam od chwili, gdy wykonał tę sztuczkę po raz ostatni. Wyszczera wszystkie zęby.

Warczy.

Zaczyna walczyć z pasami, którymi jest przywiązany do krzesła. Szamocze się w jedną stronę, potem w drugą, testując zamocowanie krzesła w podłodze. Śruby nie puszczają, ale siła jego szarpaniny sprawia, że trzeszczy cała konstrukcja pokoju, a lampa kołysze się nad moją głową. Idę kolejny krok do przodu na wypadek, gdyby miała spaść. Krok bliżej niego.

Następuje chwila przerwy, po której szarpie w moją stronę głową. Rozciąga szyję i ramiona na tyle, na ile pozwalają mu więzy. A nawet dalej. Jego ciało jest elastyczne i rozciąga się o centymetry ponad to, co uznałbym za możliwe dla ludzkiego

křęgosłupa.

Cofam się ponownie na bezpieczną odległość. Nagrywam kolejne minuty jego napadów. Warknięcia. Pieniste plwociny. Wydostający się z niego głoś, pomruki i syczenie.

Jest szalony. Nieokrzesany szalenię w samym środku długotrwałego ataku.

A może tylko staram się przekonywać samego siebie, że tak jest? To nie działa.

Wszystko, co robi, jest zbyt celowe, by wskazywało na chorobę umysłu. Wydaje się przypadkowym, bezcelowym cierpieniem na tle zaawansowanej choroby neurologicznej, ale tak nie jest. To, co widzę, jest ujawnieniem tożsamości, niezależnie jak wrogo nastawionej. Ma swoje wzory postępowania, szczyty wybuchu energii, dramatyczne przerwy. Jego zachowanie wynika z jakiejś wewnętrznej przytomności. I jest przeznaczone dla kamery. Dla mnie.

Bardziej niepokojące od tych gwałtownych ruchów — kobiecego gdakania, bolesnego rżenia, przewracających się oczu ujawniających białka tak nabiegłe krwią, że wydają się tworzyć maleńkie mapy bólu — są chwile, podczas których siedzi w bezruchu i patrzy na mnie. Żadnych słów, żadnych grymasów. Wygląda wtedy „normalnie” albo przynajmniej odnoszę takie wrażenie, że dostrzegam jego wcześniejsze „ja”. Mężczyzna w mniej więcej moim wieku, niezdający sobie sprawy, gdzie się znajduje, próbujący określić, kim jestem, i jak może zmienić swoje położenie, znaleźć drogę do domu. Człowiek inteligentny.

I wówczas, kiedy patrzę, jego oblicze za każdym razem się zmienia. Przypomina sobie, kim jest, określa charakter swojej przypadłości i kaskadę odczuć — obrazów? Emocji? Wspomnień?

Wtedy zaczyna krzyczeć swoim własnym głosem.

Dźwięk narasta w jego gardle, po czym zmienia się w swego rodzaju łkanie. Odczuwa przerażenie nagłe i krystaliczne, które dehumanizuje go w taki sposób, że nie mogą się z tym równać nawet jego najbardziej groteskowe wyczyny.

Patrzy na mnie i wyciąga rękę.

Przypomina mi się dwuletnia Tess, która uczyła się pływać podczas letnich wakacji na Long Island. Chodziła po płyciźnie i wystarczył jeden krok, by poczuła, jak usuwa się jej spod stóp piaszczyste podłoże i nakrywa ją fala. Za każdym razem, kiedy wypluwała wodę, jej dłoń sięgała w kierunku mojej. Potrafiła powtórzyć to bliskie śmierci doświadczenie tuzin razy w ciągu jednego popołudnia. I choć za każdym razem została uniesiona w moich ramionach, jej desperacja nie ulegała zmianie.

Różnica między Tess a tym człowiekiem polega na tym, że Tess wiedziała, czego się boi — wody, głębokości — a on nie. To nie jest choroba. To obecność obcej woli. Osobowość po tysiącokroć silniejsza od jego własnej. Nie ma możliwości, by z nią walczyć. Za każdym razem uzmysławia sobie tylko, że jest przeklęty.

W końcu przestaje i przechodzi w sen, który nie jest snem.

4:43.

Dopiero w tym momencie zaczynają mi się trząść ręce. Wcześniej nagrywany obraz mógł sprawiać wrażenie, jakby kamera stała na trójnogu, tak mocno ją ścisakałem. Teraz, po tym wszystkim, co zobaczyłem, kadr drga z przyprawiającymi o mdłości próbami automatycznej korekty, jakby wraz z bezruchem mężczyzny kamera sama ożyła.

5:24.

Głos.

Jego brzmienie uspokaja moje dłonie. Po raz kolejny robię ujęcie człowieka siedzącego na krześle. Nadal tkwi w bezruchu. Głos dochodzi z niego — musi dochodzić z niego — nie ma jednak niczego, co by to potwierdzało.

Profesor Ullman.

Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że jest on skierowany bezpośrednio do mnie. I to nie po angielsku, ale po łacinie.

Lorem sumus.

Czekaliśmy.

Głos jest męski, ale jedynie w rejestrze, nie w swoim charakterze. Prawdę mówiąc, choć tworzy ludzką wypowiedź, jest w dziwny sposób pozbawiony płci. Wyczuwam to w sposób, w jaki wyczuwa się głos wygenerowany przez najdoskonalszy komputer w celu zastąpienia ludzkiego.

Czekam na dalsze słowa, ale słyszę jedynie straszliwy oddech, znacznie głośniejszy niż wcześniej.

6:12.

— Kim jesteś?

Mój głos. Słaby i chrapliwy, jakbym dobiegał osiemdziesiątki.

Jego głowa znów się unosi. Tym razem wyraz jego twarzy nie pasuje ani do warczącego szaleńca, ani do przerażonego „normalnego” siebie, lecz do czegoś zupełnie nowego. Spokojnego. Wygląda teraz jak uśmiechnięty ksiądz czy

domokrązca. Wiem jednak, że pod powierzchnią kipi furia. Nienawiść ukryta pod skórą, ale nie w oczach.

— Nie mamy imion.

Muszę przetrwać to, co powiedział, ponieważ to, co się wydarzy dalej, zadecyduje o wszystkim. W jakiś sposób jestem o tym przekonany. Istotne jest, aby nie dać po sobie poznać, że uznają to za cokolwiek więcej niż tylko objawy choroby umysłowej. *To nie jest prawdziwe.* Zapewnienie, jakie przekazuje się dziecku czytającemu opowieść o wiedźmach czy olbrzymach. *Coś takiego nie istnieje.* Niemożliwe nie ma prawa zyskać przewagi nad możliwym. Ze strachem walczy się, zaprzeczając mu.

— „My” — zaczynam, starając się za wszelką cenę opanować drżenie w głosie. — Czy to nie znaczy, że twoje imię to Legion, gdyż jest was wielu?

— Jest nas wielu. Ale ty spotkasz tylko jednego z nas.

— Czy nie spotykamy się już w tej chwili?

— Nie z zażyłością godną tego, którego będzie dane ci poznać.

— Diabła?

— Nie pana. Tego, który siedzi obok niego.

— Czekam na to.

Nie mówi nic w odpowiedzi. Cisza tylko podkreśla pustkę mojego kłamstwa.

— A więc potrafisz przewidzieć moją przyszłość? — kontynuuję. — To tak powszechne złudzenie jak to, kiedy ktoś wierzy, że jest opętany przez duchy.

Bierze wdech. Tak długi, że na moment opróżnia pomieszczenie z całego tlenu. Pozostawia mnie w próżni, pozbawionego wagi i duszącego się.

— Twoje próby przedstawienia się jako kogoś wątpliwego są nieprzekonywające, profesorze — odpowiada.

— Moje zwątpienie jest prawdziwe — mówię, choć brzmienie głosu zdradza słowa. *Wygrasz, mówią tak naprawdę. Już wygrałeś.*

— Musisz się przygotować na zgłębianie wiedzy w zakresie tego, co cię przeraża.

— Może zaczniemy od razu?

Uśmiecha się.

— Wkrótce będziesz wśród nas.

W reakcji na to część mnie unosi się w górę i oddala od ciała. Spoglądam na siebie zadającego pytanie, które już zadałem.

— Kim jesteś?

— Człowiek nadał nam wiele imion, choć nie mamy żadnego.

— Nie. Nie powiesz mi, kim jesteś, bo znajomość imienia wroga daje przewagę.

— Nie jesteśmy wrogami.

— Kim zatem jesteśmy?

— Konspiratorami.

— Konspiratorami? A co jest naszym celem?

Śmieje się. Niski, pełen zadowolenia pomruk, który wydaje się dochodzić z samych fundamentów domu. Z ziemi pod nimi.

— Nowy Jork 1259537. Tokio 996314. Toronto 1389257. Frankfurt 540553. Londyn 590643.

Kiedy przestaje, gałki oczne mężczyzny przewracają się w czaszce, ukazując przekrwione białka. Bierze zdumiewająco długi wdech. Wstrzymuje go. Wypowiada słowa, które niosą cierpki odór zwęglonego ciała.

— 27 dnia kwietnia... świat zostanie naznaczony naszymi liczbami.

Głowa opada do przodu. Ciało mężczyzny znów nieruchomieje. Jedyne płytki oddech utrzymuje go po tej stronie śmierci.

8:22.

Trzy minuty. Tak długo trwała moja rozmowa. Z nimi. Trzy minuty, które wydają mi się całym rozdziałem życia, okresem długim niczym etap dorosłości czy ojcostwa, w którym znaczenie własnej osobowości zostaje zdefiniowane na nowo. Czas między 5:24 a 8:22 zostanie zatytułowany *Kiedy rozmawiałem z człowiekiem z Wenecji*. I będzie to okres naznaczony żalem. Stratą, której kształtu nie potrafię póki co określić.

Czas odejść.

Jeśli sprowadzono mnie tutaj, żebym doświadczył symptomów chorego umysłu tego człowieka, to widziałem już dość. Pragnienie cofnięcia czasu i zmiany decyzji o wejściu do tego pokoju jest tak silne, że podświadomie przesuwam się na piętach w stronę drzwi, zwiększając o kolejne centymetry odległość między sobą a śpiącym mężczyzną. Próbuję udawać, że potrafię cofnąć ostatni kwadrans, wykasować go z pamięci tak łatwo, jak mógłbym skasować nagranie w kamerze rejestrujące mój odwrót.

Ale ja nie zapomnę. Kamera zachowa słowa tego człowieka z taką samą klarownością jak mój własny umysł.

I wówczas on robi coś, co będzie jeszcze trudniejsze, żeby o tym zapomnieć.

Budzi się i unosi głowę. Tym razem powoli.

Widzę twarz tego człowieka, choć zmienioną w taki sposób, że chyba tylko ja mogę to dostrzec. Płynne, chwilowe zmiany rysów, które zmieniają jego tożsamość w kogoś zupełnie innego, kogoś, kogo znam. Oczy są teraz nieco bliżej siebie, ma długi nos i cienkie wargi. Twarz mojego ojca.

Próbuję krzyczeć. Z mojego gardła nie wydostaje się żaden głos. Słyszę tylko słowa wypowiedane przez tego człowieka. Przez mojego ojca w nim goszczącego. Jego ostre oskarżenie, jego szorstkość. Głos człowieka, który nie żyje od ponad trzydziestu lat.

— To powinienes być ty — mówi.

Opuszczam pokój, potykając się o własne nogi, i schodzę po schodach w szybkim tempie. Przecinam pustą poczekalnię — ani śladu po lekarzu — i wybiegam na wąską uliczkę. Uciekam od numeru 3627, nie odwracając się za siebie, choć jakaś część mnie pragnie to uczynić. Ta część wie, że jeśli spojrzę przez ramię, mężczyzna będzie stał w oknie na drugim piętrze, uwolniony ze swoich więzów, i będzie się uśmiechał z góry.

Dopiero kiedy ogień w płucach zmusza mnie do zatrzymania i oparcia się o ścianę chronioną przed słońcem, zdaję sobie sprawę, że wciąż trzymam w dłoni kamerę. I że wciąż trwa nagrywanie.

11:53.

Naciskam kciukiem przycisk STOP. Ekran ciemnieje.

W jednej chwili zginam się wół i wymiotuję na bruk. Czuję ból w kościach, wściekły i nieprzewidywany. Przypomina trochę znane mi już objawy grypy, ale towarzyszy mu coś dodatkowego. Gdybym miał opisać swój ból, to określiłbym go mianem nie fizjologicznego, niezwiązanego z chorobą, ale z myślą. Infekcja wściekłą ideą.

Wycieram usta w rękaw marynarki i ruszam dalej.

Tess.

Muszę do niej wrócić. Upewnić się, że nic jej się nie stało, a następnie wskoczyć na pokład najbliższego samolotu lecącego do Nowego Jorku — niezależnie od tego, czy cierpię na malarię czy jeszcze gorzej. Musimy stąd odlecieć.

Najpierw jednak muszę znaleźć drogę do Canale Grande. Zamierzam wskoczyć do pierwszego *vaporetto*, które się nawinie. To nie powinno być zbyt trudne, choć nie mam pojęcia, gdzie jestem. Ale dopóki się przemieszczam, muszę w końcu trafić nad wodę.

To nie działa.

Zgubiłem się jeszcze bardziej niż wcześniej z Tess, podczas naszej przechadzki z hotelu dzień wcześniej. I wcale nie widzę w tym niczego urokliwego — ogarnia mnie tak silna panika, że zaciskam zęby, żeby się nie rozpląkać. Czuję konieczność

powrotu do Tess, niepokój związany z niemożnością określenia, gdzie jestem, i rozgorączkowanie, które wykręca *calle* przede mną w pofalowany tunel. Poza tym towarzyszy mi silne przekonanie, że jestem ścigany. Coś ciężkiego i bliskiego, tuż za moimi plecami.

Znów zrywam się do biegu. Skręcam za narożnik. W tej samej chwili dostrzegam, co to jest, czuję zapach. Ta sama woń stodoły, która towarzyszyła Chudej w moim gabinecie.

Ale to nie ona stoi przede mną w alejce, lecz stado świń.

Tuzin albo więcej. Wszystkie zwrócone w moją stronę, z rozszerzającymi się nozdrzami. Choć wydaje się to niemożliwe, to one faktycznie tam są. Zbyt szczegółowe w swoim wyglądzie, by były skutkami ubocznymi tego, przez co czuję się zatruty. Zbyt świadome tego, kim jestem.

Zwierzęta ruszają w moim kierunku, kwicząc, jakby je przypalano. Ich racice grzechoczą po bruku.

Wycofuję się i wracam za narożnik, który przed chwilą pokonałem. Czekam, aż ich zęby dosięgną mojej skóry. Rozerwą ją i zaczną pożerać.

Ale się nie pojawiają. Wyglądam zza narożnika. *Ramo* jest pusta.

Nie zatrzymuj się, żeby to zrozumieć. Być może nigdy tego nie zrozumiesz.

To znów moja wewnętrzna O'Brien.

Po prostu idź dalej.

Po prostu więc idę dalej.

Na końcu następnej *calle* — takiej, którą z całą pewnością już raz przeszedłem, jeśli nie ze trzy razy — dostrzegam Canale Grande. Pojawia się niespodziewanie, jak po przewróceniu strony.

Nie zatrzymuj się.

Coś się dzieje.

Ale ona jest bezpieczna.

Takie pojęcie już nie istnieje.

Skąd o tym wiesz?

Bo on wie, kim ona jest.

Siadam w tylnej części łodzi, gwałtownie łapiąc oddech. Staram się myśleć tylko o Tess. O powrocie do Tess. O ucieczce z Tess. O odprawieniu opiekunki, telefonie do linii lotniczej, wsiadaniu do wodnej taksówki. O zostawieniu za plecami tego tonącego miasta.

Do mojej głowy wdzierają się jednak inne myśli. Mój profesorski mózg podrzuca przypisy, interpretacje. Tekst, który trzymam w dłoni, to ostatnia godzina mojego życia. A lektura — nonsensowna, nieprzerwana — opowiada o moim doświadczeniu odzwierciedlającym to, co napisano o poprzednich spotkaniach człowieka z demonem.

Próbuję przywołać w myślach twarz Tess. Zamiast tego wciąż pojawia się mężczyzna siedzący na krześle. Jego skóra odpada, ujawniając prawdziwą twarz tego, co tkwi w nim.

Odciąga moje myśli w inną stronę.

Demon z Gerazy. Dwukrotnie wymieniony w Ewangeliach świętego Łukasza i świętego Marka. W opowieści Jezus podszedł do nagiego, bezdomnego mężczyzny mieszkającego w grobowcu, człowieka „opętanego przez ducha nieczystego”¹. Kiedy demon zobaczył Chrystusa, zaczął go błagać, żeby go nie dręczył. Jezus zapytał go o imię, mężczyzna odpowiedział „Legion”, ponieważ opętał go więcej niż jeden demon. Zbawiciel wypędził duchy nieczyste, przenosząc je w pasące się w pobliżu świnię.

*Tak duchy nieczyste wyszły i weszły w świnię. A trzoda około dwutysięczna ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora. I potonęły w jeziorze*².

Mężczyzna przytroczony do krzesła przy Santa Croce 3627 był tak samo opętany jak człowiek z Gerazy — wielokrotnie nawiedzany i beznadziejnie uwięziony przez demony. Również twierdził, że nie ma imienia, gdyż jest ich wielu. A potem to stado świń biegnące na mnie w labiryncie alejek. Albo mam halucynacje, albo jest to zbieg okoliczności w znacznym stopniu wykraczający poza przypadkowość.

Przestań!, krzyczy O'Brien w mojej głowie.

Ale nie mogę przestać.

Kolejny stary tekst, tym razem apokryficzny. *Compendium Maleficarum* autorstwa brata Francesca Marii Guazzo z 1608 roku. Watykan i inne organizacje o charakterze teologicznym traktowały tę pracę jako główny przewodnik w sprawach opętania przez demony i dzieło dotyczące egzorcyzmów. Guazzo opisał pięćdziesiąt metod określenia, czy dane opętanie jest autentyczne. Wspomina między innymi o występowaniu u podejrzanych uczucia mrowienia pod skórą, dokładnym przepowiadaniu przez nich przyszłych zdarzeń. Poza tym mieli słyszeć głosy w głowie, które mówią rzeczy wykraczające ponad ludzkie zrozumienie, choć dotyczą prawdziwych rzeczy.

Te trzy oznaki przychodzą mi szczególnie na myśl, kiedy do moich zbliżonych do grypy objawów dochodzi wściekłe swędzenie całego ciała, które sprawia, że mam ochotę wyskoczyć z *vaporetto* i schłodzić się w wodach Canale Grande. I o co chodziło z tymi nazwami miast, którym towarzyszyły liczby? Czy to jakiś kod? Adresy? Numery telefonów? Czymkolwiek są, zostały powiązane z datą wypadającą za kilka dni. Dwudziesty siódmy kwietnia. Kiedy „świat zostanie naznaczony naszymi liczbami”.

I do tego głos mojego ojca mówiący o tym, że to powinienem być ja.

Mówiłam ci, żebyś nie myślał, mówi O'Brien.

Wszystkie zabytki, o których czytałem w przewodnikach, przesuwały się z boku, kiedy *vaporetto* dopływa do hotelu, ale teraz nie pamiętam już ich nazw, nie wspominając o ciekawostkach związanych z ich historią. Teraz to po prostu stare, piękne budowle, wolne od czci, którą nadałem im wczoraj. Przykrywają je fasady przywodzące na myśl poczucie fałszu, złożonych dekoracji, mających na celu ukrycie żądzy i pragnień ich pierwotnych właścicieli. Jakim cudem to dostrzegam? Wychodzi na to, że wraz z moją „grypą, która gripą nie jest”, pojawiła się zdolność przeświadczenia, zagłębienia w głąb budynków i w głąb ludzi, którzy je wzniesli oraz dostrzegania ich prawdziwych motywacji. Perspektywa, która przynosi ze sobą straszliwą rozpacz. Klaustrofobia bycia istotą ludzką.

Jest to uczucie, które wyprzedza powrót pamięci. Coś, co wprawnie ignorowałem dzięki wiedzy naukowej, życiu rodzinnemu, tysiącu drobnych trików unikania, w których można wyspecjalizować mózg każdego dnia. Teraz jednak wszystko wraca z tak wyraźną mocą, że nie jestem zdolny do przyćmienia tych obrazów.

Mój brat. Topielec.

Jego ramiona uderzające o powierzchnię rzeki tuż za leśnym domkiem naszych

rodziców. Zanurzająca się na zawsze głowa. Jego ramiona w końcu też przestają walczyć. Płyynie wraz z biegiem rzeki. Wolniejszy niż prąd, jakby jego stopy wlokły się po dnie i chciały przeciwstawić się śmierci.

Miałem wtedy sześć lat.

— Panie Ullman?

Ktoś stoi nade mną. Mężczyzna w czarnym garniturze, sięgający ręką w dół.

— Tak?

— Witamy ponownie w hotelu Bauer. Czy miał pan miłe popołudnie?

1. Por. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, wyd. 3 popr., Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1990, Ewangelia wg św. Marka 5,2: „Ledwie wysiadł z łodzi, zaraz wybiegł Mu naprzeciw z grobów człowiek opętany przez ducha nieczystego”; Ewangelia wg św. Łukasza: „Gdy wyszedł na ląd, wybiegł Mu naprzeciw pewien człowiek, który był opętany przez złe duchy”. WEwangelii wg św. Mateusza występuje dwóch opętanych (wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z tego wydania — przyp. red.).

2. Ewangelia wg św. Marka 5,13: „I pozwolił im. Tak duchy nieczyste wyszły i weszły w świnie, A trzoda około dwutysięczna ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora. I potonęły w jeziorze”; Ewangelia wg św. Łukasza 8,33: „Wtedy złe duchy wyszły z człowieka i weszły w świnie, a trzoda ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora i utonęła”; Ewangelia wg św. Mateusza 8,32: „Rzekł do nich: «Idźcie!» Wyszły więc i weszły w świnie. I naraz cała trzoda ruszyła pędem po urwistym zboczu do jeziora i zginęła w falach” (przyp. red.).



Biegnę po schodach do naszego apartamentu. To powinno zabrać nie więcej jak minutę czy dwie, ale wydaje się trwać całą wieczność. Przez cały czas pojawiają się przed moimi oczami straszliwe obrazy tego, co znajdę w pokoju po otwarciu drzwi.

Skrzywdzona Tess.

Tess warcząca i miotająca się jak mężczyzna w pomieszczeniu i opiekunka bezskutecznie usiłująca ją okiełznać.

Pusty apartament.

Zawiodłem Tess. Zostałem wyprowadzony na manowce, wysłany do domu w Santa Croce w ramach dywersji. Celem tego wszystkiego nie było zarejestrowanie zjawiska, lecz oddzielenie mnie od córki w obcym mieście, aby można ją było porwać.

Kiedy jednak kopię w drzwi prowadzące do apartamentu, ona jest w środku. Szklane drzwi salonu są szeroko otwarte, za nimi migoczą wody Canale Grande. Tess siedzi na sofie i pisze w swoim dzienniku, opiekunka ogląda w telewizji operę mydlaną z wyciszoną fonią.

— Tato!

Tess zrywa się w moją stronę. Wita mnie takim uściskiem, że niemal odbiera mi całe uczucie drążącej mnie choroby.

— Jesteś gorący! — mówi, dotykając moich dłoni i policzków.

— Nic mi nie jest.

— Twoje oczy.

— Co z nimi?

— One są... bardzo przekrwione.

— To tylko jakaś grypa. Nie przejmuj się, kochanie.

Opiekunka stoi za Tess, starając się uśmiechać. Ale ona również dostrzegła coś niepokojącego w moim wyglądzie. Wystarczy rzut oka w lustro w przedpokoju, żebym zrozumiał ich troskę.

— Dziękuję. *Grazie*.

Podaję jej wachlarz banknotów w kwocie niemal dwukrotnie większej od umówionej, jednak opiekunka odbiera pieniądze opornie, jakby się obawiała, że

moja przypadłość przejdzie na nią przez papier.

Kiedy wychodzi, informuję Tess, że musimy jechać.

— Bo jesteś chory?

— Nie, skarbie. Bo... nie podoba mi się tutaj.

— Mnie się tutaj podoba.

— Nie chodzi mi o miejsce. Po prostu... — zaczynam, usiłując wymyślić coś sensownego. W końcu decyduję się, żeby powiedzieć prawdę. — Po prostu nie mam pewności, czy jesteśmy bezpieczni.

Nie chcę jej straszyć. Ale ona się nie boi. Na jej twarzy gości wyraz, którego nie potrafię odczytać. Coś zbliżonego do zdecydowania. Grymas wykazujący wolę podjęcia walki.

Cokolwiek by to nie było, to moja wina. Co ja sobie myślałem, mówiąc coś takiego?

Odpowiedź jest taka, że to nie ja to powiedziałem, ale to coś, co podążyło tutaj za mną. Istota niebędąca Tess ani mną, przebywająca z nami w tym pokoju.

— Spakuj swoje rzeczy — nakazuję. — Muszę wykonać kilka telefonów.



Być może to skupienie wymagane do obsługi mojego iPhone'a, rozmowy z przedstawicielami linii lotniczych, znalezienie nocnego lotu (szczęśliwie znajduję połączenie Alitalii do Londynu, a następnie British Airways do Nowego Jorku). A może po prostu udało mi się wytworzyć pewien dystans między mną a mężczyzną z 3627. Tak czy inaczej, czuję się niemal natychmiast lepiej. Bryza wpadająca przez otwarte drzwi na taras osusza mi pot na karku. Z żołądkiem też jest już dużo lepiej. Co więcej, mroczne myśli, które nawiedziły mnie podczas powrotu *vaporetto*, odeszły, pozostawiając po sobie pokrzepienie, jakiego nie czułem w ciągu ostatnich kilku tygodni. Czy to był dziwny dzień? Na pewno. Konspiracja przygotowana w innym świecie? Mało prawdopodobne.

Co mam w takim razie począć z tą kamerą wideo? Kiedy kończę rozmowy przez telefon, spostrzegam ją na stoliku. Oko jej obiektywu wpatruje się we mnie. Wewnątrz urządzenia tkwi mężczyzna z pokoju. Jego zgrzytanie zębami i szamotanina. Ale również miasta i liczby. Pozbawiony życia głos. Mój ojciec.

Rozważam pozostawienie jej w apartamencie, ale ostatecznie pakuję ją pospiesznie, wciskając pod skarpety, jak gdyby miało to pomóc w zbagatelizowaniu treści nagrania. Jestem w tym momencie zbyt otumaniony, żeby stwierdzić, skąd o tym wiem, ale zawarta tam dokumentacja może być ważna. Nie chodzi o to, że będę to jeszcze raz oglądał. Ale uczonemu tkwiącemu we mnie — archiwście, oświeconemu przeciwnikowi niszczenia danych historycznych — nie podoba się idea niszczenia tych danych. Podobnie jak to jest w przypadku tekstów, mogą one zawierać coś, co nie jest oczywiste w pierwszej chwili.

Zapinam walizkę. Przeczesuję palcami wilgotne włosy.

Żegnaj, bajecznie drogi apartamencie hotelowy. Żegnaj, wspaniała Santa Maria della Salute, bazylika ujęta w ramie okna niczym widokówka. Żegnaj, Wenecjo. Już tutaj nie wrócę. A kiedy nadejdzie zaraza, śmiało, wzniescie kolejny kościół. Niezależnie od tego, czy faktycznie leczą choroby czy też nie, są one bez wątpienia piękne.

— Tess? Czas ruszać w drogę, kochanie.

Przeciągam walizkę na kółkach do salonu, spodziewając się ją tam zastać. Ale jej tam nie ma, choć dostrzegam jej bagaż. Uchwyt jest wysunięty, ale sama torba leży

porzucona na podłodze.

— Tess?

Sprawdzam pokój. Obie łazienki. Otwieram drzwi prowadzące do apartamentu i wychodzę na pusty korytarz.

— Tess!

Okna w salonie. Szeroko otwarte drzwi i zasłony kołyszące się na gorącej bryzie.

Biegnę na taras. Rozglądam się dookoła. Patrzę w dół, w kierunku przystani hotelowej. Żadnego zamieszania. Tam też nie ma Tess.

Dzwonię do recepcji. To właśnie powinienem zrobić. Personel hotelu powinien jej już szukać. Policja również. Jeśli opuściła hotel, zagubienie się w miejskim labiryncie to tylko kwestia czasu.

Prześnięta szamotać się dookoła. *Myśl*. Kolejne kroki muszę podjąć w odpowiedniej kolejności. To, co teraz zrobię, zadecyduje o wszystkim.

Ona jest na dachu.

Znów przerywa mi głos należący do O'Brien. Tym razem nie jest to jednak moja wyobrażona O'Brien, lecz coś rzeczywistego. Moja przyjaciółka jest tutaj ze mną.

Il Settimo Cielo. Idź, Davidzie. Ruszaj.

Kiedy wybiegam z apartamentu i ruszam w górę po schodach na siódme piętro, zastanawiam się, czy mogę zaufać temu głosowi. Być może to kłamstwo. Może wszystko, co słyszałem w pokoju pod 3627, było kłamstwem.

Ale to prawda.

Wbiegam do położonej na patio restauracji na dachu hotelu i dostrzegam ją. Moja córka stoi na skraju dachu. Znajduje moje spojrzenie wśród tłumu przerażonych gości i kelnerów.

— Tess!

W moim krzyku jest coś władczego — znam jej imię — co sprawia, że tłum się rozstępuje, cichną zachęty do wezwania policji lub komentarze, żeby „ktoś coś zrobił”. Zgromadzeni ludzie pozwalają mi podejść bliżej. Staram się iść spokojnym krokiem i pewnie stawiać stopy.

Przez cały czas Tess nie spuszcza ze mnie wzroku. Kiedy jednak podchodzę bliżej, okazuje się, że się myliłem. To jej oczy, niebieskie jak moje, ale to nie Tess nimi spogląda. To nie moja córka stoi na skraju dachu z rozłożonymi ramionami i palcami rozczapierzonymi w taki sposób, by czuć wiatr między nimi. W jej postawie panuje jakaś sztywność, która zdradza nieznamość, testowanie

równowagi i siły. To tak, jakby kogoś zamknięto w więzieniu ze skóry i kości. To jej ciało, ale to nie ona.

Kiedy jestem wystarczająco blisko, by ją chwycić, wycofuje się. Wyciąga za siebie jedną nogę w taki sposób, że balansuje na jednej stopie, a druga kołysze się na wietrze.

To oznacza, że mam się zatrzymać. I działa skutecznie.

Witaj, Davidzie.

Tym razem to zupełnie inny głos. Męski, opanowany. Słowa wypowiedziane wyraźnie, jakby z podkreśleniem swego rodzaju subtelności. Głos nieprzypominający tych, które słyszę na uniwersyteckich konferencjach lub u rodziców studentów, którzy przekazują pieniądze tylko po to, by ich nazwiska znalazły się na budynkach kampusu.

— To ty jesteś tym, z którym miałem się spotkać — mówię.

Będziemy tak blisko. Pewnie nie zostaniemy przyjaciółmi. Nie, zdecydowanie nimi nie zostaniemy. Ale bez wątpienia będziemy blisko.

Opuszcza nogę Tess, dzięki czemu znów stoi na obu stopach. Nie robi tego jednak, żeby przestać. Obie stopy cofają się, tak że jej pięty wiszą teraz nad krawędzią.

— Zostaw ją.

Odpowiada głosem przypominającym głos Tess, choć nie jest to głos mojej córki. Ten sam sposób wyrażania się, ta sama intonacja, której użyła przed półgodziną, kiedy powiedziałem, że chcę opuścić Wenecję. Doskonałe naśladownictwo, choć wyprane z życia.

Mnie się tutaj podoba.

— Proszę. Zrobię, o cokolwiek poprosisz.

Nie chodzi o to, żeby kazać ci coś zrobić, odpowiada ponownie swoim głosem. *To dla ciebie, Davidzie. Twoja własna podróż. Wędrowka.*

Znów to słowo. *Wędrowka.*

Starszy mężczyzna w samolocie również go użył. I Chuda również w taki sposób mówiła o sobie, czyż nie? Że nie jest podróżniczką, lecz wędrowniczką. Nawet wtedy pomyślałem sobie, że to słowo ma szczególne znaczenie w przypadku Milтона. Szatan i jego sługi wędrują po ziemi i w piekle, nadając sobie kierunek, ale bez miejsca przeznaczenia. Interpretuje się to powszechnie jako podkreślanie bezdomnej natury demonicznej istoty. Dryfowanie po odmętach czyśćca. Nieuzasadnione

i pozbawione miłości.

I wóczas, jakby odczytując moje myśli, głos sam cytuje wersety *Raju utraconego*:

*Błądzą wśród tej pustki mrocznej,
Gdyż droga moja przez monarchię
Waszą rozległą prowadzi ku światłu.
Bez przewodnika, na pół zagubiony,
Samotny, szukam...*

— Powiedz mi zatem — mówię łamiącym się głosem. — Czego szukasz? Obiecuję, że pomogę ci to znaleźć.

Już znalazłem to, czego szukałem. Znalazłem ciebie.

Stopy Tess ze zgrzytem przesuwają się znowu do tyłu. Cała jej waga opiera się teraz na palcach stóp jak u zawodnika przygotowującego się do skoku z trampoliny do wody.

Dużo jest jeszcze do odkrycia, Davidzie. Choć czasu niewiele.

— Ile?

Kiedy dostrzeżesz liczby, będziesz miał czas tylko do księżyca.

— Dlaczego? Co się potem wydarzy?

Dziecko będzie należało do mnie.

Skaczę do przodu. Chwytam dłoń Tess.

Choć ciągnę z całej siły — a ona jest przecież jedenastolatką ważącą o połowę mniej niż ja — jestem w stanie tylko utrzymać ją w miejscu. Siła tego oporu nie należy do niej, lecz do głosu. W chwili, kiedy dotykam Tess, pokazuje mi on również swój charakter. Połączenie bólu, zderzenia się i płomieni.

Mój brat wciągający do płuc wodę z rzeki.

Samotna Tess krzycząca w ciemnym lesie.

Twarz mojego ojca. Zbyt bliska, by ujrzeć wszystkie rysy od razu, lecz każda jego część jest odrębnie naznaczona nienawiścią.

Odcięty kciuk. Tryskająca krew.

Usta Tess się otwierają. Słyszę, że coś mówi, ale nie potrafię natychmiast określić znaczenia tych słów. Ona jest bliska upadku, a ja próbuję ją zatrzymać. W tej chwili istnieje tylko wysiłek, który wkładam w ten uchwyt. Jej palce zaczynają się zamykać, wysuwać z moich.

— TESS!

I już jej nie ma.

Rozkłada uwolnione ręce niczym skrzydła. Nie odpycha się od krawędzi, po prostu leci do tyłu, spowolniona przez opór powietrza. Na jej twarzy maluje się przerażenie — to znów jej twarz — ale ciało pozostaje nieruchome i opanowane, a warkocz unosi się pionowo ku górze niczym stryczek.

Doskakuję do krawędzi i widzę, jak obraca się raz w powietrzu, po czym uderza o powierzchnię wody w kanale.

Wraz z uderzeniem docierają do mnie słowa wyszeptane tuż przed upadkiem. Nie wyszeptala ich w tajemnicy — zrobiła to dlatego, że zebrała wszystkie siły, żeby odepchnąć tkwiącą w niej istotę. Krótka chwila, podczas której odzyskała kontrolę nad własnym językiem, wystarczająco długa, żeby wypowiedzieć prośbę.

Moja dziewczynka. Wołająca mnie, żebym zabrał ją do domu.

Odnajdź mnie.

- II -
JEZIORO
PŁOMIENI



Rozpacz ma swój kolor.

Teraz wiem też, że posiada inne cechy, które wspólnie tworzą swego rodzaju osobowość. Wrogi byt, który pojawia się w twoim życiu i nie chce odejść, lecz siada tuż obok ciebie i szepcze do ucha imię utraconej osoby. Ale dla mnie, bardziej niż cokolwiek innego, rozpacz przedstawia się w odcieniach kolorów. Ten sam deprymujący turkus na ścianach kuchennych domku, w którym spędzaliśmy letnie wakacje i — kiedy pojawiła się konieczność sprzedaży domu w mieście — gdzie mieszkaliśmy do dnia, w którym ojciec wyszedł do lasu pewnej lipcowej niedzieli, niosąc ze sobą tylko fotografię mojego brata i strzelbę, po czym nigdy nie wrócił.

To kolor mojej płaczącej matki przy zlewozmywaku, zwróconej do mnie plecami. Kolor ojca siedzącego samotnie w nocy przy kuchennym stole i podnoszącego się z krzesła tylko po to, by odebrać milczący telefon i powiedzieć „halo” na pustej linii. Kolor rzeki, w której utonął mój brat.

A teraz cały Nowy Jork jest skąpany w turkusie. Wszędzie widzę tę barwę. Mniejsze fragmenty, pojawiające się znikąd i zwracające moją uwagę. Partyzancka kampania reklamowa, która niczego nie promuje. Krwawiący turkus dotyka wszystkiego jak rozpływająca się akwarela w miejscu, w którym pędzel dotyka papieru. Widzę miasto przez akwamarynowy żel — Chrysler Building, pędzące taksówki i kaniony żłobiące centrum w podwodnym odcieniu. Nawet moje zamknięte powieki są podświetlone smutkiem. To kolor wnętrza domu spokojnej starości i łazienek na dworcu autobusowym. Kolor Canale Grande.

Minęły dwa dni od mojego powrotu z Wenecji i pięć od momentu upadku Tess z dachu hotelu Bauer do wody. Wróciłbym wcześniej, ale policja w Wenecji przez cały czas poszukiwała jej ciała, a ja nie mogłem wyjechać przed zakończeniem poszukiwań. Nie znaleźli jej. Zaginięcie ciała osoby, która tonie w weneckim kanale, nie jest niczym dziwnym, ponieważ zwłoki są niesione zaskakująco silnym prądem do laguny, między zewnętrznymi wysepkami, żeby ostatecznie skończyć w wodach Adriatyku. Do tego dochodzą wszystkie podwodne skarpy, tunele i kanały ściekowe

samego miasta, tworzące sieć niewidocznych kieszeni, w których może zatrzymać się ciało. W poszukiwaniach brali udział nurkowie (w wiadomościach pojawiła się krótka informacja na nasz temat, wraz z fotografią nurka wskakującego do kanału z gondolierem w pasiastej koszuli w tle), ale i oni niczego nie odnaleźli, co nie wydawało się ich zaskakiwać.

Nikt nawet nie zasugerował, że Tess może jeszcze żyć. Sam nie uważałem tego za możliwe. Ale należało zadać to pytanie, więc je zadałem. Za każdym razem prowokowałem to samo spojrzenie — spojrzenie pełne współczucia, jakim obdarza się umyślowo chorą osobę, której nie można odpowiedzieć w inny sposób.

Kiedy odwołali poszukiwania (obiecując zastosowanie należytych procedur i częsty kontakt), zachęcono mnie do powrotu do domu, gdyż nie było już dla mnie w Wenecji nic do roboty. Jeszcze nigdy dotąd nie czułem się tak nielojalny jak w momencie, kiedy wsiadałem do samolotu ze świadomością, że ciało mojej córki leży gdzieś w wodnej toni.

Rozmawiałem oczywiście kilkakrotnie z Diane, zarówno przez telefon, jak i osobiście w Nowym Jorku. O'Brien pozostawiła kilka wiadomości, oferując wprowadzenie się do mojego mieszkania na tak długo, jak długo będę potrzebował towarzystwa. Odmówiłem jej przez wiadomość tekstową. Zamiast przyjmować pełne współczucia zaproszenia, poświęciłem czas na zapychanie automatycznej sekretarki weneckiej policji pytaniami do każdego możliwego wydziału, który mógł mieć coś wspólnego z poszukiwaniami ofiar utonięć. Oprócz tego wędrowałem po turkusowym mieście i rozmyślałem o Tess.

Wędrówka.

Być może głos miał właśnie to na myśli, kiedy mówił, co mnie czeka. Tak pozbawione celu przemieszczanie się jest bardzo zbliżone do śmierci. Włóczenie się z Wall Street do Harlemu i z powrotem, decydując się na przypadkowe boczne uliczki. Niezauważony i nieobecny. Jak zjawa.

Podczas tych wędrówek gdzieś na krańcach mojej świadomości tworzą się niemożliwe powiązania.

To początek obłądu. Tak silne poczucie winy, że aż wynaturza myśli. Dopuszczać je do siebie to oddalać się od świata, a jeśli można im choć po części wierzyć, należy już nigdy do niego nie wracać.

Jednak nawet ta świadomość nie powstrzymuje mnie przed myśleniem.

Może głos, który wydostał się z ust Tess, był niezależnym bytem, duchem, który przejął nad nią kontrolę na ostatnie dwadzieścia minut jej życia? Może to ów byt

wyrwał jej dłoń z mojej? Może moja córka nie popełniła samobójstwa (jak niechybnie stwierdzili koroner i policjanci, kiedy podejrzenia skierowane w moją stronę zostały zrewidowane przez zeznania świadków), ale morderca zaatakował od wewnątrz? Może ten głos należał do demona, który obiecał mnie odwiedzić, kiedy mówił przez spętanego człowieka z 3627?

Pewnie nie zostaniemy przyjaciółmi. Ale bez wątpienia będziemy blisko.

Może ten byt podązał na moich plecach od pokoju zajętego przez mężczyznę na krzesle do hotelu, a stamtąd zaprowadził mnie do Tess? To by wiele wyjaśniało. Dlaczego poczułem się tak nagle chory po ucieczce z Santa Croce 3627, a potem niespodziewanie wydobrzałem w naszym pokoju w Bauerze. Dlaczego widziałem kwiczące świny na ulicy. Dlaczego Tess poszła na dach. Dlaczego w ostatnich słowach poprosiła, żebym ją odszukał. I dlaczego nie odnaleziono jej ciała.

Oto jak daleko upadłem.

Nie. To nieprawda. Posunąłem się jeszcze dalej.

A jeśli cechy osobowości, które dzielimy z Tess, to najbardziej skryte znamię melancholii, nigdy tak naprawdę nie były zwyczajnym temperamentem, lecz wskazówką, że byliśmy wybrani od samego początku? Gdybym znajdował się na sali wykładowej, a pytanie, które właśnie sobie zadałem, padło z ust studenta, znałbym precedens. Wyrecytowałbym go z pamięci. Ewangelia świętego Marka, rozdział dziewiąty. Kolejny przykład przepędzenia demona przez Jezusa. Tym razem u chłopca. Ojciec błagający Zbawcę o uwolnienie syna od obecności złego ducha, który często wrzucał go „nawet w ogień i w wodę, żeby go zgubić”.

W wodę.

Samobójstwo. Demoniczna prowokacja.

Chrystus zapytał ojca, od jak dawna chłopiec tak cierpi.

Ten zaś odrzekł: „Od dzieciństwa”¹.

Oto kolejna definicja wędrowania. Emocje tak silne, że wymagają przesądu, żeby je wyjaśnić. Jest to bądź co bądź kluczowa obserwacja moich studiów. Strach — przed śmiercią, stratą, samotnością — jest źródłem wiary w to, co ponadnaturalne. W przypadku kogoś takiego jak ja nagłe znalezienie się w świecie prymitywnych mitów można postrzegać tylko jako objawy jakiegoś załamania psychicznego. Wiem, że jest to tak weryfikowalne jak numery domów, które mijam, jak czas na moim zegarku. *Składam propozycję, żeby demon odebrał mi córkę.* Wystarczy się zatrzymać i wypowiedzieć to głośno kilka razy. Albo to usłyszeć. Jest to taki rodzaj teorii,

która doskonale usprawiedliwia zamknięcie kogoś w szpitalu psychiatrycznym Bellevue na długoterminową obserwację.

Ruszam więc dalej otoczony niebieskozielonymi ludźmi wśród niebieskozielonych budynków.

I nie czuję prawie niczego.

Oczywiście tęsknię za Tess, opląkuję ją, mam złamane serce. Ale „tęsknić”, „opląkiwać”, „mieć złamane serce” — te wszystkie słowa są tak nieadekwatne, że wręcz obraźliwe. Tu nie chodzi o znalezienie sposobu na parcie dalej do przodu. Ani o gniewanie się na Boga. Tylko o umieranie. O chęć bycia martwym.

Rejestruję jedynie obecność dzieci. Zawsze tak było. Nie ma chyba rodzica, który patrząc na bawiące się dzieci, nie pomyśli o swoim własnym. Śmiech, zachęty do wyścigów, udręka po zdartym kolanie czy zgubionej zabawce. Wszystko to prowadzi do wspomnień, jak nasze własne dzieci zachowywały się w taki sposób, jak bardzo potrafią przypominać inne dzieci na świecie.

Tam. Dziewczynka bawiąca się z mamą w chowanym wśród kamieni i drzew w pobliżu Turtle Pond w Central Parku. Od razu przypomina mi się podobna zabawa z Tess. Za każdym razem, kiedy się chowała — nawet jeśli działo się to w naszym mieszkaniu — towarzyszyło mi pół sekundy prawdziwego przerażenia, kiedy zerkałem w zwyczajowe kryjówki i jej tam nie odnajdywałem.

Czy tym razem naprawdę zniknęła? A jeśli ukryła się tak dobrze, że zajrzenie za drzewo, pod łóżka czy do kosza na bieliznę nie wystarczy?

I w tej samej chwili, kiedy kolumna paniki pięła się w górę w moim gardle, nagle się ujawniała. Wyskakiwała po pierwszym moim okrzyku: „W porządku, poddaję się!”.

Tym razem Tess jest ukryta i nigdy nie powróci.

A mimo to błagała mnie, żebyśmy się nie poddawali.

Odnajdź mnie.

Zatrzymuję się przy bramie z żelaza i obserwuję, jak matka rozgląda się dookoła. Udaje, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie ukryła się jej córka. Kiedy jednak podchodzi do klonu i zerkna za pień z okrzykiem: „Mam cię!”, nie znajduje tam dziewczynki. I natychmiast pojawia się niepokój, myśl, że tym razem to już nie jest zabawa.

— Mamo!

Dziewczynka wybiega z połaci perzu otaczających staw, a matka unosi ją w górę

i córka w locie radośnie macha nogami. Wtedy kobieta mnie dostrzega. Mężczyzna stojący samotnie przy bramie. To chyba pierwszy raz, kiedy ktoś w pełni świadomie odnotował moją obecność po powrocie do Nowego Jorku.

Odwracam się, zawstydzony moim niepożądanym wtargnięciem w ich prywatny świat. Ale matka już otacza dziewczynkę ramionami i odchodzi. Chroni ją przed człowiekiem, któremu najwyraźniej czegoś brakuje. Przed kimś nie do końca obecnym, co czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Przed wędrowcem.

Turkusowy dzień ustępuje miejsca turkusowej nocy. Wracam do mieszkania i robię sobie tosta. Smaruję chleb i tnę na paski tak, jak lubiła Tess. Posypuję cukrem cynamonowym. Wyrzucam, nie biorąc nawet kawałka do ust.

Nalewam sobie wódki z lodem. Chodzę po mieszkaniu i zauważam zapalone światło w pokoju należącym do Tess. Plakat Króla Lwa nad łóżkiem (zabraliśmy ją trzy razy na przedstawienie na Broadwayu, spełniając dwa życzenia urodzinowe i jedno gwiazdkowe). Na ścianie mapa Dakoty Północnej (część szkolnego projektu, mającego na celu szczegółowe opisanie jednego z pięćdziesięciu stanów). Rysunki kredkami, które szczerze doceniałem i nawet umieściłem w ramkach. Maskotki na podłodze przy komodzie, dawno już zapomniane zabawki, choć wciąż zbyt kochane, żeby je schować do szafy. Pokój dziewczynki w fazie przejścia z dzieciństwa do mrocznej dezorientacji, która następuje po nim.

Już mam wyjść, kiedy dostrzegam dziennik Tess leżący na stoliczku nocnym (położyłem go tam celowo po powrocie z Wenecji, w miejscu, w którym najczęściej leżał po dopisaniu kolejnych notatek). Nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby go przeczytać, kiedy żyła. Obawa o odkrycie mojej zdrady była zawsze silniejsza od ciekawości, którą żywiłem dla jej tajnych zapisków. Tym razem jednak pragnienie usłyszenia jej, do sprowadzenia jej z powrotem, przeważa nad poszanowaniem dyskrecji.

Bilet do kina jako zakładka oznacza miejsce, w którym wyjechaliśmy do Wenecji. Musiała więc i pisać w samolocie.

Tata nie wie, że dostrzegam, jak bardzo się stara. „Śmieszne” miny, radość z tego wszystkiego, co mamy zobaczyć. Może naprawdę jest podekscytowany? Wciąż jednak nosi Czarną Koronę.

Dziś widzę to wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd. To nawet tak, jakby się poruszała, jakby było w niej coś żywego i budowało sobie gniazdo. Owijało się dookoła.

Po części to wina kłopotów z mamą. Ale nie tylko. Czeka na nas coś, o czym on nie ma pojęcia. Czarna Korona pójdzie z nami. Nosi ją, ale nie wie, że tam jest (jak może NIE WIEDZIEĆ, że ona tam jest??).

Może to, co czeka po drugiej stronie, też chce się spotkać z tatą. Na pewno wiem, że chce się spotkać ze mną.

Dalej pojawia się strona czy dwie na temat naszego lotu i rejsu vaporetto do hotelu. Później znajduję już tylko końcowy wpis w dzienniku, z datą przypadającą w dniu, kiedy spadła. Dodany w naszym pokoju w hotelu Bauer, w czasie, kiedy odwiedzałem adres w Santa Croce.

On tu jest.

Tata również to wie. Czuję to. Jak bardzo się boi.

Jak rozmawia z tym W TEJ CHWILI.

Nie wypuszczę go. Temu czemuś podoba się, że tutaj jesteśmy. Jest niemal szczęśliwy.

Może to błąd, że przyjechaliśmy? Ale trzymanie się z dala od tego to żadne wyjście. On by nas znalazł. Tutaj albo tam. Prędzej czy później.

Lepiej, że to dzieje się teraz. Jesteśmy razem, więc może zdołamy coś zrobić. Jeśli nie, to lepiej, żeby zabral nas razem. Nie chciałabym zostać sama. A jeśli mamy TAM pójść, to nie chcę też iść SAMA.

On już nadchodzi.

Oni nadchodzą.

Dziennik wypada mi z rąk z szelestem stronic.

Pojechała do Wenecji, żeby stawić temu czoła.

Gaszę światło i zamykam drzwi. Biegnę do łazienki, żeby zwymiotować do toalety.

Pojechała włożyć Koronę, żebym ja nie musiał jej już nosić.

Kiedy dochodzę do siebie, wracam do kuchni, żeby nalać sobie kolejnego drinka, i wtedy spostrzegam, że drzwi do pokoju Tess są otwarte. I świeci się światło.

To stare mieszkanie, ale nigdy nie było tu takich przeciągów, które mogłyby otworzyć drzwi. I nigdy nie mieliśmy żadnych problemów z elektrycznością. W takim razie to ja nie zamknąłem drzwi i nie zgasiłem światła.

Wyłączam je. Zamykam drzwi na klamkę. Oddalam się.

I zatrzymuję.

Wystarczyło oddalić się o kilka kroków od pokoju Tess, żeby usłyszeć odgłos naciskanej klamki. Jęk zawiasów.

Odwracam się na pięcie w samą porę, żeby dostrzec zapalone światło. Pokój z czarnego w mgnieniu oka robi się żółty.

— Tess?

Jej imię pojawia się na moich ustach, jeszcze zanim dociera do mnie dziwaczność tej sytuacji. W jakiś sposób wiem, że nie jest to żadna halucynacja, że to nie sen na jawie. To Tess. W swoim pokoju. Być może to jedyne miejsce, w którym jest wystarczająco silna, by do mnie dotrzeć. Żeby mi powiedzieć, że wciąż tam jest.

Wbiegam do środka i zatrzymuję się na środku z rozłożonymi rękami z palcami próbującymi coś uchwycić.

— Tess!

Nie czuję niczego poza klimatyzowaną pustką pomieszczenia. Nie ma jej tam, choć światło nadal jest zapalone.

Jestem — jak to mówią dziennikarze śledczy o swoich źródłach — „wysocze wiarygodnym świadkiem”. Uzyskałem stopień doktora na Uniwersytecie Cornella, mam kilka wybitnych nagród z zakresu nauczania, pisałem artykuły do najbardziej szanowanych periodyków w mojej dziedzinie, a moja historia medyczna nie zawiera żadnych informacji o możliwych problemach natury psychicznej. Co więcej, jestem osobą niezwykle racjonalną i zwykle psuję każdą zabawę, jeśli chodzi o sprawy ponadnaturalne. Cała moja kariera opiera się na zwątpieniu.

A jednak tutaj jestem. I widzę to, co niewidzialne.

Rano budzę się po sygnałach czterech wiadomości tekstowych w moim telefonie. W jednej z nich Diane prosi tonem poborcy podatkowego, żebym jak najszybciej oddzwonił, aby „rozwiązać niecierpiący zwłoki problem”. Jeden z detektywów z Wenecji, z którym sporo korespondowałem, informuje mnie o braku nowych wieści. I dwie ostatnie wiadomości od O'Brien, która chce się ze mną zobaczyć. W drugiej ostrzega: „Odpieprzy ci całkowicie samemu w tym mieszkaniu, jeśli zaraz z kimś nie porozmawiasz, a pisząc «z kimś», mam na myśli siebie”.

Diane jest matką Tess, a ja jestem tego ranka zdolny do przeprowadzenia tylko jednej rozmowy, więc opieram się o wezglowie łóżka i dzwonię do niej. Dopiero kiedy słyszę sygnał oczekiwania w słuchawce, zdaję sobie sprawę, że przespałem noc w pokoju Tess.

— Halo?

— Mówi David.

— David.

Wypowiada moje imię, męża, z którym jest od trzynastu lat, jakby było nazwą nieznaną przyprawę i jakby próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jej już próbowała.

— Dzwonię nie w porę?

— Głupie pytanie.

— Masz rację. Przepraszam.

Diane bierze głęboki oddech. Nie jest to wyraz zawahania kogoś, kto nie chce sprawić bólu osobie, lecz kolejne zachowanie poborca podatkowego, który szuka odpowiedniej kwestii do przekazania osobie zalegającej z opłatami.

— Chciałam, żeby to było oficjalne — mówi. — Moja wyprawka. Rozpoczęcie procesu.

— Procesu?

— Rozvodu.

— Rozumiem.

— Jeśli chcesz, możesz skorzystać z pomocy Liama — mówi, mając na myśli adwokata z Brooklyn Heights, który sporządził nasze testamenty. — Ja rozmawiałam już z kimś innym.

— Z jakimś tygrysem z Upper East Side, który rozerwie Liama na strzępy?

— Sam sobie możesz dobrać doradcę.

— Nie chciałem cię oskarżać. Byłem po prostu... sobą.

Wydaje z siebie dźwięk, który mógł być parsknięciem śmiechem, ale to nie było to.

— Nie rozumiem po prostu tego pośpiechu — dodają.

— To ciągnie się już od długiego czasu, David.

— Wiem o tym. Nie zamierzam się stawiać. Będę najbardziej pomocnym i uległym rogiaczem w historii prawa rodzinnego miasta Nowy Jork. Pytam po prostu, dlaczego akurat dziś rano? Nie minął jeszcze tydzień od zaginięcia Tess.

— Tess nie zginęła.

— Wciąż jej szukają.

— Nie, nie szukają. Czekają.

— Ja wciąż szukam.

Zapada cisza. Po chwili pyta:

— Czego szukasz?

Możesz stać się tak obłąkany, jak tylko chcesz. Moja wewnętrzna O'Brien przychodzi mi z odsieczą. Ale czy musisz akurat jej dawać do zrozumienia, co się z tobą dzieje?

— Niczego — odpowiadam. — Czasami się gubię.

— Więc porozmawiasz z Liamem? Albo z kimś innym? Przyspieszysz sprawę?

— Przyspieszę. Jeszcze nigdy nie spotkałaś się z takim przyspieszeniem.

— Świetnie. To dobrze.

Ona również cierpi. Oczywiście nie okazuje tego w żaden sposób. Mogę jedynie zakładać, że Will Junger oferuje jej pomoc przy znoszeniu tej najgorszej części, choć Diane wcale nie sprawia wrażenia kogoś, kto musi cokolwiek znosić. Tak czy inaczej, Diane jest przecież matką Tess, a teraz jej córka zniknęła i może ją to rozrywać na drobne kawałki, jak to się dzieje w moim przypadku.

Mimo wszystko jednak nie mogę się wyzbyć wrażenia, że mogę się w tej kwestii mylić. W jej głosie słyszę poczucie straty, ale również pewność siebie. Wyczuwam w nim jednak również jakąś okropną satysfakcję. Nie jest ona związana z tym, że Tess nie wróciła do domu. Nie jest to aż tak okrutne. To satysfakcja związana z tym, że to ja tam byłem. Że to moja porażka.

— Nie obchodzi mnie, czy mnie obwiniasz. Czy mnie nienawidzisz. Nie obchodzi mnie, czy będziemy jeszcze kiedykolwiek rozmawiać — mówię. — Ale musisz wiedzieć, że próbowałem ją ocalić. Że nie pozwoliłem jej tak po prostu odejść. Nie stałem bezczynnie. Walczyłem o nią.

— Przyjmuję do wiadomości to wszystko, co...

— Każdy rodzic mówi, a przynajmniej myśli, że oddałby życie za swoje dziecko. Nie wiem, kiedy przychodzi pora na taką próbę, jeśli tak jest naprawdę. Ale w moim przypadku to prawda.

— Ale tego nie zrobiłeś! — Ten okrzyk jest tak przejmujący, że muszę odsunąć słuchawkę od ucha. — Nie oddałeś za nią swojego życia. I wciąż tu jesteś. A ona nie.

W jednej kwestii się mylisz, mam ochotę jej powiedzieć. Mnie tu nie ma.

Kiedy zamiast tego próbuję znaleźć jakieś słowa pożegnania, podziękowania za wspólnie spędzony czas i za tę jedną rzecz, którą zrobiliśmy właściwie, tę, której nigdy nie będziemy żałować, Diane odkłada słuchawkę.

Kto siedzi w kościele w samym środku roboczego dnia tygodnia? Pijacy, uciekinierzy i cała gama uzależnionych. Zagubieni, którzy toną w poczuciu winy. Wiem o tym, bo siedzę wśród nich. Modłę się po raz pierwszy w swoim dorosłym

życiu.

Albo przynajmniej próbuję. Ikony, wymuszona cisza, witraże. Wszystko to wydaje się przesadzone. Owszem, to jest kościół, więc wypada, żeby było tu jak w kościele. Ale nie czuję, że jestem bliżej świętości niż przed kilkoma minutami na zewnątrz na 43. Ulicy.

— Rozłączyło pana?

Odwracam głowę i widzę siwiejącego faceta po pięćdziesiątce. Wymięty garnitur, włosy rozpaczliwie domagające się uwagi. Stawiam, że to biznesmen — albo były biznesmen — obecnie w klasie pijących.

— Słucham?

— Pańskie modlitwy. Do Wielkiego Faceta. Kazał panu czekać na linii? Ze mną robi tak przez cały czas. Potem bez przerwy rozłącza rozmowę.

— Nigdy nawet nie wybrałem numeru.

— To nawet lepiej. Gdyby uzyskał pan połączenie, to tylko byłoby: naciśnij „1”, aby połączyć się z działem cudów, naciśnij „2”, aby uzyskać informację na temat zwycięskiego konia na gonitwie w Belmont, naciśnij „3”, aby żałować za grzechy... ale nie żałować aż tak, żebym ich później nie powtórzył.

— Równie dobrze może się pan udać do mojego psychiatry.

— Tak? I ona też potrafi wskazać właściwego konia?

Ona. Czy większość terapeutów to kobiety? A może skądś znam tego faceta? Może to ktoś, kto zna mnie i O'Brien?

— Ona nie toleruje hazardu — odpowiadam.

— Nie? No cóż, sam pan wie, jak to się mówi. Jak nie grasz, to nie wygrasz.

Opiera ręce o oparcie ławki kościelnej, co sprawia, że czuję powiew użytego niedawno dezodorantu. Ostro zapach perfum, którego celem jest zamaskowanie ziemistej woni pod spodem.

— Nie chcę być wścibski, ale wygląda mi pan na nieco zagubionego, przyjacielu — mówi i spogląda na mnie z troską. Wówczas dociera do mnie. To pewnie jeden z tych ulicznych misjonarzy. Werbownik z Kościoła w cywilnych ciuchach grasujący wśród kościelnych ław.

— Pracuje pan tutaj?

— Tutaj? — Rozgląda się, jakby dopiero się zorientował, gdzie się znajdujemy. — A dają tu jakąś pracę?

— Nie jestem zainteresowany namowami do zakupu zbawienia. Jeśli tym się pan

zajmuje.

Kręci głową.

— Jak to napisano na tych koszulkach? „Pomyliłeś mnie z kimś, kogo gównem to obchodzi”. Zobaczyłem po prostu pokrewną duszę siedzącą tutaj i pomyślałem, że się przywitam.

— Nie staram się być niemiły. Wolę po prostu pobyc sam ze sobą.

— Sam. Brzmi nieźle. Tam gdzie mieszkam, trudno znaleźć chwilę spokoju. Istne pandemonium. Nie da się pomyśleć. A niech mi pan uwierzy, przyjacielu, prawdziwy ze mnie myśliciel.

Znów to słowo. To samo, którym O'Brien określiła Canale Grande. Miltonowskie piekło.

Pandemonium.

— Jestem David — mówię i wyciągam rękę. Mężczyzna ściska ją po krótkiej chwili zawahania.

— Miło cię poznać, Davidzie.

Czekam, aż się przedstawi, ale tylko puszcza moją dłoń.

— Chyba na mnie już czas — rzucam i wstaję. — Wszedłem tutaj, żeby na chwilę odpocząć od słońca.

— Trudno mi cię winić. Sam osobiście jestem typem salonowym.

Przesuwam się w stronę nawy, kiwam głową na pożegnanie i ruszam w stronę otwartych drzwi. Ku blaskowi dnia.

Kiedy idę, mężczyzna recytuje fragment wiersza cichym, modlitewnym tonem.

Słońce; chcę ci rzec, jak nienawidzę

Promieni Twoich, które przypomniem

Są mi, kim byłem ongi, nim runąłem..

Milton. Słowa szatana.

Odwracam się. Przesuwam się wzdłuż ławki do miejsca, gdzie siedzi z pochyloną teraz głową i pobożnie złożonymi dłońmi. Chwytam go za ramię i ostro popycham.

— Spójrz na mnie!

Odskakuje. Wyciąga ręce w obronnym geście i przymyka oczy w oczekiwaniu na cios. To nie jest człowiek, który przed chwilą tutaj siedział, lecz kapłan. Młody, gładko ogolony, z zaczerwienionymi z niepokoju policzkami.

— Tak mi przykro — mówię, oddalając się. — Myślałem, że to ktoś inny.

Kiedy ponownie wracam do nawy, wyraz twarzy młodego księdza ulega zmianie. Zaskoczenie ustępuje miejsca uśmiechowi.

— Jestem gotów wysłuchać twojej spowiedzi — mówi.

Jego śmiech towarzyszy mi do chwili, kiedy w końcu wychodzę na ulicę.

1. Ewangelia wg św. Marka 9,21–22: „Jezus zapytał ojca: «Od jak dawna to mu się zdarza?» Ten zaś odrzekł: «Od dzieciństwa. I często wrzucał go w ogień i w wodę, żeby go zgubić. Lecz jeśli możesz co, zlituj się nad nami i pomóż nam!»" (przyp. red.).



To był znów ten sam głos. Jestem tego absolutnie pewny, kiedy wybiegam z Saint Agnes na Lexington i opieram się o drzwi prowadzące do irlandzkiego baru, żeby złapać oddech. To ten sam byt, który przeszedł ze mnie na Tess i rozmawiał ze mną na dachu hotelu Bauer. Głos cytujący fragmenty *Raju utraconego*, jak zrobił to mężczyzna w kościele. I jeszcze Chuda, choć jestem w mniejszym stopniu przekonany, że była inkarnacją samego głosu — istoty, którą zacząłem podświadomie nazywać „Nienazwanym” — a nie zwyczajną kobietą. Z jakiegoś powodu musiałem udać się do Wenecji do Santa Croce 3627, żeby Nienazwany znalazł się w moim życiu, a zadaniem Chudej było dopilnowanie, żebym przyjął zaproszenie. Co wskazywałoby, jak podejrzewałem, że nie pracowała dla Kościoła czy jednej z jego agencji.

Słońce; chcę ci rzec, jak nienawidzę

Promieni Twoich

W poemacie Milтона tymi słowami przemawia szatan. Przeklina światło dnia jako bolesne przypomnienie swego upadłego stanu, wszystkiego tego, co utracił podczas swojego wygnania w mrok. Czy to właśnie Nienazwany? Nieprzyjaciel? Mężczyzna siedzący na krześle — lub mnogość przepowiadających przez niego głosów — powiedział, że to nie „pana” niedługo spotkam, lecz tego, który siedzi obok niego. W *Raju utraconym* oznaczałoby to upadłe anioły, które utworzyły Radę Stygijską złożoną z demonów rządzących w piekle wraz z szatanem będącym ich przywódcą. Było ich trzystaście, a poeta każdemu nadał odmienne osobowości i umiejętności. Wygląda na to, że Nienazwany jest jednym z nich. Pierwotny demon strącony z Niebios. Istota zdolna do najbardziej przekonujących zmian kształtu i naśladownictwa, przyjmująca postać ludzką — starego człowieka w samolocie, pijaczyny w kościele.

I znów sobie myślę, że może to pożyczone cienie tych, którzy już żyli i zmarli. Być może Nienazwany jest ograniczony do przejmowania ciał tych, którzy już są w piekle.

Teraz już nie mam wątpliwości. Jestem obłąkany.

Zamiast rozpaczać nad utratą Tess, zaczynam tworzyć jakieś gotyckie opowieści,

miltonowskie zagadki, demoniczne dialogi — robię wszystko, tylko nie stawiam czoła temu, co nieuniknione. Używam umysłu do ochrony własnego serca, a to oszustwo, hańba dla pamięci o Tess. Ona zasługuje na ojca, który pogrzy się w żalobie, a nie takiego, który zacznie tworzyć skomplikowaną sieć paranoicznego nonsensu. Jestem przekonany, że psychiatrzy mają na to dobre określenie. Może to po prostu tchórzostwo.

Wracam do mieszkania, żeby sprawdzić telefon pod kątem nowych wiadomości. Znajduję trochę słów współczucia od kolegów z Uniwersytetu oraz dwa poważne ostrzeżenia od O'Brien, że jeśli zaraz do niej nie oddzwonię, to będzie musiała wziąć sprawy we własne ręce.

Dlaczego do niej nie oddzwaniam? Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Za każdym razem, kiedy już niemal dotykam palcem przycisku szybkiego wybierania numeru do niej, tracę wolę niezbędną do jego naciśnięcia. Chcę z nią porozmawiać, zobaczyć się z nią. Ale to wszystko, czego chcę, znajduje przeciwwagę, silny wpływ, który odczuwam w żyłach, jak obcy ciężar, twardy i zimny. Wywołująca mrowienie choroba, która nie chce, żeby O'Brien znalazła się blisko mnie.

A poza tym jestem zajęty.

Otwieram szafkę z lekami i wyjmuję buteleczkę zolpidemu, którą zostawiła Diane. Napełniam szklankę wodą i kieruję kroki do pokoju Tess. Siadam na skraju jej łóżka i połykam tabletki, jedna za drugą.

Samobójstwo? Przy użyciu tabletek nasennych? Tchórzostwo. Oklepana metoda.

O'Brien jest tutaj ze mną, choć w znacznej odległości. Wystarczająco, żebym mógł ją zignorować.

Tess, czy cię znów zobaczę, kiedy to się skończy?

Tak. Ona czeka, mówi głos nienależący ani do mnie, ani do O'Brien. Dalej, profesorze.

Popijaj. Połykaj. Popijaj. Połykaj.

Nie wierzę w to, co mówi. Mimo to nie sposób jest się oprzeć.

Popijaj. Połykaj.

TRZASK.

Na podłogę spada fotografia w ramce. Kawałki szkła rozpryskują się po dywanie i wpadają między deski w podłodze. Gwóźdź wciąż tkwi w ścianie, a drucik, na którym wisiała ramka, jest nienaruszony.

Wiem, co to za zdjęcie, ale i tak podchodzę do niego. Pochylam się i odwracam je.

Ja i Tess. Śmiejemy się na plaży w pobliżu Southampton, kilka lat temu. Gdzieś

w dole, poza kadrem, fale przyływu rozpuszczają nasz zamek z piasku. Nasze próby jego uratowania są zabawne. Staramy się podeprzeć ściany świeżym piaskiem, opróżnić dziedziniec z wody gołymi rękoma. Na zdjęciu dobrze widać przyjemność, jaką sprawiało nam bycie z sobą na wakacjach, w słońcu. Widać również radość z realizowania zadania z ukochaną osobą, nawet jeśli to zadanie jest zbyt wielkie, by dało się je zrealizować.

— Tess?

Ona tu jest. Nie tylko we wspomnieniach, które przywołuje zdjęcie. To ona rzuciła je ze ściany.

Pełnę do łazienki i wciskam palec do gardła. Opróżniam żołądek z wody zaróżowionej od środków usypiających. Kiedy pozbywam się tej zawartości, ciężar w mojej krwi też znika.

Przez chwilę siedzę z wyprostowanymi nogami oparty o wyłożoną kafelkami ścianę. Kiedy się nie poruszam, łatwo jest udawać, że to nie moje ciało. Nie istnieje żaden rozkaz, który mógłbym wydać, żeby którakolwiek jego część zechciała się poruszyć.

Odnajdź mnie.

Znów jestem tym starym Davidem, człowiekiem pozbawionym woli, którego Diane zapewne słusznie opuściła. Wciąż przecież jest coś do zrobienia. Zadanie niemal niemożliwe. Odnaleźć i przywrócić kogoś martwego — lub prawie martwego — z mrocznej otchłani.

I wówczas pojawia się kwestia braku pomysłu, od czego zacząć.

Staję pod prysznicem w pełnym ubraniu. Czuję, jak książkowe odnośniki i fragmenty poezji spływają ze mnie niczym olej. Wkrótce nie pozostaje już nic.

Nic, poza uczuciem, że nie jestem sam.

Otwieram oczy w strumieniach gorącej wody. Para wypełnia nie tylko szklaną kabinę prysznicową, lecz całą łazienkę, która przez to porusza się w kłębiącej się mgłę.

Niczego tam nie ma. Ale ja się wpatruję w jeden punkt.

I widzę wyłaniającą się Tess.

Drży z głodu i strachu. Jej skóra jest sina z zimna. Wyciąga do mnie ręce, lecz powstrzymuje ją szkło. Jej dłonie tworzą ciemne zarysy przypominające stare mapy.

Tess!

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili obejmują ją od tyłu

czyjeś ramiona i wciągają z powrotem w mgłę.

Ramiona zbyt długie i zbyt groteskowo umięśnione, żeby mogły należeć do człowieka. Ciemne od włosów gęstych niczym futro. Dłonie zakończone brudnymi od ziemi pazurami jak u zwierzęcia.

Kiedy przebieram się w czyste ubranie i przynajmniej częściowo odzyskuję jasność myślenia, biorę kamerę wideo otrzymaną od lekarza z Wenecji i pobieram zapisany w niej materiał filmowy do mojego laptopa. Przyczyna tego postępowania dociera do mnie dopiero wówczas, kiedy kończę.

To jest ważne.

Nie wiem jeszcze, dlaczego tak jest. Ale była to jedyna rzecz, na którą tak naciskał lekarz. *Dla ciebie.* Ktokolwiek wydał mu zatem polecenia, chciał, abym ją dostał. Żebym skupił soczewki obiektywu na mężczyźnie i nagrał to, co powiedział. Co zrobił. W przeciwnym razie po co dawałoby mi kamerę?

Co zrobił i powiedział ten mężczyzna?

Oglądam nagranie na ekranie laptopa. Działa na mnie w sposób, w jaki nigdy nie działały nawet najbardziej wiarygodne wiadomości czy dokumenty. Fizyczny cios w pierś, który posyła mnie na sofę. I to nie tylko sprawka niepokojących odgłosów czy obrazów. W efektach tego nagrania jest coś, co odróżnia je od jego treści. Jak to określić? Aura bólu, z którego się wywodzi. Podświadomy błysk chaosu. Czarna Korona.

Znów jestem świadkiem głosów, słów, bolesnych skurczów ciała. Jednak jedyną rzeczą, którą zapisuję w notatniku, jest lista miast i liczb, które miały ponoć zyskać znaczenie 27 kwietnia. Pojutrze.

Nowy Jork, 1259537

Tokio, 996314

Toronto, 1389257

Frankfurt, 540553

Londyn, 590643

Był przedstawił mi te informacje jako element przyszłych zdarzeń. Migawkę z niedostrzegalnej przyszłości, która — jeśli okaże się prawdziwa — udowodni jego umiejętności, jego moc. Jego prawdziwość.

Nagranie odtwarza się dalej, a ja zamykam oczy, kiedy twarz mężczyzny zmienia

się w oblicze należące do mojego ojca. Nie chroni mnie to przed usłyszeniem głosu starca.

To powinieneś być ty.

Choć próba interpretacji tych słów jest udręką, nie potrafię wyzbyć się uczucia, że znaczą one coś dużo gorszego niż tylko życzenie, żebym to ja utonął zamiast mojego brata.

Cofam nagranie. I jeszcze raz. Tym razem otwieram oczy.

Obserwuję obraz na ekranie i nie mam żadnych wątpliwości, że to przemawia mój ojciec z miejsca, do którego się udał po tym, kiedy go pochowaliśmy. A teraz ujawnia tajemnicę, której znaczenia jeszcze w pełni nie pojmuję. Zaproszenie do odszukania go, niemal tak samo nie do pokonania jak w przypadku Tess.

Kiedy nagranie się kończy, zamykam laptopa i wkładam go do skórzanej torby podróżnej. Następnie owijam kamerę w należący do Diane stary woreczek do biżuterii i wkładam wszystko do teczki. Przez chwilę rozważam umieszczenie jej na górnej półce szafy w sypialni, ale coś mi mówi, że to wymaga większej troski w doborze kryjówki. W mieszkaniu nie ma wystarczająco dobrego schowka.

Do głowy przychodzi mi absurdalny pomysł, żeby pójść do lombardu i kupić parę kajdanek, aby przypiąć sobie teczkę do nadgarstka. Po drodze wpadam jednak na nieco lepszy pomysł. Muszę przechować ją w miejscu, do którego nawet ja nie będę miał dostępu przed 27 kwietnia, dzięki czemu zawarta tam zapowiedź będzie mogła okazać się prawdziwa lub fałszywa bez podejrzeń, że mogłem coś zmienić w nagraniu.

Czy istnieją wystarczająco duże skrzynki depozytowe, żeby zmieścić w nich teczkę? W ciągu następnych trzech godzin dowiaduję się następującej prawdy na temat banków. Mają w nich skrzynki depozytowe zdolne pomieścić samochód, jeśli tylko jest się gotowym za to zapłacić.

Za pieniądze są gotowi do naprawę dużych przedsięwzięć. Na przykład niezależnie od tego, czy jest się posiadaczem konta czy też nie (wybieram główny oddział Midtown, w którym jeszcze nigdy nie byłem), umieszczają rzeczy zleceńodawcy w skarbcu w skrzynce depozytywnej, którą można otworzyć tylko za pomocą kodu cyfrowego przez niego ustalonego. Sprowadzą siwowłosego partnera ze znanej kancelarii prawnej z dokumentem zapewniającym, że żaden pracownik banku ani dyrektor nie pozwoli nikomu — nawet mnie — otworzyć skrzynki przed 27 kwietnia. Następnie partner przekazuje kopie pisma dyrektorowi do podpisania. Jedna trafi do niego, jedna do kancelarii, a jedna do mojej kieszeni. Zapewniają

pisemną gwarancję, że skrzynka nie zostanie otwarta przez dziewięćdziesiąt dziewięć lat, o ile nie pojawi się ja lub osoba z moim pisemnym zezwoleniem i kodem. W oczekiwaniu na załatwienie wszystkich formalności częstują nawet całkiem przyzwoitą kawą.

W drodze do domu dzwonię do faceta z wydziału informatyki z Columbii. Po wymianie zdawkowych uwag, również takich na temat uciążliwości upału, zadaję pytania. Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, czy możliwa jest zmiana czasu nagrania materiału filmowego na dysku twardym lub czy można usunąć informacje o skopiowaniu nagrania.

Milczy przez chwilę, a ja wyobrażam sobie wewnętrzny dialog, który odbywa się w jego głowie:

Pytanie: Dlaczego profesor literatury chce wiedzieć coś takiego?

Odpowiedź: Pornografia.

W końcu odpowiada mi, że nie. Całkowite usunięcie materiału byłoby „piekielnie trudne”, podobnie jak sprawienie, by plik zapisany 25 kwietnia wyglądał, jakby zapisano go trzy dni później. „Takie rzeczy zawsze pozostawiają ślady”, mówi, dodając do tego werbalne mrugnięcie okiem, ostrzeżenie, żebym uważał podczas pobierania jakichś świństw z Internetu przy założeniu, że nie ma się o tym dowiedzieć moja żona.

Nie mówię mu jednak o tym, że moja żona przepadła. I że wcale nie chcę kasować pliku. Chcę jedynie pewności, że data zapisania nagrania z kamery na laptopie będzie identyczna z datą i godziną zarejestrowaną w samym materiale filmowym. Chcę pewności, że dokument odzwierciedli wydarzenia — wraz z miastami i liczbami — które zostały przewidziane przed 27 kwietnia.

Niczym iluzjonista upewniający się, że nic nie wysuwa mu się z rękawa, czuję, że zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby przygotować warunki pod prawdziwą sztukę. Jeśli zdołam dojść do tego, co oznaczają miasta i numery z 27 kwietnia, i jeśli będą one odpowiadać rzeczywistym wydarzeniom, magia nagrania będzie prawdziwa.

I jak powiedziała by brat Guazzo z *Compendium Maleficarum*, jeśli cuda są jednym ze sposobów, w jakie Zbawca potwierdza swoją tożsamość, to magia jest sposobem, w jaki ujawniają się demony.

Nieco później siedzę w kolejnym kościele. Ten jest nasz, choć tylko nominalnie, gdyż наша obecność w nim sprowadzała się do trzech z ostatnich pięciu świąt

Bożego Narodzenia i corocznej darowizny z prywatnego konta Diane. Kościół świętych Pawła i Andrzeja na Zachodniej 86. Ulicy. Wybrany przez Diane ze względu na rosnącą liczbę wiernych i względnie nieszkodliwe wyznanie (Zjednoczony Kościół Metodystyczny). Społeczność, którą wybraliśmy, ale do której w praktyce nie należeliśmy.

Dziś jednak służy ona swojemu celowi. Msza ofiarowana pamięci Tess, pospiesznie zamówiona przez Diane, o czym dowiedziałem się dopiero wczoraj w mejlu pełnym słów: „leczenie”, „proces” i „zakończenie”. Przybyłem tam dla niej, żeby stworzyć zjednoczony front rodzicielski. Tyle po prostu robię przy tego typu okazjach. Zjawiam się.

Jednak dziś, kiedy stoję na ulicy przy ośmiokątnej wieży świątyni (wcześniej jej nie zauważałem, a teraz dostrzegam jej złowrogo wenecki charakter) i obserwuję ubranych w czarne garnitury kolegów, znajomych i członków dalszej rodziny Diane, kłębiących się przed przypominającym czarne gardło wejściu do kościoła, czuję, że ja sam nie mogę wejść do środka. W ten sposób przyznałbym się przed samym sobą, że Tess nie żyje. Jeśli żyje, mógłbym przez to odsunąć ją od siebie. A jeśli nie żyje, nie potrzebuję pomocy niemal obcych mi ludzi, żeby zapamiętać, kim była.

Widzę, jak ostatni zgromadzeni chowają telefony komórkowe do kieszeni i wchodzą do świątyni. Zbieram się do odejścia, kiedy ze środka na skąpany światłem słonecznym dziedziniec wychodzi Diane. Z pewnością stała przy drzwiach i witała wchodzących gości, dając sobie poklepywać grzbiet dłoni, i wysłuchując słów, które z pewnością potrafiłaby doskonale powtórzyć. Teraz, kiedy organy zaczynają grać, wyszła na zewnątrz, żeby po raz ostatni rozejrzeć się dookoła. Ostatni rzut oka, czy się nie pojawiłem.

Czekam, aż mnie znajdzie. Jej twarz pozostaje bez wyrazu, przez co jest bardziej szczerą niż w stosunku do tych wszystkich ludzi wewnątrz. Teraz widzę, że nie radzi sobie z poczuciem pustki, a dzisiejsza msza jest częścią wysiłków zmierzających do jej wypełnienia. Chce to osiągnąć za pomocą aktywności, słów, chce zacząć *tutaj*, a potem skierować się *tam*.

Unosi dłoń, jakby chciała pokazać mi swoje linie papilarne. Wyczuwam w tym geście zaproszenie. Niepełne machnięcie ręką, może delikatny skurcz palców. Coś niezamierzonego lub w porę porzuconego. Kiedy w końcu opuszcza rękę, odwraca się w kierunku mrocznego wejścia, wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Ktoś czeka na mnie na ulicy niedaleko mojego domu.

Mężczyzna po trzydziestce. Stoi z rękami wciśniętymi w kieszenie przy wejściu do budynku, w którym mieszkam, zerkając co pewien czas na przejeżdżające samochody. Wygląda, jakby czekał na taksówkę, ale kiedy jedna z nich przejeżdża, odwraca się plecami, jakby nagle zmienił zdanie. Kiedy dostrzegam go, skręcając z Columbus Avenue, nic nie wskazuje jeszcze na to, że czeka na mnie. Nigdy wcześniej nie widziałem tego mężczyzny, a z tej odległości jest niemal doskonałym przykładem kogoś nieokreślonego: biała, bawełniana koszula z podwiniętymi rękawami, dżinsy, ciemne, krótko przycięte włosy. Niewysoki, ale dobrze zbudowany, sylwetka przywykła do zadawania i przyjmowania ciosów. Możliwe, że to były żołnierz. Być może wykonuje jeden z tych niewyszukanych zawodów, które często przypadają weteranom w Nowym Jorku. Kierowca limuzyny, osobisty ochroniarz, portier, barman.

Co go w takim razie wyróżnia? Brak charakterystycznych cech. Postawa ciała, sposób, w jaki podwinął rękawy koszuli, skrzywiona dolna warga, jakby coś kalkulował. Jest kimś, kogo wyszkolono, aby się nie wyróżniał. A biorąc pod uwagę odwiedzin w ciągu ostatniego tygodnia, kiedy ktoś taki stoi przy moich drzwiach, to z pewnością czeka na mnie.

Mimo to, kiedy podchodzę bliżej, wydaje się nie zwracać na mnie uwagi. Już prawie go mijam, kiedy rzuca za moimi plecami:

— David Ullman?

— Kim pan jest?

— Nazywam się George Barone.

— To nazwisko nic mi nie mówi.

— Bo nie powinno.

Patrzę na niego przez krótką chwilę.

— *Es vos vir aut anima?* — pytam po łacinie, co znaczy: „Jesteś człowiekiem czy duchem?”.

Nie sprawia wrażenia kogoś, kto zrozumiał pytanie. Nie wydaje się również szczególnie zaskoczony faktem, że zwróciłem się do niego w starym języku.

— Czy mogę postawić panu kawę? — pyta. — Być może ulica nie jest dobrym miejscem do rozmowy.

— A kto mówi, że rozmawiamy?

— Jestem przekonany, że w okolicy nie brakuje kawiarni. Byłoby mi miło, gdyby zaprowadził mnie pan do swojej ulubionej — mówi, ignorując moje pytanie. Ustawia

się obok mnie, przez co po chwili stajemy ramię w ramię. Z odległości dwudziestu metrów musimy wyglądać jak dwaj starzy przyjaciele, którzy zatrzymali się, by zdecydować, czy ruszyć na drinka w kierunku wschodnim czy zachodnim.

— Dlaczego w ogóle powinienem z panem rozmawiać? — pytam.

— Bo to leży w pańskim najlepszym interesie.

— Jest pan tutaj po to, żeby mi pomóc?

— Do takiego stwierdzenia tak daleko bym się nie posunął.

W normalnych okolicznościach zrezygnowałbym z dalszej rozmowy z tym obcym człowiekiem, ale teraz muszę otwierać wszystkie drzwi i przyjmować każde zaproszenie. Nawet kiedy odnoszę wrażenie, że to nie prowadzi do niczego dobrego.

Jeśli jednak chcę dotrzeć do Tess, muszę podporządkować się nadchodzącym okolicznościom.

Twoja własna wyprawa.

— Jasne — odpowiadam. — Niedaleko stąd znajduje się odpowiednie miejsce.

Idziemy na zachód do Amsterdamu, a następnie skręcamy za narożnik do The Coffee Bean, gdzie znajdujemy stolik przy oknie. Mężczyzna, który przedstawił się jako George Barone, zamawia mi cappuccino, ale sam nie kupuje sobie niczego.

— Wrzody — wyjaśnia, kiedy przynosi moją kawę i siada naprzeciw mnie. Wydaje się odprężony i przyjazny, choć tylko sprawia takie wrażenie. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale coś w tym człowieku mówi o jego skłonności do przemocy, do realizowania niewyobrażalnych zadań. Zdradza go sposób, w jaki zwraca uwagę tylko na mnie. Żadna ładna dziewczyna — ani przystojny chłopak — w pobliżu naszego stolika nie przyciąga nawet pobieżnego spojrzenia z jego strony. Kiedy barista upuszcza tacę z filiżankami, które wybuchają z hukiem na wyłożonej płytkami podłodze, mężczyzna nawet nie mrugnął okiem. Jest skoncentrowany niczym drapieżny ptak na swojej ofierze.

— Stres — odpowiadam. — Zawsze kończy się wrzodami.

— Mój lekarz twierdzi inaczej.

— Czyżby? A co takiego mówi?

— Kawa. Fajki. Gorzała. Zaleca unikać przyjemności.

— Przykro mi to słyszeć.

— Niepotrzebnie. Dzięki temu jestem zawsze gotów do działania.

— Czym się pan zajmuje, panie Barone? Do czego jest pan zawsze gotów?

— Jestem wolnym strzelcem.

— Pisze pan?

— Nie.

— Zatem pańska praca jest bardziej praktyczna?

— Tropię. Tak to można ująć.

— Profesjonalny tropiciel. I to ja jestem pańską obecną ofiarą?

— Jedynie pośrednio.

Czeka, jakbym to ja miał za zadanie o czymś mu opowiedzieć. Popijam kawę. Mieszam. Dodaję cukru. Znów piję.

— Jest pan płatnym zabójcą? — pytam w końcu.

— A czy pan wciąż żyje?

— Tak mi się wydaje.

— Zatem proszę się o to nie martwić.

— To o co powinienem się martwić?

— O nic. Jeśli mi pan teraz pomoże, to o nic.

Dotyka opuszką palca blatu stołu i podnosi kryształek cukru. Wpatruje się w niego, jakby oceniał jakość ciętego diamentu.

— Ten człowiek, którego widział pan w Wenecji... — mówi. — Czy pan wie, kto to był?

— Dużo pan wie na ten temat?

— Całkiem sporo, w pewnym sensie. Jestem jednak informowany tylko o tych faktach, które upraszczają mi pracę. Z pewnością na wiele pana pytań nie mogę odpowiedzieć.

— Dla kogo pan pracuje?

— To przykład takiego pytania.

— Czy to praca dla Kościoła? Czy wie pan, kto wysłał tę kobietę do mojego gabinetu?

— Nie wiem nic o żadnej kobiecie. Wiem tylko o nas dwóch. Tutaj. Teraz.

To akurat prawda. Faktycznie jest tylko nas dwóch. Wraz z jego niczym niezmaconą koncentracją negującą świat dzięki spojrzeniu hipnotyzera.

— To takie buddyjskie — zauważam.

— Tak? Nie wiem. Jestem tylko ministrantem z Astorii, któremu zlecono zadanie.

— A więc jest pan jakimś watykańskim zbirem? Czy tak?

— Mam nadzieję, że nie jest pan niegrzeczny.

— Dla kogo innego miałby pan pracować? Czy diabeł zatrudnia takich bezmózgów... przepraszam, tropicieli, jak pan? Tak czy inaczej, zafundowali mi przelot klasą biznes. Nie wiem, ile zaproponowali panu za nękanie mnie, ale powinien pan poprosić o podwyżkę.

— Zapytam ponownie — mówi, ignorując mój atak. — Czy wie pan, kim był mężczyzna w domu przy Santa Croce 3627?

— Był? Coś mu się stało?

— Samobójstwo. Tak przynajmniej stwierdziła policja. Miał ostatnio depresję, zachowywał się dziwnie, a potem zniknął bez słowa. To prosty przypadek i łatwo zamknąć śledztwo.

— Jak zmarł?

— W bólach.

— Proszę mi powiedzieć.

— Połknięcie toksyny. Kwasu akumulatorowego, dokładniej rzecz biorąc. Trudno jest wypić cały litr czegoś takiego, nawet jeśli chce się skończyć ze sobą. Proszę mi uwierzyć. To gówno pali.

— Może ktoś mu pomógł?

— No proszę. Zaczyna się pan rozkręcać, profesorze.

— Uważa pan, że go zamordowano.

— Nie w konwencjonalnym sensie.

— A jak wygląda niekonwencjonalny sens?

— Nieczysta gra — odpowiada i uśmiecha się. — Mamy tam z całą pewnością do czynienia z kurewsko nieczystą grą.

— Pan to zrobił.

— Nie, nie ja. Coś gorszego.

Czuję, jak moje kolana łączą się pod stołem i dopiero po krótkiej chwili mogę je ponownie oddalić od siebie.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — kontynuuje Tropiciel.

— Zapomniałem, że je pan zadał.

— Wie pan, kim on był?

— Nie.

— W takim razie powiem panu. To był pan.

— To znaczy?

— Doktor Marco Ianno.

— Słyszałem już to nazwisko.

— Tak sądziłem. Bratnia dusza uniwersytecka. Od kilku lat był profesorem Wydziału Chrześcijaństwa na Uniwersytecie Sapienza. Ojciec dwojga dzieci, żonaty. Dość dobrze znany w swoim kraju ze względu na obronną postawę wobec Kościoła, choć — co intrygujące — nie był osobiście jego członkiem. Jego prace dotyczyły niezbędnych relacji między ludzką wyobraźnią i wiarą.

— Brzmi jak temat jednego z moich wykładów.

— Nieźle, profesorze. Widać, że nie rozdają u was tytułów za darmo.

— Dlaczego mi pan o tym mówi? Jest pan tutaj po to, żeby przekazać ostrzeżenie?

— Nie jestem kurierem.

— Czego zatem pan ode mnie chce?

Dociska kryształek cukru do blatu, czemu towarzyszy cichutkie, ale dobrze słyszalne, chrupnięcie.

— Myślę, że ma pan dokument — stwierdza.

— Mam ich mnóstwo. Powinien pan zobaczyć mój gabinet.

— Być może to jakiś wydruk lub fotografia. Ale ja stawiam na nagranie. Zgadza się?

Nie odpowiadam. Wzrusza lekko ramionami, jakby był przyzwyczajony do takiego początkowego oporu.

— Cokolwiek to jest — ciągnie — ma pan coś, co zabrał pan z tego pomieszczenia w Wenecji, a ja chcę to odzyskać.

— Proszę nic nie mówić. Sam zgadnę. Teraz zapisze pan na serwetce astronomiczną kwotę, żeby to dostać.

— Nie. Pieniądze tutaj nie odgrywają roli. Ślady na papierze. Po tej transakcji nie może nic pozostać.

— Czyli mam tak po prostu przekazać to... ten dokument? Tak?

— Tak.

— A co z moją motywacją?

— Możliwość uniknięcia podobnego losu, jaki spotkał doktora Ianno. I mnie, oczywiście. Uniknie pan również mnie.

— Idź pan do diabła.

Na ułamek sekundy coś pojawia się na jego twarzy i znika tak szybko, że równie dobrze mogłem sobie to wyobrazić. Drgnięcie górnej części policzka. Zmiana biegu.

— Proszę mi wierzyć, nie chce pan postąpić w ten sposób, Davidzie.

— Jeszcze całkiem niedawno facet, który wypowiedziałby podobne słowa, porządnie by mnie przestraszył. Ale już tak nie jest.

— Sugeruję to rozważyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ powinienem pana przestraszyć. A jeśli nie ja, to inne rzeczy. Rzeczy naprawdę godne uwagi.

— To, co zabiło Marca Ianno.

— Owszem.

— Kontroluje pan te rzeczy?

— Nie. Nikt tego nie potrafi. Ale wydają się bardzo pana interesować.

Podnoszę filiżankę, ale widok mulistej kawy i pływającej wysepki mleka przyprawia mnie o mdłości.

— Człowiek w tym pokoju był psychicznie chory — mówię. — A przez to był podatny na przekonanie o rzeczach niemożliwych.

— Wszyscy tacy jesteśmy. — Tropicieł niemal się uśmiecha. — Choć żaden z nas nie dorównuje panu.

— On popełnił samobójstwo.

— To samo mówią o pańskiej córce. I zapewne powiedzą tak o panu.

— Czy pan mi grozi?

— Tak. Z całą pewnością tak.

Wstaję. Uderzam kolanami o krawędź stołu i przewracam filiżankę. Wciąż gorące cappuccino rozlewa się na blacie i spływa na kolana mężczyzny. Musiało go to zapiec, ale w ogóle tego nie okazuje. Kiedy się odwracam, chwytą mnie za nadgarstek.

— Proszę mi dać ten dokument.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

Czuję, jak inni klienci lokalu zaczynają odwracać głowy w naszym kierunku. On jednak tego nie zauważa.

— Żle mnie pan zrozumiał — dodaje powoli i cierpliwie. — Nie jestem kimś, od kogo może się pan tak po prostu odwrócić i odejść.

Puszcza mój nadgarstek. Pozwala mi odejść. Ale ja pochylam się tak nisko, że niemal dotykam jego twarzy.

— Nie obchodzi mnie, kim pan jest. I, do cholery, nie zamierzam niczego panu dawać — odpowiadam. — Traci pan to, co ja straciłem, i trzyma się kurczowo tego, co

mu zostało. W moim położeniu nie ma mowy o obronie, bo nie mam już nic, czego mógłbym bronić. Zatem śmiało. Proszę mnie dalej tropić i powiedzieć swoim mocodawcom, żeby poszli się pieprzyć. Dobra?

Dopiero teraz odchodzę.

Mijam półtorej przecznicy wzdłuż Amsterdamu i skręcam w prawo, w moją ulicę. Nie odwracam się. Ale nawet kiedy skręcam za narożnik, czuję, że mnie obserwuje. Mam co do tego taką samą pewność, jak do tożsamości doktora Marca Ianno.

Nie rozpoznałem go wtedy w mężczyźnie siedzącym na krześle. Kiedy jednak usłyszałem nazwisko Marca Ianno, natychmiast skojarzyłem jego twarz. Kolega, który był świadkiem najbardziej nieprofesjonalnych chwil w mojej karierze.

Siedem czy osiem lat temu brałem udział w wyjątkowo efekciarskiej konferencji organizowanej w Yale. Krążyła wówczas plotka, że Rzym po cichu wyrównuje rachunki. Konferencję przygotowano pod hasłem „Przyszłość/Wiara”, jakby uznano, że jest to stary produkt wymagający błyskawicznego odświeżenia, co zapewne było prawdą. Najlepsi uczeni, filozofowie i wolni słuchacze podający się za ekspertów z całego świata zjechali się tylko po to, żeby dyskutować na temat „problemów chrześcijaństwa w nowym tysiącleciu”. Moim zadaniem było przeprowadzenie prezentacji komputerowej w PowerPoincie będącej napuszoną wersją mojego standardowego wykładu o tym, jak Miltonowski szatan jest pierwszym orędownikiem rozpadu patriarchatu. „Diabeł ma problemy z ojcem” — powiedziałem, kiedy rozpoczynałem przemowę, wywołując salwę śmiechu.

Po mojej prezentacji zapalono światła w celu przeprowadzenia krótkiej sesji pytań i odpowiedzi. Jako pierwszy wstał z miejsca teolog, którego prace były mi znane — kapłan (ubrany na tę okazję w sutannę i koloratkę) i doradca z Watykanu, tworzący teorie obronne, które mogły wpłynąć na zatrzymanie powolnych modernizacji doktryny Kościoła. Grzecznie zapytał o jakiś cytat, którego nie zdążył zanotować. Mimo to coś sprawiło, że natychmiast nastawiłem się do tego człowieka negatywnie. W moich odpowiedziach na jego pytania stałem się nienaturalnie agresywny aż do takiego stopnia, że po kilku minutach zacząłem rzucać inwektywami zza pulpitu („Może to coś wokół gardła nie pozwala na swobodny przepływ krwi do mózgu, ojcze!”). Sala wydawała się rozdymać i kurczyć, jakby była płucami jakiegoś budzącego się giganta. Nie sposób było to zatrzymać czy kontrolować. Poczułem się wówczas tak, jakbym bezwiednie odgrywał rolę kogoś zupełnie niebędącego mną. Pamiętam miedziany smak w ustach, kiedy zagryzłem do krwi wnętrze policzka.

A potem wszystko potoczyło się w bardzo dziwny sposób.

Książd patrzył na mnie, zszokowany, jakby dopiero w tym momencie coś dostrzegł. Cofnął się o krok i trącił nogami kogoś siedzącego za nim. Przez chwilę wymachiwał rękami, próbując złapać równowagę.

— Jak się pan nazywa? — zapytał.

Nie mogłem udzielić odpowiedzi. Nie mogłem, bo jej nie znałem.

— Profesorze Ullman?

Nowy głos dobiegający z tylnej części sali. Miły i pełen współczucia. Naznaczony obcym akcentem głos należał do mężczyzny, który szedł pewnym krokiem w moim kierunku i uśmiechał się tak znajomo, że kiedy w końcu stanął tuż obok mnie i chwycił mnie za łokieć, odniosłem nieodparte wrażenie, że znam go przez całe życie.

— Wydaje mi się, że nasz wyznaczony czas już się wyczerpał — powiedział doktor Marco Ianno, kiwając uspokajająco głową do osób siedzących w pierwszych rzędach, kiedy prowadził mnie do drzwi. — Być może zechce mi pan potowarzyszyć? Pójdziemy się napić czegoś odświeżającego, Davidzie?

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, na rześkim powietrzu dziedzińca, znów poczułem, że jestem sobą. A przynajmniej na tyle sobą, żeby podziękować Ianno i zapewnić go, że nic mi nie jest i że muszę po prostu wrócić do hotelu, żeby odpocząć. To był koniec tego niezwykle wstydliwego wystąpienia. Później musiałem jeszcze wysłać listy z przeprosinami i fikcyjną przyczyną, jaką było niespodziewane uderzenie gorączki. Było to bez wątpienia przykre doświadczenie, które na szczęście dobiegło końca.

Jednak Ianno, naukowiec, którego znałem tylko z pisemnych prac i nigdy więcej nie spotkałem do momentu wejścia do pokoju pod Santa Croce, skontaktował się ze mną po tym, jak zostawiłem go na chłodzie w New Haven. Wtedy zignorowałem tę wiadomość, uznając za błędnie przetłumaczony włoski, i przypomniałem sobie ją ponownie, kiedy Tropiciele wspomniał jego nazwisko.

— To, co się tam wydarzyło — powiedział wtedy — przydarzyło się również i mnie. Myślę, że mogliśmy się mylić, sądząc, że to tylko słowa zapisane na papierze, profesorze!

Nie idę prosto do domu. Nie obawiam się jednak, że Tropiciele pójdzie tam za mną lub wyłamie drzwi, kiedy będę wewnątrz. To nie miałyby sensu. On dobrze wie, że tego, czego szuka, nie ma w moim mieszkaniu. Jestem wręcz przekonany, że już nawet w nim był. Sprawdził wszystkie oczywiste miejsca, a teraz oczekuje, że powiem

mu to, co chce wiedzieć. Dziś zapytał grzecznie. Następnym razem użyje innych środków perswazji.

Dlaczego po prostu nie dać „dokumentu” George’owi Barone’owi? To byłoby takie proste. Jestem pewien, że po czymś takim zostawiłby mnie w spokoju. Nie, on obawiał się śladów. Zamordowanie profesora z Uniwersytetu Columbia pozostawiłoby więcej plam niż wypłata gotówki. Najprostszą rzeczą na świecie byłoby zatem udanie się za kilka dni wraz z Tropicielem do Chase Banku na narożniku 48. Ulicy i Szóstej Alei (wówczas zgodnie z zasadami mógłbym uzyskać dostęp do skrzynki) i przekazanie mu kamery i laptopa, jedynek śladów mojej rozmowy ze zmarłym już doktorem Ianno.

Ale nie mogę tego zrobić. Jeśli bowiem Tropicielem tego szuka — on albo ten, kto zdecydował się mu zapłacić — to dowód ten musi mieć sporą wartość. Bez niego mógłbym już nie być wart żadnych wizyt, mógłbym nie odbierać już żadnych znaków. Nawet jeśli narażam się na niebezpieczeństwo, mając w swoim posiadaniu ten tak zwany dokument, nie mam wyboru, muszę go zatrzymać i pozostać celem. Tylko jako ktoś poszukiwany będę mógł zachować swoją rolę w tej historii. I choć nie mam pojęcia, dlaczego jestem poszukiwany, muszę wziąć udział w tym przedstawieniu, jeśli chcę odzyskać Tess.

Teraz, kiedy Tropicielem się ujawnił, jedna rzecz stała się prostsza. Pozostało mniej czasu, niż mi się wydawało.

Dzwonię do O’Brien, która odbiera już w połowie pierwszego sygnału.

— David — mówi z wyraźną nutą ulgi w głosie. — Gdzie ty się podziewasz?

— Jestem tutaj. W Nowym Jorku.

— To w takim razie dlaczego mnie unikasz? Jestem twoją przyjaciółką, bałwanie.

— Przepraszam.

— Co się dzieje?

— Nie jestem pewny, czy potrafiłbym to nazwać.

— Nie stawiaj sobie diagnozy. Po prostu powiedz mi, co się stało. Bo dobrze wiem, że coś jest nie tak. Niespodziewany wyjazd do Wenecji, cała ta historia z Tess. I żadnego kontaktu od ciebie od momentu powrotu. To do ciebie niepodobne, Davidzie.

— Nic mi nie jest, ale jestem poważnie zagubiony.

— Oczywiście, że jesteś. Zbyt wiele straciłeś. To wręcz niewyobrażalne.

— Nie chodzi tylko o Tess. Z jej zniknięciem wiążą się pewne... aspekty, których

nie potrafię wyjaśnić.

— Zniknięciem? To było samobójstwo, Davidzie.

— Nie jestem taki pewny, czy to prawda.

Zastanawia się przez chwilę.

— Mówisz w kontekście tego, dlaczego tak się stało?

— Nie. W kontekście tego „jak”.

— Dobra. Co jeszcze?

— Jestem... odwiedzany.

Słyszę, jak O'Brien trawi te słowa. Daje mi szansę, żeby wszystkim się podzielić. Ale niespodziewane tutaj, na ulicy, przez telefon, obawiam się, że to, o czym rozmawiamy, może nie mieć poufnego charakteru. Telefon może być na podsłuchu. *To wcale nie jest takie trudne, prawda?* A ostatnie, czego chcę, to narazić moją przyjaciółkę na niebezpieczeństwo. O'Brien ma już wystarczająco dużo problemów, żebym jeszcze wysyłał jej Tropiciele pod same drzwi.

— To brzmi bardzo dziwnie — mówi.

— Masz rację. To po prostu nieprzepracowane kwestie emocjonalne zmieniające się w pokręcone kwestie paranoiczne. Kwestie, kwestie, kwestie.

O'Brien milknie. Wydaje się rozumieć moją niechęć do powiedzenia czegokolwiek więcej na ten temat w obawie o poufność. Sekundę później mówi coś, co jest kodem znanym tylko nam obojgu.

— Cóż, miło byłoby się spotkać, ale jestem zawałona po uszy dziesiątkami prac dyplomowych do sprawdzenia. Poza tym mam jeszcze papiery zgłoszeniowe dla pierwszego rocznika. Całkowite pandemonium.

To słowo. Miejsce demonów. Miejsce naszego spotkania.

— Przykro mi to słyszeć. Szkoda, że nie możemy się zobaczyć.

— Niestety. Innym razem. Niedługo, dobrze? Trzymaj się, Davidzie.

— Dzięki. Ty również.

Rozłącza się.

A ja wzywam taksówkę.

— Stacja Grand Central — rzucam do kierowcy i już po chwili włączamy się do ruchu zmierzającego do centrum.

Zakładałem przynajmniej, że jedziemy do centrum. Kierowca musi być nowy. Albo nawalony. A może jedno i drugie. Jedzie na południe wzdłuż Columbus, po

czym skręca tak gwałtownie w prawo, że aż uderzam o drzwi. Przejeżdża jedną przecznicę i kiedy ma możliwość skorygowania kierunku jazdy, suniemy dalej przed siebie, w kierunku Central Park West.

— Mówiłem Grand Central. Stacja kolejowa — wołam do niego przez otworki w pleksiglasowej osłonie. — Wie pan coś, czego ja nie wiem?

Nie odpowiada. Zjeżdża do krawężnika.

— Dlaczego się zatrzymujemy?

Stukam w plastikową osłonę. Nie odwraca głowy.

— Musimy pojechać tędy — mówię, wskazując przed siebie.

— Jest pan na miejscu — odpowiada w końcu. Jego głos jest ledwie słyszalny, ale ma dziwne brzmienie, jakby facet właśnie przeszedł zabieg stomatologiczny, po którym ma odrętwiałe usta.

— Chcę pojechać do centrum.

— To tutaj... musi się pan udać.

Nie porusza się. We wstecznym lusterku widzę tylko kawałek jego twarzy, który jest w dodatku zasłonięty awiatorami i czarną brodą do piersi w stylu bliskowschodnim. Ogólnie rzecz biorąc, wygląda jak kierowca taksówki.

Pozostaje tylko kwestia języka. Wysuwa się spomiędzy jego ust, błyszczący i obsceniczny. Końcówka drga. Smakuje powietrze.

Wysiadam, zatraskuję za sobą drzwi, a on natychmiast odjeżdża. Chcę zapisać jego numery, ale niemal natychmiast zasłaniają go inne samochody. Zwyczajny poobijany żółty sedan pośród dziesiątków podobnych.

Teraz jestem w połowie przecznicy od 72. Ulicy, w miejscu, w którym stoją stare apartamenty Dakota z oknami skierowanymi na park. Nie jest to słynny południowy kraniec, na którym zastrzelono Johna Lennona (punkt wysiadki dla niekończących się tłumów upiornych turystów), lecz kraniec północny, który nie słynie z niczego. Jeśli kierowca chciał pokazać mi jedną z najbardziej uwielbianych plam krwi w Nowym Jorku, to nawet w tym się pomylił.

Uznaję, że coś jednak w tym jest.

Do takiego wniosku prowadzi mnie mój własny rozum, jak również klasyczna dedukcja. Skończyły się już przypadki, ostatnio mam do czynienia już tylko ze znakami i prorocत्वami. Jestem nocnym, fundamentalistycznym interpretatorem poszukującym znaczeń i Wielkiego Planu w twarzy Matki Boskiej pojawiającej się w chmurze czy napisach powstających z makaronowych literek w zupie.

Wysadził mnie przy północnym narożniku budynku. Na północ od Dakoty.
Dakota Północna.

Mapa na ścianie w pokoju Tess. Stan, który wybrała dla swojego szkolnego projektu. Albo — jak sobie teraz myślę — stan, który jej przypisano.

— Dlaczego Dakota Północna? — Pamiętam, jak zadałem jej to pytanie w dniu, w którym przyniosła mapę do domu i zaczęła przewracać w szufladach w poszukiwaniu taśmy klejącej, żeby ją przymocować na ścianie.

— Nie wiem. Wybrali ją dla mnie.

— Nauczycielka?

— Nie — odparła, udając, że pochłania ją grzebanie w kuchennej szufladzie.

— Kto w takim razie, kochanie?

Nie odpowiedziała. Czy mi się zdawało, czy jej ramiona zeszywniały, kiedy odpowiedź pojawiła się w jej myślach, zanim wyjęła taśmę i pobiegła do swojego pokoju? W tym momencie tak właśnie przypominam sobie tamte chwile, choć wówczas nie znaczyło to dla mnie nic innego, jak przejaw dziecięcego zniecierpliwienia w reakcji na nagabywanie ojca.

Teraz ma to dużo większe znaczenie.

Jeśli celem tej mojej wędrówki jest wypatrywanie znaków, to może właśnie mam do czynienia z jednym z nich. Nie wiem, czy kierowca należał do tych złych, czy do tych dobrych, ale przywiózł mnie tutaj z jakiegoś powodu. Moim zadaniem, podobnie jak zadaniem apostołów, było dostrzeżenie znaczenia zbiegu okoliczności. Muszę je dostrzec. Muszę to zrobić dla Tess.

Ślepa wiara. Choć w moim przypadku nie wiara w Niebiosa, lecz w tych, którzy z nimi walczą.

Nie dzwonię do nikogo. Bo do kogo miałbym zadzwonić? Diane nie musi wiedzieć. Ale choć Tess zniknęła, może ona już wie.

Pozostaje O'Brien, którą właśnie wprowadziłem w błąd. Wysłałbym do niej esemesa, że się nie pojawię, ale jestem pod ziemią, jadę metrem do mojego gabinetu w kampusie. Na miejscu zabieram jedyne rzeczy, które uznaję za przydatne, nie licząc karty kredytowej w portfelu. Książki. Pospiesznie zgromadzona osobista biblioteczka opracowań z zakresu demonologii ściągniętych z półek i wciśniętych do skórzanej torby. *Raj utracony*. *Anatomia melancholii*. Biblia Króla Jakuba. Do tego niezwiązany z tematem, choć teraz równie przydatny *Atlas drogowy Stanów Zjednoczonych*.

Opuszczam kampus, udaję się do Harlemu i kupuję samochód. Wypożyczenie byłoby z pewnością tańsze, ale obawiam się, że wyśledzenie mnie nie stanowiłoby większego problemu, gdybym zgłosił się do Budget czy Avis, informując ich później, gdzie odstawię wóz. Trafiam więc do komisju z używanymi samochodami przy 142. Ulicy prowadzącej do dobrej meksykańskiej knajpy (podają tam świetne margarity), w której kilka razy byliśmy z O'Brien. Jak się okazało, przyjmują karty kredytowe na całą płatność i nie żądają dowodu tożsamości, kiedy wpisuję się w formularzu jako John Milton.

Lepszym rozwiązaniem byłoby zapewne kupienie nierzucającego się w oczy, czterodrzwiowego japońskiego sedana w białym lub beżowym kolorze, ale ja wybieram czarnego mustanga. Nie jest to stary model, lecz jeden z nowszych — dwuletni, trzynaście tysięcy kilometrów przebiegu, jeśli licznik nie kłamie — z chromowanymi kołpakami i pluszowymi fotelami z lamparcimi cętkami. Subtelny jak wozy dealerów narkotyków, ale jednocześnie wyróżniający się przy gaszonych amerykańskich autostradach i bocznych drogach. Jeszcze nigdy nie prowadziłem takiego samochodu — nigdy tak naprawdę nie interesowałem się motoryzacją — a teraz, kiedy spaceruję na placu wypełnionym używanymi mercedesami i opasłymi SUV-ami, mam przed oczami obraz samego siebie: faceta w okularach z drucianymi oprawkami i dopasowanymi dżinsami (Diane określała to wyglądem wiecznego studenta) wyłaniającego się ze sportowego wozu. To zabawne. Gdyby Tess tu była,

też by tak to określiła. Wskoczyłaby na siedzenie pasażera wyściełanego tym sztucznym futerkiem i kazała dać czadu. Robię to więc dla niej. Z piskiem opon opuszczam plac przed komisem i jadę na południe, do domu, skąd zabieram do torby trochę ciuchów. Nie zapominam o zabraniu dziennika Tess.

Znów ruszam na północ, wjeżdżam łączącymi się pasami jezdni na most George'a Washingtona, którym opuszczam wyspę. Stamtąd jadę na zachód I-80 i wjeżdżam w sieć dróg międzystanowych, świata pełnego moteli z krzykliwymi neonami DOBRE JEDZENIE czy MIEJSCE DLA DZIECI W POKOJU GRATIS! Wyłożona asfaltem brama do szerszych przestrzeni, na których przebywa znacz nie mniej ludzi. Opuszczam bezpieczny Nowy Jork i jadę ku mniej znanym mi miastom i miasteczekom — ku zapomnianym równinom. Świecie obłądnych możliwości. Jadę do Dakoty Północnej. Do tej pory przeze mnie ignorowanej.

Dziś oczywiście tam nie dotrę. Kiedy dojeżdżam do granicy stanu Pensylwania, dopada mnie zmęczenie i zaczynam się rozglądać za postojem. Zamierzam również zadzwonić do O'Brien. Nie zasłużyła sobie na to, że ją wystawiłem, i pewnie w tej chwili martwi się, że się nie pojawiłem. Poczuję jednak, że muszę natychmiast opuścić miasto, do czego przyczynił się zarówno Tropiciele, jak i zagadka związana z Dakotą.

Chyba trafiam w dobre miejsce. Wolny od chwastów obszar piknikowy, jedynie kilka zgniecionych kulek po opakowaniach od hamburgerów wokół przepelnionych koszy na śmieci. Zatrzymuję samochód w rogu parkingu i dzwonię.

— Wszystko w porządku? — pyta O'Brien po odebraniu połączenia. Niepokój w jej głosie potroił moje poczucie winy.

— Nic mi nie jest. Posłuchaj, przepraszam, że nie przyszedłem.

— A więc zrozumiałeś moją wiadomość?

— O, tak. Tak na marginesie, była całkiem niezła.

— Rumienię się.

— Byłem w drodze do centrum, kiedy... Musiałem zmienić zdanie.

— Co się stało?

Jak odpowiedzieć na to pytanie?

— Otrzymałem znak — mówię.

— Znak. Taki w rodzaju tych z Nieba?

— Nie, nie z Nieba.

— David, czy możesz mi w końcu powiedzieć, co, do ciężkiej cholery, się z tobą

dzieje?

Jak odpowiedzieć na to pytanie? Powiedzieć prawdę? Niemożliwą prawdę, w którą już sam połowicznie wierzę, ale nie pozwoliłem sobie jeszcze powiedzieć o tym na głos czy nawet o tym pomyśleć.

— Myślę, że Tess żyje — mówię w końcu.

— Wiesz coś nowego? Włoska policja... Znaleźli ją? Ktoś ją widział?

— Nie, nikt jej nie widział.

— O, mój Boże, David! Skontaktowała się z tobą? — Wraz z następną myślą O'Brien pochmurnieje. — Czy to porwanie? Czy ktoś ją porwał?

Tak, ktoś ją porwał.

— Nikt się ze mną nie skontaktował — odpowiadam w zamian. — Policja na nic nie natrafiła. Prawdę mówiąc, zrezygnowali już z poszukiwań. Czekają już tylko na to, kiedy wypłynie jej ciało. Uważają, że ona nie żyje.

— Ale nie ty?

— Część mnie wie, że tak musi być. Ale druga część sądzi inaczej.

— Gdzie w takim razie ona jest?

— Nie we Włoszech. Tutaj też nie.

— Dobra. Udaję, że trzymam mapę. Gdzie powinnam szukać?

— Dobre pytanie.

— Nie wiesz?

— Nie. Ale coś wyczuwam. Że ona żyje, choć nie jest żywa. Czeka, aż ją odzyskam.

O'Brien wzdycha. Wygląda mi to na westchnienie ulgi. A może to oddech sygnalizujący konieczność zebrania energii, której potrzebuje do kontynuowania sesji z przyjacielem, który swoimi ostatnimi słowami potwierdził, że jest niepoczytalny.

A jednak jest to coś innego. Dostraja swój sposób myślenia tak, aby móc podążyć za moim. Nie, żeby akceptowała to, co mówię. Przeszła po prostu w tryb diagnozy.

— Mówisz o jej duszy? — pyta. — Rodzaju ducha?

— Nie, nie wydaje mi się. To by wskazywało, że naprawdę jej już nie ma.

— A więc o czyścu?

— Coś w tym stylu.

— Powiedziała ci o tym?

— Wczoraj próbowałem odebrać sobie życie — mówię. Wychodzi to ze mnie

w taki sposób, jakbym właśnie jej powiedział, że wyszczotkowałem zęby.

— Och, Davidzie.

— Już w porządku. Tess mnie powstrzymała.

— To znaczy wspomnienie o niej? Pomyślałeś o niej i nie byłeś w stanie tego zrobić?

— Nie. Tess mnie powstrzymała. Zrzuciła fotografię ze ściany, żeby dać mi znać, że jest tam ze mną. Że mam przed sobą zadanie do wykonania.

— A jakie to zadanie?

— Podążanie za znakami.

— Jak to dokładnie działa?

— Nie potrafię o tym powiedzieć nic dokładnego.

— A więc jak to ogólnie działa? — wyraźnie kładzie nacisk na słowo „ogólnie”.

— Myślę, że chodzi o otwarcie umysłu. O wykorzystanie tego, co wiem o świecie, o sobie samym. O wszystkim, czego się nauczyłem, czego uczyłem innych, co przeczytałem. Muszę myśleć i czuć jednocześnie. Oderwać wieko mojej wyobraźni, żeby zobaczyć to, czego nauczyłem się — my wszyscy się nauczyliśmy — nie widzieć.

— Widzialna ciemność — mówi O'Brien.

— Może. Może jestem wabiony do piekła. Ale jeśli tak jest, to może Tess też tam jest.

O'Brien znów wzdycha. Tym razem wiem jednak, o co jej chodzi. Drżenie.

— Przerażasz mnie.

— Która część? Ta, która wierzy, że Tess chce, abym ją odszukał w podziemnym świecie? Czy ta, która przypomina zbiegłego pacjenta ze szpitala psychiatrycznego?

— Czy mogę powiedzieć, że obie?

Śmieje się. Nie dlatego, że to zabawne, ale ponieważ usłyszała właśnie rzeczy, na które każda osoba zdrowa na umyśle zareagowałaby śmiechem.

— Gdzie teraz jesteś? — w końcu pyta.

— W Pensylwanii. W trasie.

— Myślisz, że Tess może tam być?

— Tylko wtedy przejeżdżam. Szukam znaków, które doprowadzą mnie bliżej niej.

— I zamierzasz je odszukać w Pensylwanii?

— W Dakocie Północnej. Taką mam nadzieję.

— Co?

— To skomplikowane. Gdybym ci powiedział, poczułbym się jak idiota.

— David? Powiedzieć ci prawdę? Ty już brzmisz trochę jak idiota.

— Doceniam to.

— Poważnie. Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

— Że jestem szalony.

— Może nie tak do końca. Ale musisz wiedzieć, że martwię się o ciebie. Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz?

— Tak. Mnie też to cholernie martwi.

Chwila milczenia. O'Brien szykuje się, aby pójść w kierunku, w którym musi ruszyć.

— David?

— Tak.

— Co się naprawdę wydarzyło w Wenecji?

— Tess spadła — odpowiadam, uznawszy, że i tak już powiedziałem zbyt wiele.
— Straciłem ją.

— Nie mówię o tym. Mam na myśli przyczynę, dla której w ogóle się tam znalazłeś. Dlaczego Tess zrobiła to, co zrobiła. Bo przecież wiesz — mówi z naciskiem — prawda? Nie wierzysz w teorię o samobójstwie.

— Nie, nie wierzę.

— Powiedz mi w takim razie.

Chcę to zrobić, ale historia o Chudej, o mężczyźnie na krześle i głosie Nienazwanego to zbyt wiele, żeby o tym mówić. Groziłoby to zniszczeniem kruchego związku, który wciąż łączy mnie z O'Brien, a potrzebuję jej po swojej stronie. Poza tym pozostaje kwestia jej bezpieczeństwa. Im więcej wie, tym wystawiam ją na większe zagrożenie.

— Nie mogę — odpowiadam.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie mogę. Jeszcze nie teraz.

— W porządku. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie.

— Tak?

O'Brien bierze głęboki wdech. Wolny i szeleszczący. Nie chce o to pytać, ale nie będzie mogła mnie wspierać, jeśli tego nie będzie wiedzieć.

— Czy masz swój udział w tym, co się przydarzyło Tess?

— Udział? Nie rozumiem.

— Skrzywdziłeś ją, Davidzie?

Choć pytanie jest zdumiewające, od razu zdają sobie sprawę, skąd się wzięło. Całe to moje gadanie o znakach, duchach i czyścicu mogło wynikać z poczucia winy. O'Brien bez wątpienia spotkała się z czymś takim w swojej pracy. Sumienie, które nie może znieść winy i szuka ulgi poprzez fantazję.

— Nie. Nie skrzywdziłem jej.

Po wypowiedzeniu tych słów dociera do mnie, że to nie do końca prawda. Czy to nie ja sprowadziłem Nienazwanego do hotelu z Santa Croce 3627? Czy Tess nie byłoby dziś tutaj, gdyby nie moja zgoda na przyjęcie pieniędzy od Chudej? Nie skrzywdziłem swojej córki. Ale mimo to tkwi we mnie poczucie winy.

— Wybacz mi — mówi O'Brien. — Ale musiałam zapytać, wiesz? Żeby oczyścić atmosferę.

— Nie musisz przepraszać.

— Po prostu, sporo jest do przetrawienia.

— Wiem. Ale... O'Brien?

— Tak?

— Nie dzwoń po facetów w białych kitlach, żeby mnie sprowadzili z powrotem. Proszę. Wiem, jak to wszystko musi brzmieć. Ale nie próbuj mnie powstrzymać.

To nie jest dla niej łatwe. Wiem o tym, bo widzę, ile czasu jej zabiera skalkulowanie ryzyka związanego ze złożeniem takiej obietnicy, z odpowiedzialnością, którą bierze na siebie, gdyby przytrafiło mi się coś złego. Albo — właśnie to do mnie dotarło — gdybym to ja miał zrobić komuś coś złego.

— Dobrze — mówi w końcu. — Ale musisz do mnie dzwonić. Zrozumiano?

— Tak.

Chce wiedzieć więcej, ale nie pyta. Dzięki temu mogę zapytać ją o samopoczucie, o to, co mówią lekarze, i czy odczuwa jakieś dolegliwości. Poza „drobnym porannym zeszywnieniem”, jak to ujęła, nic jej nie jest.

— A poza tym kogo obchodzą lekarze? — mówi. — Dali mi tyle prochów, że wystarczyłoby na dobrą zabawę dla tuzina pacjentów z odwyku na miesiąc. Lekarze już ze mną skończyli, a ja skończyłam z nimi.

Wiem, że O'Brien mówi poważnie. Poradzi sobie ze swoją chorobą, a kiedy przyjdzie czas, przyjmie śmierć z godnością. Kiedy jednak mówi o raku, tuż pod powierzchnią słów tłumi gniew. Podobnie jak u mnie. Oboje zdecydowaliśmy się wkurzyć na niewidzialnych złodziei, którzy wkradli się do naszego życia.

— Ruszam w dalszą drogę — mówię, upewniwszy się, że nie chce już więcej mówić na ten temat.

— Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

— Nawet jeśli uważasz, że to miraż?

— Czasami miraże okazują się prawdą. Czasami na pustyni znajduje się wodę.

— Kocham cię, O'Brien.

— Powiedz mi coś, czego nie wiem — odpowiada i się rozłącza.

Wjeżdżam na żelazny pas Pensylwanii, drogę międzystanową przytulającą się do miasteczek z fabrykami papieru i odlewniami, znaczoną tablicami z obietnicami DOSKONAŁE MIEJSCE DO MIESZKANIA! i sugestiami ZATRZYMAJ SIĘ TUTAJ... NIE POŻAŁUJESZ! Ale się nie zatrzymuję. Jadę dalej we wczesny wieczór, podczas gdy słońce chowa się za kominami fabrycznymi i linią drzew.

W pewnym momencie na desce rozdzielczej ląduje biedronka. Szyby są pozamykane. Nie zauważyłem wcześniej, żeby wleciała do środka. A jednak siedzi tam i patrzy na mnie.

Owad — jak zresztą niemal wszystko w ostatnim czasie — prowadzi do tego, że myślę o Tess. Wspomnienie, które zdumiewa mnie możliwościami ponownej interpretacji. Myślę o tym, co ten znak mówi o niej. O nas. Myślę o rzeczach, które mogła widzieć od samego początku, kiedy ja wciąż byłem na nie całkowicie ślepy.

Pewnego razu, krótko po swoich piątych urodzinach, Tess poprosiła mnie o pozostawienie przy łóżku zapalanej lampki, kiedy kładłem ją spać. Do tej pory nie przejawiała żadnych objawów strachu przed ciemnością. Kiedy ją o to zapytałem, potrząsnęła głową w wyrazie frustracji, jakby chciała powiedzieć: „I tak tego nie zrozumiesz, tato”.

— Nie ciemności się boję — poprawiła mnie. — Ale tego, co w niej jest.

— Dobrze. A co takiego w ciemności cię tak przeraża?

— Dzisiaj? — Zastanawiała się przez chwilę. Zamknęła oczy, jakby przywoływała w myślach jakąś wizję. Otworzyła je ponownie, kiedy w końcu ją ujrzała. — Dzisiaj biedronka.

Nie duchy. Nie „Coś, Co Mieszka Pod Łóżkiem”. Nawet nie pająki czy robale. *Biedronka*. Próbowalem zdławić śmiech, ale i tak wychwyciła moją reakcję.

— Co cię tak śmieszy?

— Nic, kochanie. Ale... biedronki? One są takie małe. Nawet nie żądłą. I mają te słodkie, małe kropeczki.

Tess spojrzała na mnie w taki sposób, że uśmiech natychmiast spełził mi z twarzy.

— Nie wygląd sprawia, że coś jest złe — odpowiedziała.

Zapewniłem ją na dobre i na złe, że w mieszkaniu z całą pewnością nie ma żadnych biedronek. (Był sam środek zimy, co nie zmieniało faktu, że i tak nie widziałem żadnej biedronki przez cały czas, kiedy tam mieszkaliśmy, czy gdziekolwiek indziej na Manhattanie).

— Mylisz się, tatusiu.

— Tak? Dlaczego jesteś tego taka pewna?

Podciągnęła kołdrę pod brodę i popatrzyła na stoliczek nocny obok łóżka. Kiedy spojrzałem w to samo miejsce, zauważyłem na blacie biedronkę. Jeszcze przed chwilą tam jej nie było.

Uznałem, że to musi być jakaś zabawka lub wysuszona łuska po jakimś dawno zdechłym robaku spod koca — umieszczona w tym miejscu za pomocą zręcznej dłoni Tess — więc pochyliłem się bliżej, żeby się jej lepiej przyjrzeć. Kiedy mój nos dzieliło od niej zaledwie kilkanaście centymetrów, biedronka odwróciła się w moją stronę i otworzyła swój pancerzyk, żeby rozłożyć czarne skrzydełka.

— Czasami potwory są prawdziwe — powiedziała Tess, odwracając się na drugi bok i pozostawiając mnie z wpatrującą się we mnie biedronką. — Nawet jeśli nie wyglądają jak potwory.

Mustang zaczyna podskakiwać, a ja budzę się gwałtownie. Dostrzegam, że zjechałem na zwirowe pobocze. Nadszedł najwyższy czas na poszukanie noclegu. Następne miasteczko po drodze? Milton. Populacja 6650 osób. Kolejny znak. Albo zwyczajny zbieg okoliczności. Jestem zbyt zmęczony, by nad tym rozmyślać.

Przy autostradzie znajduje się motel Hampton Inn (DARMOWE ŚNIADANIE W STYLU KONTYNETALNYM! I KABLÓWKA!). Zameldowuję się, kupuję sześciopak i hamburgera, po czym jem posiłek w pokoju, zasłoniwszy wcześniej rolety. Dociera do mnie szum i pojękiwanie autostrady na zewnątrz. Pokój ożywiają lecące w telewizji reklamy.

Kiedy Tess była młodsza, jedną z naszych ulubionych gier była zabawa w „ciepło, zimno”. Wybierała jakiś przedmiot w mieszkaniu — pacynkę-księżniczkę, wyciskarkę do soków w kuchni — i mówiła o tym szeptem Diane. Moim zadaniem było odnalezienie tego przedmiotu jedynie na podstawie wskazówek „ciepło!” i „zimno!”. Czasami tajemniczym obiektem była ona sama. Zbliżałem się do niej z wyciągniętymi rękami, macając powietrze niczym ślepiec. „Cie-plej! Cieee-plej!

Gorąco! BARDZO GORĄCO!" Moją nagrodą było przytulenie z chichotem, kiedy bezlitośnie łaskotałem swoją ofiarę.

A teraz jestem tutaj. W Milton, w stanie Pensylwania. Szukając w ciemności.

— Czy jest cieplej? — pytam motelowy pokój.

Cisza przynosi nową falę niepokoju. I burczenie w żołądku, którego nie uciszył podwójny bekon z serem. Tęsknota za kimś przypomina głód. To nienasycona pustka, która wciąż daje o sobie znać. Jeśli będę tu siedział i myślał o niej, pochłonie mnie całego.

A ja nie mogę zniknąć. Jeszcze nie teraz.

Zabieram dziennik Tess z samochodu. Tym razem zaczynam od początku. Większości tego, co zapisała, można się było spodziewać. Zwyczajne codzienne obserwacje — „zwariowani” chłopcy w jej klasie, strata najlepszej przyjaciółki, która przeprowadziła się do Kolorado, upokorzenie przy tablicy z winy „śmierdzącego cebulą” nauczyciela od matmy. Te zapiski przynoszą ulgę. Im dłużej jej wpisy pozostają na takim gruncie, tym dłużej mogę cieszyć się możliwością, że była taka, na jaką wyglądała. Bystrą, lubiącą książki zdystansowaną dziewczynką, obrończynią klasowych ofiar, szczęśliwą pod względem wielu codziennych spraw.

Jednak nawet wspomnienie o szczęściu może mieć odwrotny efekt. Świadomość, że dana chwila jest nie tylko przeszłością, ale również czymś, co już na zawsze pozostanie niewyraźalne, przynosi nowy rodzaj bólu.

Jestem chyba jedynym dzieckiem w szkole, które lubi chodzić do lekarza, dentysty i do tego, który sprawdza twoje oczy. Nie dlatego, że lubię lekarzy, dentystów czy tych gości od oczu, ale dlatego, że kiedy tata zapisuje mnie na badanie, tak naprawdę urywamy się ze szkoły.

To się zaczęło rok, a może dwa lata temu. Tata musiał mnie zabrać do dentysty, a kiedy było po wszystkim, nie odstawił mnie z powrotem do szkoły, tylko resztę dnia spędziliśmy razem. Zwiedziliśmy Statuę Wolności. Pamiętam, że kiedy byliśmy na promie, wiał tak silny wiatr, że bejsbolówka Metsów z płamą na krawędzi (ta płama doprowadzała mamę do szału) spadła mu z głowy i wpadła do rzeki. Tata udawał, że zamierza za nią wskoczyć do wody, a jedna pani, która tam przy nas stała, wzięta to na serio i zaczęła straszliwie krzyczeć! Kiedy tata ją uspokoił, powiedział mi, że jedynie idiota wskoczyłby do Hudsonu, żeby odzyskać bejsbolówkę Metsów. „Ale gdyby to była bejsbolówka Rangersów? Może wtedy...”.

Po tym wydarzeniu zaczęliśmy celowo zrywać się ze szkoły.

Oto, jak działa ten przekręt:

Tata zabiera mnie z lekcji — pojawia się nagle, dzięki czemu nigdy nie wiem, kiedy przyjdzie —

i dopiero na ulicy decydujemy, dokąd się udamy. Przez większość czasu po prostu włóczymy się po mieście, patrzymy na różne rzeczy, rozmawiamy i rozmawiamy. Tata nazywa to „zabawą w turystów na własnym podwórku”. Ja nazywam to „Wędrówką Po Nowym Jorku”. Nieważne. To jest SUPER.

W tym roku trafiliśmy na ulicę w Chelsea, pełną tych dziwnych galerii sztuki (widziałam tam rzeźbę przedstawiającą faceta, któremu wyrastają z tyłka kwiaty!), a potem zaliczyliśmy nie jedną, nie dwie, ale TRZY rundy wozem wokół Central Parku i zjedliśmy wietnamski makaron na środku mostu Brooklyńskiego.

W tym tygodniu ustawiliśmy się w kolejce, nie wiedząc, co to za kolejka. Okazało się, że do Empire State Building. Do tamtej pory jeszcze tam nie byłam. Tata też nie.

„Widziałem zdjęcia”, powiedział mi.

„Zdjęcia nigdy nie są takie same jak rzeczywistość”, odpowiedziałam mu.

Po około godzinie wjechaliśmy windą na górę na piętro, z którego można zobaczyć cały Manhattan. Park, dwie rzeki i coś na Times Square, co wygląda jak małe telewizory.

To dziwne, jak ciche było miasto z tej wysokości. Hałas z ulicy był tylko szumem. Coś jednak słychać. Nie sposób jednak opowiedzieć, czy szykuje się do wycia jak zwierzę, czy do śpiewania niczym anioł.

Czytam dalej. Nie jestem pewien, czego w ogóle szukam. Pewnie dalszego ciągu. Więcej Tess. Więcej tego, co wiedziałem, jak również tego, czego nie wiedziałem.

I znajduję.

Jest taki chłopiec, który często przychodzi w odwiedziny. Nie w tym świecie, ale w Innym Miejscu. Chłopiec, który już nie jest chłopcem.

Ma na imię TOBY.

Jest tak smutny, że niemal nie daje się z nim wytrzymać. Twierdzi, że jest nam przeznaczony, ponieważ coś Bardzo Złego z miejsca, skąd pochodzi, wysłał dla taty wiadomość. A TOBY ma ją przekazać.

TOBY mówi, że jest mu przykro. Że chciałby po prostu normalnie żyć i pokazać mi, że wciąż jest dzieckiem jak ja. Raz powiedział, że chce mnie pocałować, ale wiem, że jeśli to coś go o to poprosiło, to prędzej wyciągnie mi język zębami.



Nie znam żadnego Toby'ego. I choć bardzo nie chcę go poznać, jestem przekonany, że niebawem tak się stanie.

„Ona jest tobą”, powiedziała O'Brien. Ale to Tess przyznała się do swoich demonów — naszych demonów — w sposób, w jaki ja nigdy nie potrafiłbym tego zrobić.

Aż do teraz.

Na następnej stronie natrafiam na rysunek. Podobnie jak ja, Tess zdecydowanie wolała pisać i mówić, niż rysować, a naszkicowany obraz jest dość schematyczny. Jednak jednocześnie przyciąga uwagę z racji swojej prostoty. Te nieliczne szczegóły, które wyróżniają rysunek i czynią go czymś więcej niż tylko „mężczyzną poza domem”, wskazują ukryte znaczenie. Wystarczy rzut oka, by się zorientować, że Tess doświadczyła już wcześniej tej sceny. Albo ta scena została jej ukazana.

Płaski horyzont. Tak szeroki, że rozciąga się od jednej strony do drugiej, choć na sąsiedniej kartce nie pojawia się żadna część obrazka, tylko ta prosta linia terenu i niebo. To wszystko sprawia, że temat jest jeszcze bardziej wyizolowany.

Na pierwszej stronie widzę kwadratowy dom, pojedyncze drzewo w ogrodzie i prostą, zwirową ścieżkę wiodącą ku górze. Obszerne gniazdo os zawieszane pod okapem. Grabie oparte o pień drzewa. I ja. Podchodzący do frontowych drzwi, podczas gdy moje usta — wyrażone prostą kreską wygiętą w dół — wykrzywia posępny grymas jakiejś zawziętości, być może bólu.

Na stronie zapisała tylko dwa słowa. Złowrogo kłębiące się pod gruntem, na którym stoję, niczym układ korzeni.

Biedny TATUSĆ

Zamykam dziennik drżącymi dłońmi.

Telewizja. Teraz rozumiem. To przytłaczająca pustka motelowych pokoi sprawia, że każdy zaraz po wejściu włącza telewizor.

Przerzucam kanały, aż natrafiam na CNN. Oglądam wielkie, rozpraszaające uwagę amerykańskie widowisko. Otwieram puszkę old milwaukee i wpatruję się w ekran podzielony na mniejsze okna i przesuwające się paski z informacjami. Ofiary

śmiertelne, gwiazdy idące lub wracające z odwyku, przychody z premier nowych filmów. Gadające głowy tak upudrowane, że przypominają zmyślnie figury z muzeum Madame Tussaud.

Tak naprawdę wcale nie oglądam programu. Nawet się nie wsłuchuję. Ale coś przyciąga mnie bliżej ekranu.

Dopiero po pewnej chwili koncentruję się w pełni i zdaję sobie sprawę, że to nie przesuwające się informacje zwracają moją uwagę, ale liczby. Serie cyfr przemerkających w dolnej części ekranu. Każda z nich poprzedzona nazwą miasta. Światowe indeksy giełdowe w chwili zamknięcia na 27 kwietnia.

... NYSE 12595.37 ... TSE 9963.14 ... TSX 13892.57 ... DAX 5405.53 ... LSE 5906.43 ...

Nowy Jork. Tokio. Toronto. Frankfurt. Londyn.

Świat zostanie naznaczony naszymi liczbami.

I tak się dzieje.

Ale co to oznacza? Dowód. To właśnie obiecał mężczyzna siedzący na krześle. Wtedy głos, który chciał być znany jako grupa demonów, nie odpowiedział, czego dowiodą liczby. Wszystko będzie jasne, kiedy nadejdzie odpowiednia pora. I teraz nadeszła. Poprawnie przepowiedziane indeksy giełdowe udowadniają, że głos miał rację, że przewidział serię wydarzeń w sposób wykraczający poza wszelkiego rodzaju sztuczki czy zbieg okoliczności. Było to coś, czego nie mógł uczynić człowiek siedzący na krześle na poddaszu w Wenecji, niezależnie od tego, czy był zdrow na umyśle, czy też nie. Zaliczenie jednego z testów brata Guazzo. Tego, który określiłby głos, który usłyszałem jako niepochozący od człowieka.

To dzieje się naprawdę.

Wstaję. Wrzucam puszkę po piwie do śmietnika, z którego próbuje wyskoczyć, ciągnąc za sobą strugę piany. Chodzę w jedną i w drugą stronę, myjąc w tym czasie ręce w łazienkowym zlewie i zerkając przez wizjer na nocną autostradę.

Nienazwany złożył swoją obietnicę.

Kiedy dostrzêdziesz liczby, bêdziesz miał czas tylko do ksiêżyca.

Księżyc posiada swój rytm, który wyznacza sposób mierzenia czasu. Rozpoczęciem cyklu jest nów, kiedy powierzchnia srebrnego globu jest najciemniejsza. Moment, w którym zaciemniona część ziemi jest całkowicie pozbawiona światła słonecznego. To dlatego księżyc odgrywał tak istotną rolę w wiedzy tajemnej. Był narzędziem dla biblijnych wróżbitów i egipskich magów służącym do przepowiadania przyszłości. I dla demonów. Dzięki obserwacji księżyca

można było przewidzieć czyjąc śmierć.

Przypominam sobie pewną metodę pochodzącą z licznych lektur, w której morawscy Żydzi umieszczali księżyc w nowiu między rozwidlającymi się gałęziami drzewa. Po pewnym czasie ukazywała im się twarz ukochanej osoby. Kiedy liście opadały z gałęzi, ich przeznaczeniem stawała się śmierć.

Wyglądało na to, że następny nów księżycy będzie i dla mnie najczarniejszą godziną. Chwilą, w której Tess znajdzie się na dobre poza moim zasięgiem.

Dziecko będzie należało do mnie.

Sięgam po telefon i otwieram w Internecie stronę pokazującą szczegółowy kalendarz księżycowy. Sprawdzam, kiedy przypada następny nów. Odczytuję dwukrotnie rezultat. Potem jeszcze raz. Powoli. Data — dokładna godzina, minuta i sekunda — wszystko to zapada mi głęboko w pamięci.

Jeśli nie znajdę jej pierwszy, moja córka umrze o 06:51:48, 3 maja.

Za sześć dni.

Znałem kiedyś pewnego profesora, który w jednej ze swoich wściekłych, zapewne spowodowanych nadmiernym spożyciem alkoholu, tyrad wyklócał się, że gdyby zapytać przeciętnego Amerykanina, dlaczego jego kraj wziął udział w ostatniej wojnie w Europie, i gdyby ten Amerykanin był całkowicie szczerzy, odpowiedź można by sprowadzić do czegoś w rodzaju: „Knajpy Denny's otwarte przez całą dobę w każdej mieścinie”. Wywołało to salwę śmiechu. Po części dlatego, że było prawdziwe.

I tym sposobem siedzę o 23:24 w Denny's w Rothschild w stanie Wisconsin. Mam przed sobą burgera o wdzięcznej nazwie Mac'N Cheese Big Daddy Patty Melt (ze specjalnego menu serowego) z krążkami cebuli. Wokół krąży szeroko uśmiechnięta kelnerka z dzbankiem kawy przyklejonym do dłoni. Otacza mnie czyste, jasno oświetlone miejsce, smażona na głębokim tłuszczu oaza przy czteropasmowej autostradzie. Pełnia wolności.

Ale ja nie czuję się wolny.

Jechałem przez cały dzień, oglądając zza szyby mustanga kolejne tablice z powitaniem i pożegnaniem dla stanów Ohio, Illinois i Indiana. Kręciłem gałką po całej skali, słuchając wszystkiego, co się dało — od audycji bredzących ewangelików po przeboje Lady Gagi, aby ostatecznie wyłączyć radio i oddać się długiej, nawiedzanej ciszy, w której czułem się wygłodniały i samotny. Denny's zapewnia balsam dla wszystkich tych odczuć.

— Dolać kawy? — pyta kelnerka z dzbankiem przechylonym już do połowy w pobliżu mojego kubka. Kofeina jest mi potrzebna tak samo, jak cios kijem baseballowym w łeb, ale się zgadzam. Odmowa byłaby niegrzeczna. W pewnym sensie nawet niepatriotyczna.

Mój telefon wibruje w kieszeni. Mysz przebudzona ze swojego snu w tkaninie.

— Rozmyślałam — mówi O'Brien od razu po moim przywitaniu.

— Ja też. Nie zawsze wychodzi to człowiekowi na dobre. Uwierz mi.

— Chciałabym coś zasugerować.

— Deser w Denny's?

— O czym ty mówisz?

— Nie słuchaj mnie.

— David, wydaje mi się, że tworzysz swoją własną mitologię.

Upijam łyk kawy. Smakuje jak płynna rdza.

— Tak?

— To oczywiście złudzenie. Jestem pewna, że doświadczasz jej jak coś bardzo realnego, ale to tylko złudzenie.

— A więc uznałaś, że mi odbiło.

— Uznałam, że przepełnia cię żal. I ten żal poprowadził twoją świadomość w określonym kierunku. W miejsce, w którym ból można w jakiś sposób znieść.

— Ahaaa.

— Jesteś profesorem od mitów, czy nie? Uczysz o tych sprawach, żyjesz nimi na co dzień i nimi oddychasz. Historia ludzkich wysiłków zmierzających do nadania jakiegoś sensu bólowi, stracie, tajemnicy. Oto gdzie jesteś. Oto co aktywnie tworzysz. Fikcję, która działa zgodnie z tradycją wcześniejszych fikcji.

— Wiesz co, O'Brien? Jestem zmęczony. Możesz przedstawić mi wersję dla przedszkolaków?

O'Brien wzdycha. Czekam na nią, gapiąc się przez okno przy stoliku. Parking jest zalany światłem jak w oczekiwaniu na sportowe wydarzenie meczu piłki nożnej, który zostanie rozegrany między wycofującymi pick-upami i furgonetkami. Mimo to dostrzegam też ciemne narożniki, do których nie dociera blask. W najdalej położonym miejscu stoi zaparkowany nieoznakowany policyjny radiowóz. Ciemny zarys głowy kierowcy jest ledwie widoczny na tle siedzenia. Funkcjonariusz musiał uciąć sobie drzemkę.

— Pamiętasz Cyncerona? — zaczyna O'Brien.

— Nie osobiście. Żył dwa tysiące lat przede mną.

— On też był ojcem.

— Tullii.

— Zgadza się. Tullia. Jego ukochana córka. Kiedy umarła, był zdruzgotany. Nie mógł pracować, nie mógł myśleć. Nawet Cezar i Brutus wysłali mu listy z kondolencjami. Nic nie pomogło. Przeczytał więc wszystko, co tylko mógł, na temat pokonywania żalu, lodowatej świadomości śmierci. Dorzucił do tego filozofię, teologię, pewnie również trochę czarnej magii. Na końcu jednak...

— „Mój smutek pokonuje każde ukojenie”.

— Punkt za poprawny cytat, profesorze. Żadne lektury i badania nie pomogły Cynceronowi. Nie istniało żadne zaklęcie, które sprowadziłoby Tullię z powrotem. Koniec opowieści.

— Tyle że to wcale nie był koniec opowieści.

— Nie, ponieważ tak rodzą się mity. W miejscu, w którym kończą się fakty i wchodzi w grę wyobraźnia zamaskowana pod postacią faktu.

— Zapalona lampa.

— W rzeczy samej. Ktoś w Rzymie odkopuje grób Tullii w piętnastym wieku i znajduje... lampę! Wciąż zapaloną po tylu stuleciach!

— Nieśmiertelna miłość Cyncerona.

— Niemożliwe, prawda? Dosłowny ogień nie mógłby płonąć tak długo. Ale symboliczny, owszem. Symbol jest wystarczająco potężny — wystarczająco przydatny dla wszystkich tych, którzy kiedykolwiek utracili kogoś ukochanego — do podtrzymania mitu. Może nawet do uwierzenia.

— Twierdzisz, że jestem Cyncerem. Tyle że w moim przypadku, zamiast zapalać wieczne płomienie, wymyślam złe duchy, które wysyłają mnie na pozbawione sensu poszukiwania.

— Nie o to chodzi. Chodzi o to, że jesteś ojcem. To wszystko, czego doświadczasz, jest naturalne. Nawet tajne znaki i omeny należy traktować jako naturalne.

— Nawet jeśli nie są realne?

— Nie są. Niemal z całą pewnością nie są.

— Niemal. Powiedziałaś: „Niemal z całą pewnością nie są”.

— Musiałam.

— Dlaczego?

— Bo chodzi o ciebie.

Śpiący gliniarz na parkingu w końcu się budzi. Unosi głowę i poprawia wsteczne lustro, żeby pozbyć się resztek snu. Nie obraca jeszcze jednak kluczyka w zapłonie. Nie wysiada z samochodu.

— Jest pewien problem z twoją analogią — mówię.

— Tak?

— Nie twierdzę, że znalazłem lampę palącą się od setek lat. To wszystko, co widziałem, widziałem na własne oczy. I nic z tego, mówiąc wprost, nie jest niemożliwe pod kątem naukowym.

— Może nie. Nie wiem. Nie powiedziałeś mi, co widziałeś. Ale popatrz, dokąd cię to zaprowadziło. Jedziesz przez kraj, podążając za znakami pozostawionymi przez... przez kogo? Tess? Kościół? Diabły? Anioły? I w jakim celu? Żeby wyrwać córkę z rąk śmierci?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale tak właśnie myślisz, prawda?

— Mniej więcej.

— I wcale nie twierdzę, że to jest złe. Twierdzę, że to jest w porządku. Ile razy czytałeś o Orfeuszu i Eurydyce? Dziesięć razy? Dwadzieścia? Może w okresie niepokoju twój mózg przywołuje tę starą historię i wpasowuje ją w twoje życie. To miałyby sens.

— Jestem w drodze do innego świata, tak?

— Tego nie powiedziałam. Ty to zrobiłeś. Żeby znaleźć tę najbliższą twojemu sercu. Odwieczne ludzkie pragnienie, żeby przekroczyć granice śmiertelności.

— Orfeusz miał lirę, która zauroczyła Hadesa. A co ja mam? Głowę pełną esejów.

— Masz swoją wiedzę. Znasz to terytorium, nawet jeśli jest całkowicie zmyślone.

— Jesteś mądra, O'Brien.

— A więc wrócisz do Nowego Jorku?

— Powiedziałem, że jesteś mądra, a nie, że masz rację.

W radiowozie stanowej policji zapala się światło. Rozjaśnia wystarczająco wnętrze, żebym mógł się przekonać, że się myliłem. Choć to jeden z tych znanych fordów crown victoria, których używa policja, ten nie należy do nich. A za kierownicą nie siedzi funkcjonariusz. To Barone. Tropiciciel. Uśmiecha się do mnie we wstecznym lusterku.

— Oddzwonię do ciebie — mówię. Wstaję i rzucając na blat pięćdziesiątkę.

— David? Co się dzieje?

— Orfeusz musi ruszyć w drogę.

Rozłączam się, wychodzę z lokalu i idę do samochodu. Słyszę po drodze, jak woła mnie kelnerka. To gest w środkowozachodnim stylu, który kojarzy mi się z ostrym rozkazem.

— Wszystkiego dobrego!

Ale nie jest dobrze.

Jadę przeraźliwie zmęczony nocą, zjeżdżając w losowo wybrane ulice, parkując na

poboczach z wyłączonymi światłami, żeby się upewnić, że nie jestem już śledzony.

To wydaje się przynosić efekty. Kiedy niebo na horyzoncie przyjmuje pierwsze barwy poranka, nie ma już śladu po Tropiciele. Pozwala mi to sprawdzić swoje położenie na mapie i wyznaczyć dalszą trasę do Dakoty Północnej. Postanawiam trzymać się drugorzędnych dróg i unikać tych międzystanowych. Rezygnuję ze snu i po prostu jadę dalej. Korzystam z resztek energii nocnych marków i sprawdzam, jak daleko mnie to doprowadzi.

Rzecz w tym, że ma to swoje skutki uboczne. Ziemiste poty. Niestrawność. Widzenie różnych rzeczy.

Na przykład człowieka gdzieś przed sobą. Dziewczynka z wystawionym kciukiem w uniwersalnym geście autostopowiczów. Tyle że ta dziewczynka to Tess.

Dociskam mocniej pedał gazu, żeby pozostawić tę wizję za sobą. Kiedy przejeżdżam, zmuszam się, żeby na nią nie spojrzeć, ponieważ wiem, że to nie może być ona, a jeśli to nie ona, to jest to pewnie coś paskudnego. Być może koszmarna maska przywdziana przez Nienazwanego, żeby zabawić się moim kosztem. Żeby wywołać ból.

Kiedy jednak ryzykuję spojrzenie we wsteczne lustro, ona wciąż tam jest. To nie Tess, lecz dziewczyna kilka lat od niej starsza. Sprawia wrażenie bardziej wystraszonej niż ja.

Zjeżdżam mustangiem na pobocze, a ona biegnie w moją stronę. Plecak z dziecięcym motywem Dora the Explorer obija się jej o biodro. Już to powinno mnie skłonić, żeby ruszyć dalej. Nawet jeśli dziewczyna nie ma związku z tym, co O'Brien uważa za moją zmyśloną mitologię, niewiele dobrego może wyniknąć z zabierania kogokolwiek z wiejskiej drogi w stanie Iowa. Łamię nowojorską regułę nieangażowania się w cokolwiek.

Kiedy w końcu dostrzegam wyraźniej dziewczynę w bocznym lusterku, jak przestaje biec i zaczyna iść, widzę, że jej twarz jest twarzą kogoś, kto zbyt długo przebywał sam. Kogoś, kto próbuje ucieczki. Z każdą sekundą coraz mniej przypomina Tess, a coraz bardziej ma więcej wspólnego ze mną.

Otwiera drzwi i wskakuje na siedzenie pasażera. Dopiero wówczas patrzy na mnie, ale nie na moją twarz, tylko na moje ręce. Ocenia, czy są zdolne do wyrządzenia krzywdy.

— Dokąd jedziesz? — pytam.

Patrzy na drogę przed nami.

— Prosto.

— To nie jest żadne miejsce.

— To w takim razie nie wiem, dokąd jadę.

— Masz jakieś kłopoty?

Po raz pierwszy spogląda mi w oczy.

— Niech mnie pan nie zabiera na policję.

— Nie zabiorę cię, jeśli tego nie chcesz. Muszę po prostu wiedzieć, czy ktoś cię skrzywdził.

Uśmiecha się, pokazując zestaw zaskakująco żółtych zębów.

— Nie w takim szpitalnym sensie.

Odwraca się, żeby spojrzeć przez tylną szybę, jakby ją również ktoś śledził. Wjeżdżam z powrotem na drogę. Odwracam głowę w jej stronę dopiero po dobrych dwóch kilometrach.

— Wygląda pan na tatę — zauważa.

— Przez te siwiejące włosy?

— Nie. Tak po prostu. — Po chwili dodaje: — Wygląda pan jak mój tata.

— To zabawne, bo ty przypominasz mi trochę moją córkę. Ale ona jest młodsza. Ile masz lat?

— Osiemnaście — odpowiada. Teraz, w ciasnej kabinie pasażerskiej mustanga, w ogóle nie wygląda już jak Tess.

— Mieszka z rodziną? — pytam.

Ale ona nie słucha. Zabiera mojego iPhone'a z samochodowego uchwytu na kubek, dotyka jego ekranu, przeskakuje od ikony do ikony, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała.

— To telefon — wyjaśniam. — Chcesz z kimś porozmawiać?

Zastanawia się przez chwilę.

— Tak.

— Śmiało. Znasz numer?

— Oni nie mają numeru.

— Nie ma zasięgu tam, gdzie mieszkają?

Zasysa powietrze przez zęby, co odbieram jako stłumioną wesołość. Dalej bawi się ekranem, porusza się po aplikacjach z rosnącą sprawnością, jakby uczyła się w miarę kontaktu z telefonem. Dzięki temu mogę niepostrzeżenie na nią zerkać. Spięte rudawe włosy, duże piegi, zabrudzona letnia sukienka w różowe grochy. Jak lalka. Przerośnięta Raggedy Anne¹, która ożyła na moich oczach. Choć czuję się

zawstydzony tą myślą, dziewczyna jest mówiącym, oddychającym fetyszem. Piegowata farmerka. Zabrudzona szmacianka. Brakuje w niej czegoś, co zostało zastąpione wyrazistymi erotycznymi szczegółami.

Zamyka okienko w telefonie i odwraca głowę. Zauważa, że na nią patrzę. Po raz pierwszy w jej oczach dostrzegam blask, kiedy nasze spojrzenia się spotykają. Czuję się przez to, jakbym został przyłapany na jakimś lubieżnym akcie. Na zaspokajaniu prywatnej perwersji. Ale jej oczy mówią, że wszystko jest w porządku. Moja tajemnica jest bezpieczna.

— Wierzy pan w Boga? — pyta.

Nowo narodzona. Może taka właśnie jest? Po prostu niegroźna fanatyczka Biblii, która szuka duchowej odnowy gdzieś po drodze. To wyjaśniałoby brzmienie jej głosu, przygaszone spojrzenia. Jej dziwny, lalkowy aspekt został wyuczony. Produkt uboczny wiary.

— Nie wiem, czy Bóg istnieje — odpowiadam. — Nigdy go nie widziałem.

Wpatruje się we mnie. Moja odpowiedź nie zbiła jej z tropu. Czeką, aż powiem coś więcej.

— Ale widziałem diabła. I zapewniam cię, on jest zdecydowanie prawdziwy.

Trawi przez chwilę to, co usłyszała, jakby znalazła się na końcu kiepskiego połączenia międzynarodowego, czekając na przybycie znaczenia. Kiedy w końcu je pojmuje, znów zasysa powietrze przez zęby.

Przenoszę spojrzenie na drogę. Koryguję samochód bardziej na lewo, ponieważ ściągnęło mustanga na przeciwny pas.

— I kogo on przypomina? — pyta.

Nikogo. Ciebie, niemal odpowiadam.

W pierwszej chwili, kiedy czuję ciepło na udach, myślę, że się zsiąkałem w spodnie. Nadmierne zmęczenie. Za dużo kawy. Niepowstrzymany strumień ciepła.

Jednak kiedy spoglądam w dół w oczekiwaniu, że ujrzę pociemniałe dżinsy, okazuje się, że spoczywa tam dłoń dziewczyny. Mam rozpięty rozporek. Jej dłoń jest w środku.

— Wierzysz tutaj — mówi, przyciskając palec wskazujący wolnej dłoni do mojej skroni. Jednak głos nie należy już do dziewczyny. To głos, który wydobył się z ust Tess na dachu hotelu Bauer. Jednocześnie żywy i pozbawiony życia.

— Teraz musisz uwierzyć tutaj — dodaje Nienazwany.

Kiedy to powiedział, zaciska dłoń.

Wyrывam gwałtownie jej dłoń, łapiąc za nadgarstek, czego efektem staje się niekontrolowany ruch kierownicą. Samochód zjeżdża na pobocze, po czym ostro wraca na jezdnię, przecinając oba pasy. Naciśnięcie hamulców obróciłoby nas dookoła, co przy tej prędkości — igła prędkościomierza wskazuje sto kilometrów na godzinę — oznaczałoby wyrzucenie na pola. Najlepszym rozwiązaniem jest powrót na swój pas i zwolnienie. Staram się to zrobić, puszczając rękę dziewczyny, żeby móc oprzeć obie dłonie na kierownicy i skompensować uciekający tył samochodu przez skręcenie kołami w przeciwnym kierunku.

Opanowuję samochód i zaczynam hamować, kiedy dziewczyna zaciska paznokcie na moich policzkach. To wywołuje poślizg.

Niebo.

Asfalt.

Księżyc za dnia.

Wirujące, migające widowisko.

Zatrzymujemy się na środku drogi. Jeśli cokolwiek wyjedzie zza wzniesienia przed nami, zmiecie nas, zanim zdąży zwolnić.

Ale dziewczyna drapie, skrzeczy i mamrocze niczym chore na wściekliznę zwierzę. Jak człowiek na krześle w Wenecji. Popycham ją na drzwi pasażera i czuję, jak uderza głową o ramę. Nic nie wskazuje na to, że poczuła ból. Znów rzuca się w moją stronę. Celuje w oczy.

Biorę raz za razem zamach pięścią — trafiam ją w szczękę, w żebra, w ucho. W momencie, kiedy zaczyna słabnąć, przechylam się nad jej nogami i otwieram drzwi.

Zaczynam się prostować, kiedy czuję ugryzienie.

Słyszę warkot i czuję, jak wbija zęby w skórę na moim karku. Nie jestem w stanie powiedzieć, czy to ja wrzasnąłem, czy ona. Przenikliwy ból sprawia, że czuję gwałtowny przypływ nowych sił. To wystarcza, by wypchnąć dziewczynę, która uderza pośladkami o jezdnię.

Szybko zajmuję pozycję za kierownicą. Dodaję gazu.

Ale dziewczyna jedzie ze mną.

W ciągu dwóch sekund, których potrzebowałem do ruszenia z miejsca, zdołała się podnieść i zacisnąć ręce wokół otwartego okna w drzwiach. Wlokę ją teraz wzdłuż samochodu na kołyszących się drzwiach. Ociera się o żwir na poboczu. Kiedy się przymykają, uderza ciałem w bok samochodu.

Mustang pokonuje wzniesienie.

Dziewczyna wyje.

Dociskam do końca pedału gazu.

— Proszę!

Nowy głos. Nie ten fałszywy, należący do Raggedy Anne, nie ten należący do Nienazwanego. Prawdziwy głos dziewczyny. Ten, który należał do niej, kiedy żyła. Jestem o tym przekonany. To jedno słowo znalazło szparę w murze śmierci. Poprosiła mnie o pomoc, której nie potrafiłem jej udzielić.

Kiedy spoglądam w bok, moje wrażenie tylko się potwierdza. Dziewczyna wciąż wisi uciepiona kołyszających się drzwi. Ale nie zwalniam. Bo jej już nie ma. Bo już należy do niego.

— Pomożesz mi?

Wie, że mogę jej pomóc. Dziewczyna, która wypłynęła na samą powierzchnię tylko po to, żeby znaleźć obcego, który tonie tak samo jak ona.

Jednocześnie jednak sięgam w jej stronę. Ona też wyciąga rękę. Puszcza lewą ręką ramę okna i przesuwają ją w stronę siedzenia pasażera, żeby choć na krótką chwilę dotknąć mojej dłoni. Skórę ma zimną jak mięso wyjęte z tylnej części lodówki.

Mimo to znów sięgam do siebie.

Powoduje to przeniesienie ciężaru jej ciała i drzwi znów otwierają się szeroko. Nogi ma zakrwawione od ciągnięcia ich po asfalcie niczym puszek po zupie przywiązanych do zderzaka samochodu nowożeńców. Odwraca głowę w moją stronę i zanim puszcza drzwi, widzę powracającą do jej oczu pustkę. Kimkolwiek była za życia, znów zanurza się w odmętach wody. Pozostała tylko ta ożywiona kukielka, skorupa z piegawatymi policzkami.

Chwilę później już jej nie ma.

Paznokcie drapiące o bok samochodu w poszukiwaniu uchwytu. Obrzydliwy łoskot, kiedy tylne koło mustanga przejeżdża po jej ciele.

Zatrzymuję się.

Wyskakuję z samochodu i biegnę na tyły. Klękam, żeby zajrzeć pod spód. Przeszukuję wzrokiem rowy po obu stronach szosy. Nigdzie nie widać dziewczyny.

Ocieram dłonią kark i dostrzegam na niej krew. I iPhone'a. Wciąż działa. Nadal trzyma w sobie te ostatnie minuty, kiedy znalazła aplikację dyktafonu i nacisnęła przycisk nagrywania.

Przewijam nagranie i włączam odtwarzanie.

— Wierzy pan w Boga?

Kimkolwiek była, naprawdę znalazła się w moim samochodzie. Nie była częścią mitomaństwa. Nie była przywidzeniem. Cała rozmowa została nagrana.

...I zapewniam cię, on jest zdecydowanie prawdziwy.

Wyłączam nagranie, żeby uniknąć usłyszenia jej wołania o pomoc. Ten dźwięk przeraża mnie jeszcze bardziej niż pusty głos Nienazwanego.

Przez myśl przebiega mi, żeby skasować nagranie. Chcę to zrobić bardziej niż cokolwiek innego.

Zamiast tego wprowadzam nazwę.

Nagranie nosi nazwę ANNE.

Zapisuję je.

1. Postać z amerykańskich bajek dla dzieci, szmaciana laleczka o rudych włosach (przyp. tłum.).

Zjeżdżam na pobocze, żeby złapać dwadzieścia minut snu. Prowadzę. Śpię. Prowadzę. Po południu mijam granicę stanu Dakota Północna, ledwie ją dostrzegając. Nie zauważam niczego nietypowego.

W Hankinson po gumowatym hamburgerze i całym dzbanku kawy czuję się względnie odświeżony. Jestem w Dakocie Północnej. I co dalej? Czekać na telegram? Chodzić od drzwi do drzwi, pokazując portfel ze zdjęciem pięcioletniej Tess i pytać, czy ktoś widział moją córkę? Wyobrażam sobie, jak by to wyglądało:

MIŁA STARSZA PANI

Och, to straszne. Zaginęła gdzieś tutaj?

MĘŻCZYŻNA

Nie, nie tutaj. Tak właściwie, to w Wenecji.

I nikt poza mną nie wierzy, że ona może żyć.

MIŁA STARSZA PANI

Rozumiem. A co się pańskim zdaniem z nią stało?

MĘŻCZYŻNA

Myślę, że zabrał ją demon.

MIŁA STARSZA PANI

Henry! Dzwon na policję!

EUP!

Drzwi siatkowe zamykają się i uderzają MĘŻCZYŻNĘ w nos.

Pociera go i odchodzi. W oddali słychać wycie SYREN.

Skoro przejechałem taki kawał drogi, decyduję się zwiedzić Hankinson. Nie trwa to długo. Kawiarnia Hot Cakes. Bar pod Złotym Bażantem. Lincoln State Bank. Kilka kościołów z białych desek, oddalonych nieco od chodników. Największą chlubą

miasteczka, sądząc po wymalowanym szyldzie, jest OKTOBERFEST... WE WRZEŚNIU! Poza tym ani śladu Tess czy Nienazwanego. Żadnych znaków.

Kiedy docieram do Biblioteki Publicznej w Hankinson — prowincjonalnie wyglądającego budynku z bloków z żużla z wąskimi oknami — wchodzę do środka z nadzieją wzięcia spraw we własne ręce. Jestem w końcu profesjonalnym badaczem. Powiniennem umieć znaleźć ukryte odniesienie. Znak ukryty w tekście. Ale w jakim tekście? Jediną księgą, z którą teraz pracuję, jest otaczający mnie świat. To materiał, którego interpretacja nigdy nie była moją silną stroną.

Kupuję kartę biblioteczną za półtora dolara i siadam przy jednym z terminali komputerowych. Uznaję, że mogę zacząć od miejsca, od którego zaczynają wszyscy moi leniwi studenci podczas nauki. Google.

„Dakota Północna” przynosi rezultaty w postaci standardowych odnośników do Wikipedii: populacja (672 591, czterdziesta siódma pozycja wśród stanów pod względem zagęszczenia), stolica (Bismarck), aktualni senatorowie (jeden demokratą i jeden republikanin), najwyższe wzniesienie (White Butte, co aż się prosi o zabawę w grę słów¹).

W dalszej części artykułu dostrzegam listę stanowych gazet. „Beulah Beacon”. „Farmers Press”. „McLean County Journal”. I jedna, dość interesująca: „Devils Lake Daily Journal”². Czy to tam powiniennem się udać w następnej kolejności? Nazwa pasuje, choć podpowiedź kojarzy mi się bardziej z zagranicą na nosie Nienazwanemu, którego charakter (o ile w ogóle można tu mówić o posiadaniu charakteru) wydaje się nieco bardziej subtelny, zadowolony z własnej przebiegłości. Nie, nie pojedę do Devils Lake. Nie zamierzam donikąd jechać, dopóki się nie dowiem, dlaczego w ogóle tutaj się znalazłem.

A może właśnie o to chodzi? Może nie mam się stąd ruszać, oddalać jeszcze bardziej, a właśnie przybyć?

W związku z tym zaczynam się zastanawiać, czy nie przybyłem do Dakoty Północnej po to, żeby poznać jakąś historię, a nie po to, aby rozwiązać kolejną zagadkę. Może tak jak Jezus, który przybył do Gerazy i napotkał człowieka opętanego przez legion demonów, tak ja udałem się do Santa Croce, żeby zobaczyć innego uczzonego przytroczonego do krzesła, teraz jestem tutaj, by doświadczyć kolejnego „zjawiska”. Kolejnych dowodów demonicznych wtargnięć do tego świata. Być może moją rolą — i jedynym sposobem odzyskania Tess — jest wcielenie się nie w pracownika uniwersytetu czy tłumacza, a kronikarza. Zbieracza antyewangelii. Dowodów.

Taką rolę odgrywali uczniowie, choć przyjęli ją dopiero po tym, jak dali wyraz swojej niezachwianej wiary w Mesjasza. A ja? Nie podążam ścieżką Syna Bożego, a plugawię ją w imieniu przeciwnej drużyny.

Ale dla Tess zrobię wszystko. Dla niej zobaczę wszystko, czego nigdy nie było nam dane zobaczyć.

Jest jednak jeden problem. Jeśli jestem tutaj w poszukiwaniu nowej „sprawy”, z pewnością nie trafię na żaden sensowny trop na rozświetlonych słońcem, zbyt szerokich ulicach Hankinson. Wskazówek związanych z demoniczną obecnością nie znajdę w otwartej przestrzeni. One zostały ukryte po inną postacią, zamaskowane w innej formie, jak Nienazwany, który odwiedził mnie jako dziewczyna w samochodzie, mężczyzna w kościele czy starszy gość w samolocie. To będzie wydarzenie, które owszem, da się racjonalnie wytłumaczyć, ale jednocześnie wskaże na coś niewłaściwego. Coś, jak historyjka znaleziona w sieci i przekazana wraz z innymi śmieciowymi informacjami na stronach internetowych. Błaha opowiadka, którą można znaleźć na ostatnich stronach małomiasteczkowej gazety. Coś, czego w Dakocie Północnej jest całkiem sporo.

Nowe wyszukiwanie. „Diabły z Dakoty Północnej”. Trafiam bezpośrednio na stronę z pornografią.

Nowa próba.

„Niewyjaśnione historie z Dakoty Północnej”.

„Tajemnica Dakoty Północnej”.

„Zaginieni z Dakoty Północnej”.

„Zjawisko z Dakoty Północnej”.

Po pewnym czasie zauważam, że regularnie powtarza się jeden krótki artykuł sprawiający wrażenie czegoś więcej niż tylko przytłaczająco typowy tekścik dla zaniedbanych dusz, bardziej smutny niż niepokojący.

Historia pojawiła się po raz pierwszy 26 kwietnia w wychodzącym w Linton „Emmons County Record”. Zaledwie trzy dni temu.

KOBIETA ZE STRASBURGA (77 LAT) PODEJRZANA W SPRAWIE ZAGINIĘCIA SIOSTRY BLIŹNIACZKI

Delia Reyes utrzymuje, że jej siostra Paula Reyes podążyła za „głosami”.

Autor: Elgin Galt

LINTON

Delia Reyes (77 lat), która przez całe swoje życie pracowała na niedużej farmie

pod Strasburgiem z siostrą bliźniaczką Paulą Reyes, została określona mianem „osoby wzbudzającej zainteresowanie” przez szeryfa prowadzącego śledztwo w sprawie ostatniego zniknięcia.

Delia Reyes skontaktowała się z policją przed sześcioma dniami, 20 kwietnia, aby zgłosić zaginięcie swojej siostry. Po złożeniu zeznań okazało się, że jej wersja zdarzeń wprawiła funkcjonariuszy w osłupienie.

„Delia oświadczyła, że Paula słyszała od pewnego czasu głosy dochodzące z piwnicy”, ujawnił redakcji „Record” szeryf Todd Gaines. „Głosy, które nakazywały jej zejść na dół i do nich dołączyć”.

Delia oznajmiła funkcjonariuszom, że sama nie słyszała tych głosów i zaczynała się obawiać o zdrowie psychiczne swojej siostry. W obawie przed nieszczęściem poprosiła Paulę, aby nie schodziła tam sama.

Jak się jednak okazało, pewnego wieczoru Paula nie zdołała się dłużej opierać. Zeznania Delii wskazują, że Paula otworzyła drzwi prowadzące do piwnicy i zeszła po schodach. Zanim Delia — kobieta dotknięta pewnymi ograniczeniami fizycznymi — zdołała sama zejść do piwnicy, Pauli już nie było.

„To był ostatni raz, kiedy ona lub ktokolwiek inny widział Paulę Reyes”, powiedział szeryf Gaines.

Za pozwoleniem pani Reyes oficerowie śledczy dokładnie przeszukali nieruchomości siostr na zewnątrz i wewnątrz, ale nie natrafili na żaden ślad kobiety.

Zapytany, czy cokolwiek może wskazywać na oszustwo, szeryf Gaines odpowiedział: „To przypadek zaginięcia z aspektem, który postrzegamy jako dość nietypowy, to wszystko”.

Pomimo licznych prób kontaktu pani Reyes odmówiła komentarzy na temat trwającego śledztwa.

Demencja u starszych osób nie jest w żadnym wypadku znakiem obecności demonów, choć głosy zapraszające do dołączenia w starej piwnicy gdzieś w Dakocie mogły okazać się interesujące. Jest to — przynajmniej w tym tygodniu — najlepsze, co ten czterdziesty siódmy pod kątem zaludnienia stan miał do zaoferowania w kwestii śladów pozostawionych przez Nieprzyjaciela.

Rozważam bezpośredni telefon do dziennikarza Elgina Galta, ale ostatecznie porzucam ten pomysł. W „Emmons County Record” nie muszą wiedzieć, że profesor z Nowego Jorku przybył na wezwanie ocalałej z siostr Reyes. Lepiej, żeby nikt niczego nie wiedział. Żadnych wcześniejszych telefonów czy próśb o kilka minut

czasu panny Delii.

I tak nie chcę uzyskać żadnych informacji. Nie tego oczekuje ode mnie Nienazwany. On chce, żebym był świadkiem. Żebym dokumentował. Żebym stworzył mroczną historię jego poczynań.

Księgę Ullmana.

1. White Butte wymawia się tak samo jak „white butt”, czyli „biały tyłek” (przyp. tłum.).

2. Dziennik Diabelskiego Jeziora (ang.) (przyp. tłum.).

Podróż z Hankinson do Linton jest tak doszczętnie wyprana z jakichkolwiek przydrożnych atrakcji, że sama w sobie stanowi swoistą wersję piekła. Nie ognistych, wypełnionych duszami jaskiń z obrazów Giotta, lecz miejsca udręki, w którym najsroźszą karą staje się nuda.

Mimo wszystko, kiedy skręcam na południe na autostradę numer 83 prowadzącą w stronę Linton, zaczynam odnosić coraz silniejsze wrażenie, że właśnie tam miałem się udać.

Odczuwam niepokój, którego sielskie krajobrazy z polami świeżo zasianego ziarna i długimi zagrodami farmerów nie są w stanie całkowicie zakamuflować. Można go porównać do dźwięku czy nuty o wysokiej częstotliwości, która nigdy całkowicie nie znika.

Początkowo biorę to za brzęczenie cykad, ale nawet kiedy zamykam wszystkie okna, odgłos wciąż wyraźnie słyhać. Gotów byłbym uznać to nawet za dzwonienie w uszach, gdyby nie fakt, że co pewien czas słyszałem w tym dźwięku coś jeszcze. Słowa. Ledwie słyszalny monolog bądź recytacja tuż powyżej skraju słyszalności. Syczący głos zwracający się do świata. A teraz, kiedy zbliżam się do farmy Reyesów, rozwijam w sobie niechcianą umiejętność rozpoznawania tego przekazu.



Kiedy docieram do Linton, szary pył opada na miasteczko. Skąpe światło podkreśla wiszące smętnie flagi przed połową miejscowych firm i wstęgi z napisem WSPIERAJ NASZYCH ŻOŁNIERZY rozciągnięte między pniami wiązów i kolumnami werand. Jest już zbyt późno, żeby rozpocząć poszukiwania panny Reyes. W pierwszej kolejności kupuję sobie pizzę hawajską z miejscowego lokalu Hot Spot Pizza, a potem wynajmuję pokój w Motelu u Dona na skraju miasta. Następnie gorący prysznic. Przeskakiwanie po kanałach. Widoki ofiar głodu i zmagania w kolejnym talent show. Łóżko.

Zasypiam tylko po to, by się gwałtownie przebudzić. Tak przynajmniej to odbieram, choć zegar na stoliczku nocnym wskazuje 3:12 nad ranem. Zparkingu za oknem przez opuszczone żaluzje przenika blade światło. Żadnego dźwięku. Nie ma żadnej widocznej przyczyny mojego przebudzenia.

W tej samej chwili w moich myślach pojawia się dźwięk. Jęk metalowej sprężyny. Uderzenia skóry o gumę. Podwórze, odgłosy z dzieciństwa. Ktoś podskakujący raz za razem na trampolinie. Pozbawiona większych emocji zabawa bez śmiechów czy okrzyków.

Wstaję i wyglądam przez okno, wiedząc doskonale, że niczego nie zobaczę. Dźwięk dobiega zza budynku motelu.

...Riik-TIK. Riik-TIK. Riik-TIK...

Ktoś nie zamierza przestać skakać. W łazience słyszę to jeszcze wyraźniej. Trampolina musi się znajdować gdzieś blisko okienka wentylacyjnego. Nylonowa zasłonka wybrzusza się i kurczy, jakby skakanie było odgłosem od dychającej nocy, przy akompaniamencie kurczących się i rozprężających zardzewiałych sprężyn.

Odsuwam zasłonkę nad okienkiem. Czuję powiew na twarzy. Okienko jest zbyt małe, żeby cokolwiek zobaczyć, nie przysuwając się do samej szyby. Żeby zobaczyć coś więcej niż tylko kawałek trawnika i nieużytków za płotem, muszę przycisnąć nos do szyby.

...Riik-TIK. Riik-TIK...

Zerkam w prawo.

Niczego tam nie ma.

Naciskam mocniej, aż szyba wypada z ramy. Moja głowa wyskakuje na zewnątrz,

a szyja dotyka parapetu.

...Riik-TIK...

Spojrzenie w lewo.

I wówczas ją dostrzegam.

Tess trzyma ręce nienaturalnie sztywno wyprostowane przy biodrach. Nogi zginają się tylko w kolanach, a elastyczna guma za każdym razem wysyła ją na tę samą wysokość. Widzę jej nagie stopy, płaskie niczym ścięte w tartaku drewno.

To jej ciało, choć nie ma nad nim żadnej kontroli. I jej twarz. Od podbródka w górę to moja córka, która patrzy na mnie z przerażeniem. Nie wie, skąd się tutaj wzięła i jak to przerwać. Nie spuszcza ze mnie wzroku, ponieważ jestem wszystkim, co zna. Wszystkim, co trzyma ją na tym świecie.

Otwiera usta. Nie wypowiada żadnego słowa. I tak je słyszę.

Tatusiu...

Próbuję precyzyjnie się przez okienko, ale rama jest zbyt mała, by mogły się przez nią przedostać moje ramiona. Wciągam głowę do środka i biegnę w stronę drzwi. Moje nagie stopy uderzają najpierw o beton na parkingu, a potem ślizgają się na wilgotnej od rosy trawie.

Nie przestaję biec, choć widzę już, że jej tam nie ma. Kładę dłonie na powierzchni trampoliny. Czuję nikły ślad jej ciepła.

Okrażam budynek, sprawdzając, czy nie ma jej gdzieś w pobliżu. Docieram do bagien za płotem i zanurzam się po pas w cuchnącej siarką mazi.

Oczywiście, że jej tu nie ma.

Oczywiście, że dalej jej szukam.

Przez następną godzinę krążę wokół ogrodzenia motelu. Nawołuję co kilka minut, aż jeden z gości otwiera drzwi i udziela mi porady, że jeśli się nie zamknę, to on już się o to postara. W pewnym momencie jej imię zmienia się w łyżę w moim gardle.

Pokryty błotem szalenciec krąży w nocy, wyjąc do półksiężyca.

Tej nocy nie można raczej zaliczyć do tych sprawiedliwie przespanych.

Rankiem jadę do centrum miasteczka na śniadanie w Harvest Restaurant & Grill. Parkuję samochód przed budynkiem. Przy drzwiach podchodzi do mnie proszący się o podrapanie, merdający ogonem kundel. Życzę mu dobrego dnia, na co odpowiada liźnięciem mojego nadgarstka.

— Popilnuj mi samochodu, dobrze? — Pies wydaje się rozumieć moje słowa.

Siada na krawężniku i odprowadza mnie wzrokiem, strzygąc uszami.

Zajmuję boks w pobliżu wejścia do kuchni, tyłem do drzwi wejściowych. To dlatego minutę później nie dostrzegam mężczyzny, który siada po przeciwnej stronie, kładąc na stół wczorajszy numer „The New York Timesa”.

— Pomyślałem, że przyniosę panu odrobinę domowej atmosfery — mówi Tropiciel.

Odwracam głowę. Nikt z obecnych w barze nie dostrzega niczego dziwnego w jego niespodziewanym pojawieniu się. Bo i dlaczego? Dwóch obcych, podróżujących razem, siadających wspólnie do śniadania. Jeśli o tym pomyśleć, to tak to mniej więcej wygląda.

— Znalazł mnie pan — rzucam.

— Tak naprawdę to nigdy pana nie zgubiłem.

— Gówno prawda.

— W porządku. Wykonałem w międzyczasie kilka telefonów, żeby nadążyć.

— Telefonów do kogo?

Kładzie palec wskazujący na wargach.

— Tajemnica handlowa.

Podchodzi kelnerka, żeby nalać nam obu kawy. Pyta, czy jesteśmy gotowi do złożenia zamówienia. Wskazuję specjal numer cztery: „Biesiadę Farmera”.

— Tost — odpowiada jej Tropiciel, oddając menu i nie spuszczać ze mnie oka.

Przebiega mi przez głowę myśl, że skoro ponownie mnie odnalazł, to naprawdę zamierza mnie zabić. Nie w tym barze. Nie w tym momencie. Ale z całą pewnością tutaj, w Linton. Być może to dziwne, ale przeraża mnie nie tyle moja nadchodząca śmierć, ile fakt, że stanie się to w Dakocie Północnej. Zawsze zakładałem, że pożegnanię ze swoim uczelnianym życiem w domowym łóżku, otumaniony środkami przeciwbólowymi i cytujący poetów. Dostanie kulki w Hicksville kojarzy mi się z historią innego człowieka. Ale przecież ja toczę już życie zupełnie innego człowieka.

— Hej, Dave — mówi. — Tutaj. Popatrz na mnie.

Czy powinienem zacząć uciekać? Wstać i zerwać się do biegu z nadzieją, że dotrę do mustanga szybciej, niż Tropiciel dopadnie swoją crown victoryę?

Przegrałbym. Mogę unikać tego człowieka przez dłuższy czas — udawało mi się to przecież, w innym wypadku nie byłoby mnie tutaj — ale on i tak mnie w końcu odnajdzie.

— Niczego panu nie dam — oświadczam.

— Nie szkodzi. Mój klient zmienił już instrukcje dla mnie.

Nie mogę dłużej patrzeć na zdjęcie myśliwego strzelającego do kaczki, które zawieszono nad lodówką z ciastkami. Przenoszę spojrzenie na niego. Wygląda niemal przyjaźnie.

— Jak to?

— Stał się pan... interesujący — wyjaśnia.

— Powinien mnie pan zobaczyć po kilku drinkach.

— Mój klient chciałby wiedzieć, dokąd pan jedzie.

— Nie jadę w żadne szczególne miejsce.

Sący kawę. Przelyka. Smak najwyraźniej przypomniał mu o wrzodach, z którymi się boryka, gdyż odstawia filiżankę tak gwałtownie, jakby dostrzegł w niej pająka.

— Pańskie instrukcje — mówię. — Wspomniał pan, że się zmieniły.

— Tymczasowo. Oczywiście naszym głównym celem pozostaje zdobycie dokumentu.

— O którym nawet pan jeszcze nie wspomniał.

— Wiemy, że nie wiezie go pan ze sobą. Wiemy, że zna pan miejsce jego ukrycia i że w końcu mi je pan ujawni. Ta chwila została jednak póki co zawieszona.

— Ile mam czasu?

— Myślę, że niewiele.

— Pański klient jest niecierpliwy.

— Obaj jesteśmy.

Przybywa „Biesiada Farmera”. Jajecznica z całym zestawem śniadaniowych wędlin — kielbasą owiniętą bekonem na szynce. Tropiciel zerka na mój talerz z wyraźną zazdrością.

— Chce pan trochę? — pytam.

— To jak klej dla pańskich tętnic — oznajmia.

— Pewnego dnia wszyscy umrzemy.

— Owszem, profesorze. Ale dokąd uda się pan... po tym dniu?

Odgryza kawałek tosta, rozsypując okruszki na blat.

— Co pan tutaj właściwie robi? — pytam. — Jeśli po prostu mnie pan śledzi, to proszę to robić dalej.

— Chcę nakreślić panu powagę sytuacji, ponieważ nie jestem do końca pewny, czy ją pan dostrzega.

— Dostrzegam.

— Naprawdę? To proszę mi powiedzieć. Za czym pan tutaj goni?

— To nie pańska sprawa.

— To osobiste. Rozumiem. Mój klient widział ludzi w podobnych sytuacjach. Ludzi, przed którymi otwarto drzwi. Drzwi z gatunku tych, które należy zamykać. Albo uciekać przed nimi. W większości przypadków tak robili. Ale niektórym wydawało się, że mogą przez nie przejść, rozejrzeć się, kupić pamiątkę w sklepiku i wrócić. Nigdy się to tak nie skończyło.

— Chwileczkę — przerywam, oceniając, czy zdołałbym chwycić go za kołnierz koszulki. — Czy pan wie, kto ją ma?

— Widzi pan? O to mi właśnie chodzi. Ściga pan coś, czego nie powinien ścigać.

— To porada pańskiego klienta?

— Nie, moja własna. Mój klient jest zainteresowany tylko tym, co pan posiada, oraz, jeśli to możliwe, poznaniem pańskiej wiedzy.

— A więc ta troska, którą mi pan okazuje... to wyłącznie pańska inicjatywa?

— Wykonuję to, za co mi płacą, profesorze. Jestem w stanie zrobić wszystko, do cholery. Ale jak już powiedziałem, jestem tylko ministrantem z Astorii.

Podnosi kolejny kawałek tosta, ale najwyraźniej jego żołądek nie jest w stanie więcej zdzierżyć.

— Spróbujmy zatem ponownie, Davidzie — mówi. — Co sprowadza pana do Linton?

— Sezon na polowanie.

— Polowanie na dzieciaka. Na Tess.

— Wie pan, gdzie ona jest?

— Szczerze powiedziawszy, nie chciałby pan tego wiedzieć.

— Co zatem pan wie?

— Że ona zniknęła, a pan uważa, że może to naprawić. Nic nietypowego z punktu widzenia mojego klienta. Choć muszę przyznać, że jest pan uważany za szczególny przypadek.

— Z powodu dokumentu.

— Ponieważ uważa pan, że ktokolwiek ma pańską córkę, jest teraz zainteresowany panem. To dlatego dysponuje pan tym dokumentem.

— Twierdzi pan, że mam go w konkretnym celu? Że to przeznaczenie?

— A pan twierdzi, że tylko dlatego, że jest pan taki sprytny?

Kelnerka zatrzymuje się przy stole i dolewa nam kawy. Robi to kilka sekund dłużej, niż powinna. Dobrze się przygląda. Nie najemnikowi, ale mnie, spoconemu z drżącymi dłońmi.

— Pan i ja mamy być może odmienne cele — kontynuuje Tropiciele, kiedy kelnerka odchodzi. — Jeśli jednak rozłoży pan to na części składowe, jeśli odrzuci pan kilka spraw, to okaże się, że jesteśmy po tej samej stronie barykady.

— Ale pan nie może sprowadzić mojej córki.

— A pan sądzi, że on może?

— On?

— On. Ona. To. Oni. Zawsze mówiłem o diable w męskiej formie. A pan nie?

— A co diabeł ma z tym wspólnego?

— Wszystko. To przez niego jeździ pan po tych równinach. Przez niego posiada pan dokument, który chcę zdobyć. W końcu przez niego nie ma już przy panu Tess.

To, co mówi, w jednej chwili dociera do mnie i przyprawia o takie zawroty głowy, że muszę się chwycić krawędzi blatu, żeby się utrzymać na kanapie. Za dużo mówię. Za dużo też słucham kogoś innego. A Nienazwany tego nie lubi.

— On...

— Proszę mówić, profesorze.

— On ma moją córkę.

— Może — wzrusza ramionami. — Jeśli tak jest, nigdy jej pan nie odzyska.

— Muszę z nim porozmawiać.

— On jest kłamcą, Davidzie. Diabeł kłamie. On czegoś od pana chce, a teraz, cokolwiek pan robi, już połowicznie mu to pan oddał.

— To pan chce czegoś ode mnie.

— Tak. Ale może mogę panu pomóc.

— Może pan sprowadzić moją córkę?

— Nie.

— Zatem nie może mi pan pomóc.

Wstaję. Z każdym centymetrem odległości, która rośnie między mną a Tropicielem, powraca do mnie poczucie równowagi. Co on zamierza? Zatrzymać mnie tutaj w porannym zamęcie w Harvest Restaurant & Grill?

Dokładnie to robi.

Kiedy otwieram drzwi, zaciska dłoń na moim ramieniu. Odwraca mnie w swoją stronę. Jego usta niemal dotykają mojego ucha.

— Dziś rano byłem dżentelmenem — oznajmia, wbijając palce między mięśnie mojego ramienia. Boleśnie je wykręca. — Ale kiedy nadejdzie pora, to się z całą pewnością zmieni. Rozumiemy się?

Puszcza mnie na moment przed tym, kiedy chcę jęknąć z bólu. Odpycha mnie na bok i wychodzi pierwszy.



Docieram do mustanga z pochyloną głową, dlatego ledwo zauważam psa, dostrzegam go dopiero w chwili, kiedy wyjmuję kluczyki i otwieram drzwi od strony kierowcy. Jego ciało leży na masce. Gęste strużki krwi spływają po reflektorach. Zwierzę ma otwarte oczy, a uszy wciąż sterczą uważnie.

Jestem w stanie zrobić wszystko, do cholery.

Wsuwam ręce pod zwłoki psa i zdejmuję go na chodnik. Jestem cały przesiąknięty posoką. Krew działa jak gorąca kąpiel obmywająca policzki i kark. Przez chwilę się zastanawiam, czy nie włożyć psa do bagażnika. Albo mógłbym pojechać do sklepu ogrodniczego, kupić łopatę i zakopać go gdzieś. Ostatecznie zostawiam go tam, gdzie go położyłem. Leży przytulony do krawężnika i patrzy niewidzącym wzrokiem na słońce nad prerią.

Ile mam czasu?

Myszę, że niewiele.

Kiedy siadam za kierownicą, również patrzę w stronę słońca.

Goreje.

Wracam do motelu, siadam na skraju łóżka i zastanawiam się, co ja tutaj, do diabła, robię. Nie, to nie tak. Wiem, co tutaj robię, nie wiem tylko, jak powinienem to robić. Jeśli można w ogóle wziąć pod uwagę możliwość, że ścigam prawdziwego demona po amerykańskich równinach, to jak w ogóle mogę sądzić, że zdołam go pokonać? Nie mam przy sobie wody święconej, krucyfiksu czy zło tych sztyletów z pieczęcią Rzymu. Jestem nauczycielem z wygasłą kartą wstępu do siłowni. Żaden ze mnie Archanioł Michał, który z okrzykiem bojowym pikuje w dół z wysokiego Nieba.

A jednak Tropiciel miał rację. Demon, którego ścigam, wydaje się mną interesować. Zadał sobie wiele trudu, żeby przyjąć ludzką postać tylko po to, żeby zamienić ze mną kilka słów. Ostatnim razem stał się chwytającą mnie za krocze autostopowiczką. W poemacie Milтона można znaleźć ostrzeżenie związane z dokładnie czymś takim:

Bo płeć swą według woli duchy

Mogą kształtować lub mieć obie naraz.

A jaki przekaz pozostawiła mi Raggedy Anne? Że wciąż jeszcze muszę bardziej wierzyć. Nie tylko głową, ale również całym ciałem.

A Słowo ciałem się stało i zamieszkało między nami...

Słowo Ewangelii opowiada historię Boga i Syna. Jednak opowiada również o pokusie, grzechu, przeszkodach, demonach. A jeśli nie jest to tylko zwyczajna aluzja, ale dosłowna historia, opowieść o aktorach czyniących różne rzeczy, zarówno dawno temu, jak i w teraźniejszości? Z pewnością teraz, po tym, co widziałem, byłbym zmuszony zaakceptować taką możliwość. Wystarczy wyobrazić sobie, że wszystkie słowa i historie, które studiowałem, są materialne, obecne w świecie. I nie są opowiastkami.

Teraz musisz uwierzyć tutaj.

Przeznaczenie. Czynniki determinujący postacie, koniec, do którego zmierzają. Uczę o nim, interpretując stare dzieła. Przypuszczałem, że to już nie dotyczy współczesnej wizji świata. A jeśli to współczesne założenie jest niewłaściwe? A jeśli całe to polowanie na demona było moim przeznaczeniem już od czasów, kiedy osiągnięcia naukowe wyniosły mnie z tego turkusowego świata, z którego przybyłem, i zapewniły mi swobodę tropienia życia, które do tej pory było tylko częścią mej wyobraźni?

Nie ma wątpliwości, że kiedy poszedłem na uniwersytet, nie oszołomiła mnie obfitość bogatych klik i interesujących debiutantów, ale obfitość wyborów. Moim celem była literatura. Wiedziałem o tym. Ale którym z jej wielu tuneli postanowiłem się przejść? Miałem krótkie flirty z Dickensem, Jamesem czy romantykami. Potem, ku mojemu ateistycznemu zdumieniu, w moich badaniach zagościła Biblia, a krótko po niej Milton. Jego białe wiersze wydawały się bronić tego, czego obronić się nie da. Poemat, po którego pierwszym przeczytaniu płakałem, kiedy rozpoznałem w sobie złoczyńcę, który odrzucił przeszłość i znalazł drogę ku ciemności. Osamotniony, użył wszystkich sił umysłu, żeby opowiedzieć sobie drogę wyrwania się z cierpienia.

Że z pola trzeba było zejść? Nie wszystko

Jeszcze stracone

Pamiętam absolwenckie noce w starej bibliotece Uris w Cornell, kiedy czytałem te wersety i stwierdziłem: „To jest to”. Zabrzmiało to jak okrzyk bojowy.

Dostrzegłem towarzysza w outsiderze, który szukał zwycięstwa nie przez optymizm, lecz przez odrzucenie. Zdecydowałem, że poświęcę się zbadaniu przypadku postaci szatana, tak samo jak poświęciłem się zbadaniu swojego własnego przypadku. Równie upadłego. Równie samotnego.

Choć nigdy się do tego nikomu nie przyznałem, czasami wieczorami w bibliotece widziałem, że ktoś mi towarzyszy. Obecność ta zdawała się zachęcać mnie do jeszcze głębszego zaangażowania wybranego kierunku studiów. Tak przynajmniej interpretowałem wspomnienia związane ze śmiercią mojego brata, Lawrence'a. Kapał wodą na podłogę, kiedy siedział na skraju mojego biurka i kołysał nogami albo znikał za rogiem regału z książkami, pozostawiając za sobą kałużę zielonkawej wody. Jednak to, co początkowo brałem za zachętę, w rzeczywistości okazało się ostrzeżeniem. Może Lawrence ukazywał mi się po to, by pokazać, że umarli — zarówno ci z rzeczywistego życia, jak i stworzeni w książkach — nie są nigdy tak martwi, jak chcielibyśmy w to wierzyć.

Jeśli zatem ta podróż została już zapisana w moim przeznaczeniu, to jaką rolę w niej odgrywam? Zawsze postrzegałem siebie jako kogoś stojącego z boku, niegroźnego eksperta od historii kultury, tłumacza zapomnianego języka. Ale może Chuda była zdecydowanie bliżej prawdy, jeśli chodzi o nazwanie mojego prawdziwego powołania? *Demonolog*. Zbliżenie się do Tess będzie wymagało zastosowania badań mojego życia w sposób praktyczny, czego nigdy wcześniej nie rozważałem. Może będę musiał poważnie podejść do tematu mitologii zła.

Pierwszym krokiem w takiej grze jest określenie, z którą wersją demonologii mam do czynienia. Stary Testament czy Nowy? Żydowski *shedim* z Talmudu czy demony Platona (duchy pośredniczące, ani boskie, ani śmiertelne, ale coś pomiędzy)? Kiedy teraz o tym myślę, to moim zdaniem Platon zdefiniował *daimona* jako „wiedzę”. Demoniczna moc nie pochodzi od zła, ale od znajomości rzeczy.

W Starym Testamencie szatany (niemal zawsze występujące w liczbie mnogiej) są strażnikami na ziemi, sprawdzającymi wiarę ludzi, którzy uważali się za oddanych w służbie Boga. Nawet w Nowym Testamencie sam szatan jest jednym z twórców Boga, aniołem, który się zagubił. Dlaczego? Z powodu nadużywania wiedzy. Nie ciemność, ale inteligencja stała się materią, z której został uformowany Antychryst. Z wiedzy uprzedniej.

To trochę tak, jakby znać wyniki giełdowe na tydzień przed ich opublikowaniem.

Mój demon najwyraźniej chciał w ten sposób zademonstrować swoją moc, zarówno swój intelekt, jak i umiejętność opętania. Kradzieży.

To.

On. Ona.

Nienazwany.

Przez cały czas, podczas każdego ze spotkań, od Chudej po Anne, istota ta nie chciała podać swego imienia. To kolejna drwina ze mnie, ale również jedna z jej słabości. Zgodnie z oficjalnym rytuałem egzorcyzmu opisanym przez Kościół katolicki, użycie imienia demona przeciwko niemu jest główną metodą podważenia jego potęgi.

Muszę poznać tożsamość tego demona. Wówczas dowiem się, czego chce.

I znajdę Tess.

Gdybym podszedł do tego pytania, korzystając z całej biblioteki możliwości, wrzucając do jednego worka każdą demoniczną postać z każdej wiary czy ludowej tradycji, nie byłbym w stanie wskazać palcem tej podejrzanej. Ale mój demon mnie wybrał. Mnie, miltonistę. Jego liczne cytaty z *Raju utraconego* nie mogły być dziełem przypadku. To wersja demonicznego świata, przez który chce być widziany.

A to doprowadziłoby nas do Pandemonium. Sali obrad, w której Milton opisał szatana gromadzącego swoich apostołów w celu omówienia najlepszych sposobów na osłabienie władzy Boga.

Moloch

Chemos

Baalim

Ashtaroth

Thammuz

Astoreth

Dagon

Rimmon

Osiris

Isis

Orus

Belial

Mój Nienazwany jest pośród nich, a ja mam tylko trzy dni na to, żeby go wskazać.

Samego szatana można wyeliminować, jeśli wierzyć głosowi, który przemawiał przez Marca Ianno. Prawdę mówiąc, już sam fakt, że Nienazwany zaaranżował nasze

poznanie, swego rodzaju fanfarę przed swoim ujawnieniem, mówił coś na temat jego charakteru. Duma. Pycha. Zamiłowanie do robienia z siebie widowiska. A wykorzystanie Milтона zapewnia coś więcej niż tylko podpowiedzi. Pokazuje, że ten byt postrzega siebie również jako uczonego. Pokrewieństwo — a zarazem konkurencja — ze mną.

Będę musiał odkryć imię Nienazwanego, odczytując jego osobowość. Milton scharakteryzował każdego członka Rady Stygijskiej, rozróżniając ich, a zarazem „uczłowieczając”.

Tym zatem się stanę. Osobą profilującą demony.

Odnalezienie farmy Reyesów okazuje się równie proste jak otwarcie książki telefonicznej w pokoju motelowym i odnalezienie adresu na mapie mojego iPhone'a. To niedaleko. Zaledwie dziesięć kilometrów od miejsca, w którym aktualnie siedzę. Jeśli teraz wyruszę, dotrę tam jeszcze przed lunchem.

Oczywiście nadal pozostaje problem z Tropicielem. Jeśli pojadę prosto na farmę Reyesów, mając go na ogonie, nie tylko naprowadzę go na ślad tajemnicy sióstr bliźniaczek, ale również mogę na tyle sprowokować jego klienta, że ten w końcu każe mnie zlikwidować. Muszę się dowiedzieć, czy do Linton dostałem się słusznie czy niesłusznie, ale bez jego udziału.

Niezdecydowany krążę, aż w końcu wyglądam przez okno i dostrzegam należącą do Tropicieła crown victorię zaparkowaną w odległości kilku metrów od mustanga. Wygląda na to, że on również jest tutaj gościem. I nie przeszkadza mu, że o tym wiem.

Ze świadomością, że każdy mój ruch jest bacznie obserwowany, udaję się do recepcji motelu, gdzie proszę o pożyczanie śrubokręta i kubałka do lodu, który napełniam wodą. Ruszam w kierunku pokoju, sprawiając wrażenie faceta gotowego do wrzucenia kilku kostek lodu do napoju, po czym zatrzymuję się przy samochodzie Tropicie la. Za pomocą śrubokręta podważam zamkniętą pokrywę wlewu paliwa i odkręcam zatyczkę. Wlewam do zbiornika całą zawartość kubałka.

I zrywam się do biegu.

Siedzę już za kierownicą mustanga i wycofuję, kiedy Tropicieł wychodzi ze swojego pokoju — z początku niespiesznie, ale po chwili dostrzega leżącą na ziemi zatyczkę od wlewu. Dostrzegam w jego spojrzeniu wściekłość.

To spojrzenie mówi mi, że wszystko teraz się zmieni. Koniec z pogrózkami w postaci martwego psa, w ogóle koniec z ostrzeżeniami. Kiedy otrzyma rozkaz, nie tylko się mną zajmie, ale robi to z największą przyjemnością.

Nie mam czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ biegnie w moją stronę. Wyciąga przed siebie ręce, jakby miał zamiar przebić się nimi przez szybę.

Wciskam pedał gazu i zostawiam go za sobą. Celowo skręcam w niewłaściwym

kierunku, żeby po chwili okrążyć posesję i skierować się na południe miasta niezauważony. Zdobycie nowego wozu nie zabierze mu dużo czasu.

Ale mój już jest w drodze. Już się oddalam.

Wyjeżdżam z Linton na południe, docieram do położonej na skrzyżowaniu tras miejsciny o nazwie Strasburg, po czym odbijam kilka kilometrów na zachód w kierunku farmy Reyesów. Okoliczne uprawy nie robią dużego wrażenia — pola otaczające żwirową drogę dojazdową zostały zaorane, ale nie obsiano ich, przez co z ziemi sterczą tylko pojedyncze chwasty. Wszystko to sprawia, że farma Reyesów wyróżnia się jeszcze bardziej. Biała zabawka z deseczek na niekończącym się horyzoncie.

Ten sam dom — ten sam horyzont — który Tess narysowała w swoim dzienniku.

Na pierwszym planie stoi samotne drzewo z opartymi o nie grabiami, których drewniany uchwyt rozszpecił się na skutek zbyt długiego wystawienia na słońce. Pod najwyższym okapem dostrzegam przyklejone do drewna szare gniazdo os z czarną dziurą w dole, przy której kłębią się w jakiejś furii owady. Ziemię gęsto porastają chwasty, przy samej ścieżce ostre niczym drut kolczasty. Wyglądało to tak, jakby przed kilkoma laty nagle wstrzymano wszelkie prace na tej farmie, która zaczynała zmieniać się w coś innego, przyjmować postać nieokreślonych chaszczy.

I ja. Docieram do werandy z zeszytniałą od niepokoju twarzą.

Tess już to wszystko widziała. Wiedziała, że tutaj przyjadę.

Biedny TATUŚ.

Drzwi wejściowe są lekko uchylone. Policja? Sąsiad, który przyniósł koszyk z jajami? Z niejasnej przyczyny nie biorę pod uwagę, w jaki sposób powinienem przekonać do rozmowy Delię Reyes. Pukam w ramę siatkowych drzwi i rozpoczynam planowanie uprzejmości. Im dłużej sterczę na zewnątrz, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że uprzedził mnie ktoś inny.

Już mam zapukać ponownie, kiedy wewnętrzne drzwi się otwierają i przez zewnętrzne siatkowe odrzwia dostrzegam żylastą kobietę ubraną w strój złożony z warstw starych swetrów i dżinsową spódnicę do kostek. Długie włosy ma ukryte w elastycznej siatce, z której wystają na zewnątrz pojedyncze końcówki, przez co całość kojarzy się z miotłą. Patrzy na mnie brązowymi, roziskrzonymi humorem oczami.

— Pani Reyes?

— Tak?

— Nazywam się David Ullman. Nie jestem z policji i nie pracuję dla żadnej z gazet.

— Miło mi to słyszeć.

— Przyjechałem tutaj, żeby z panią porozmawiać.

— Chyba właśnie pan to robi?

— Przejdę zatem do rzeczy. Jak rozumiem, w ciągu kilku ostatnich dni w tym domu wydarzyło się coś nietypowego.

— Myślę, że tak to można ująć.

— Coś podobnego przydarzyło się mnie. Zastanawiałem się, czy mógłbym zadać pani kilka pytań. Być może mogłaby mi pani dać pewne odpowiedzi.

— Panu też ktoś zaginął?

— Tak.

— Ktoś bliski.

— Moja córka.

— Mój Boże.

— Dlatego właśnie przebyłem długą drogę i zjawiłem się u pani bez zapowiedzi.

Kobieta otwiera siatkowe odrzwia.

— Proszę wejść do środka — zaprasza.

Kuchnia jest przestronna i panuje w niej miły chłód. Na środku stoi ciężki stół, jak u rzeźnika, służący najwyraźniej do przyrządzania posiłków i do ich spożywania. W narożniku posapuje i powarkuje wielka, stara lodówka. Dostrzegam dwa ustawione obok siebie, emaliowane zlewy. Stojąca na parapecie zielistka robi wszystko, co w jej mocy, żeby zablokować wpadające do środka światło. Cały wystrój składa się na czystą, nadającą się na obiekt muzealny, kuchnię gdzieś w starej dakockiej farmie. Krzepiące miejsce, gdyby nie te turkusowe ściany. Kolor melancholii. I rozpaczy.

Kiedy stoję przy stole, kobieta podchodzi do krzesła, które zajmowała, zanim zapukałem. Tak przynajmniej zakładam, biorąc pod uwagę stojący w pobliżu samotny kubek z kawą. Kiedy jednak zerkam do środka, okazuje się on nie tylko pusty, ale i czysty, jakby zdjęto go z półki niczym rekwizyt.

— Paula Reyes — przedstawia się, wyciągając dłoń. Dopiero po chwili dociera do mnie znaczenie tego imienia.

— Paula? Sądziłem, że pani zaginęła.

— Bo tak było. Ale już się odnalazłam.

— Co się pani przydarzyło?

Przesuwa palcem po krawędzi kubka.

— Tak do końca to nie wiem. Czy to nie dziwne? — pyta i odpowiada sobie krótkim wybuchem śmiechu. — Pewnie uderzyłam się w głowę albo coś w tym rodzaju. Wpadka starej kobieciny! Pamiętam jedynie tyle, że przeszłam dziś rano przez te siatkowe drzwi. Delia siedziała tutaj na krześle i piła kawę z tego kubka. Uściskałyśmy się, a Delia przygotowała mi jajka, jakby nic się nie wydarzyło.

— To kubek Delii?

— Yhm.

— Jest pusty.

— Opróżniła go.

— Ale wygląda na nieużywany.

Spojrzała na dno kubka, a potem na mnie.

— Faktycznie — przyznała.

— Dobrze się pani czuje?

Wydawała się nie słyszeć pytania.

— Ma pan siostrę, panie Ullman? — pyta.

— Nie. Ale miałem brata, kiedy byłem dzieckiem.

— To zapewne wie pan, że taki krewny pozostaje w sercu. Nie da się zeszkrobać tej plamy, prawda? — Potrząsa głową. — Krew płynie głęboko.

Kiedy wspomina o krwi, po raz pierwszy dostrzegam plamki na zewnętrznym swetrze kobiety, blezerze o wyciągniętych kieszeniach. Drobną rozbryzg wokolicach talii i okruchy ziemi z pola. Smugi tu i ówdzie na ubraniu oraz brud pod paznokciami.

— Co to jest?

Spogląda w dół. Przeciera krew i ziemię grzbietem dłoni.

— Mówiąc całkiem szczerze, nie mam pojęcia, skąd się to tutaj wzięło — odpowiada, a w jej głosie słyszę ledwie wyczuwalną nutę niepewności. — Ale kiedy pracuje się na farmie, człowiek przestaje się zastanawiać, skąd pojawia się na nim brud i inne rzeczy.

— To miejsce raczej nie sprawia wrażenia, jakby ktoś tutaj ostatnio pracował.

Podnosi wzrok, a z jej oczu natychmiast znika całe ciepło.

— Uważa pan, że jesteśmy z siostrą leniwe?

— Tak to jakoś wyszło. Proszę mi wybaczyć.

— Nie jestem w nastroju do wybaczenia, panie Ullman. Chce pan tego? To proszę uklęknąć.

Nie wiem, czy dosłownie miała to na myśli czy też nie. Coś w jej uśmiechu daje do zrozumienia, że ostatnie słowa nie były żartem, lecz poleceniem. Nie mam wyboru, muszę udać, że nie dosłyszałem.

— Te głosy, które pani słyszała — mówię. — Te, które wzywały panią do zejścia do piwnicy.

— Tak?

— Co one mówiły?

Zastanawia się przez chwilę. Marszczy przy tym czoło tak intensywnie, jakbym pytał ją o nazwisko chłopca, który siedział z nią w przedszkolnej ławce.

— To zabawne — odpowiada w końcu — ale pomimo że wiem, iż były to słowa, nie potrafię sobie ich przypomnieć. To coś bliższego odczuciu, rozumie pan? Dźwięk, który wywołuje w człowieku odczucie.

Mój szum w uszach podczas jazdy do Linton.

Dźwięk, który wywołał we mnie uczucie.

— Może go pani opisać?

— To coś okropnego. Można przez niego zwymiotować albo wbić sobie paznokiec w grzbiet własnej dłoni...

— Bo był bolesny?

— Bo otworzył mnie od środka na zewnątrz. Sprawił, że rzeczy stały się tak wyraźne, jakby oświetlono je czystą ciemnością, a nie światłem. Ciemnością, która jest lepiej widoczna niż światło.

Jednak nie pada blask z owych płomieni,

Lecz raczej ciemność widoma, służąca

Tylko odkryciu żalonych widoków.

— To pytanie może zabrzmieć dziwnie — mówię. — Ale czy słyszała pani kiedykolwiek o Johnie Miltonie? O *Raju utraconym*?

— Niestety marna ze mnie czytelniczka. Oczywiście nie dotyczy to Biblii. Za dużo codziennych obowiązków.

— Oczywiście. Czy mógłbym wrócić do tego odczucia, o którym pani wspomniała? Co pani zobaczyła w tej widzialnej ciemności?

— Zobaczyłam, czym jest prawdziwa wolność. Żadnych zasad, żadnego wstydu

czy miłości, która powstrzymuje człowieka. Ta wolność jest jak zimny wiatr nad polami. To tak, jakby być martwym. Jakby być niczym. — Kiwa głową. — Tak, opisałam to chyba w najlepszy sposób. Wolność polegająca na byciu absolutnie niczym.

Wiem coś na ten temat. To uczucie, które mi towarzyszyło przez cały czas po drodze z Santa Croce 3627 do hotelu Bauer. Choroba, która zainfekowała Tess, która zmusiła ją do upadku. *To tak, jakby być martwym. Ale gorzej.* Nienaturalna śmierć, coś od niej bardziej ostatecznego. *Jakby być niczym.*

— Gdzie jest teraz Delia, Paulo?

— Zeszła do piwnicy tuż przed pańskim przybyciem.

— Do piwnicy?

— Powiedziała, że musi przetrwać kilka spraw. Teraz, kiedy już wróciłam do domu!

— Miałyby pani coś przeciwko, gdybym zszedł tam i zamienił z nią kilka słów?

— Ależ proszę bardzo. Ale ja panu nie potowarzyszę.

— Dlaczego nie?

— Bo się boję. — Patrzy na mnie tak, jakbym był tępy. — A pan nie?

Nie odpowiadam na to pytanie. Oddalam się od stołu i podchodzę do zamkniętych drzwi. W jakiś sposób jestem pewny, że nie prowadzą one do szafy czy spiżarni ani na piętro, ale właśnie do tej wielkiej dziury pod domem.

Paula obserwuje, jak chwytam i naciskam klamkę. Czuję jej spojrzenie na plecach, kiedy staję u szczytu schodów. Kobieta przesuwając palcem po uszku kubka tak szybko, że ceramika wydaje z siebie ostrzegawczy dźwięk.

Pstryknięcie przełącznika powoduje zapalenie się dwóch żarówek na dole. Nie widzę ich z góry. Dostrzegam tylko dwa żółte pola światła, które rzucają na betonową podłogę. Kiedy docieram do połowy schodów, ta po lewej gaśnie. Nie towarzyszy temu pyknięcie, które słychać zwykle w momencie przepalania się żarówki, lecz trzaski, jakby ktoś osadził ją zbyt luźno w oprawce. Mógłbym przejść przez mrok i naprawić ją jednym obrotem. Mimo wszystko jest to mniej przyjemna perspektywa niż kierowanie się ku pozostałemu kręgowi ciepła po prawej stronie.

Kiedy docieram na sam dół, w świetle dostrzegam kilka szczegółów. Stoły warsztatowe oparte o ściany, zagracone narzędziami, nożycami i słoikami wypełnionymi nakrętkami i śrubkami. Stare puszki z farbą ustawione w chwiejne stopy. Ściśnięte w kącie papierowe torby ze spodami poczerniałymi od wolno

skraplającej się zawartości.

To te torby są źródłem zapachu. Zdecydowanie organiczny odór gnicia, wszechogarniający i silny. Łaskoczący w gardło smród przypalonego cukru.

Ani śladu Delii. Być może znalazła się w mroku po lewej stronie. Ale nie dostrzegłbym jej, nawet gdyby siedziała na podłodze i robiła skarpety na drutach. Dopiero w tym momencie dociera do mnie, że skoro to ja przestawiłem przełącznik światła, kobieta musiała tu przebywać w całkowitych ciemnościach. O ile w ogóle tutaj jest.

Co ja sobie myślałem, ufając starej, ubrudzonej krwią i ziemią kobiecie, która właśnie wróciła po dziesięciodniowej nieobecności, podczas której nikt nie miał pojęcia, gdzie przebywała? Starej kobiecie słyszającej rzeczy, jakich nigdy w życiu nie chciałyby usłyszeć reszta świata? Kłamczucha. W kubku tego ranka w ogóle nie zagościła żadna kawa. Nie pachniało nią w kuchni, a na piecu nie stał żaden czajnik.

Oczywiście, że jej nie ufałem. Musiałem obyć się bez przemyśleń, których wymaga zaufanie. Nie ma na to czasu. Wadą takiego rozwiązania jest to, że mogłem wejść prosto w pułapkę. I to właśnie jest pułapka. Paula zapewne w tej chwili szykuje się do zamknięcia na klucz drzwi prowadzących do piwnicy. Czy po zewnętrznej stronie nie dostrzegłem przypadkiem nowego, srebrnego oka do kłódki? Pewnie już trzyma ją w dłoni, gotowa ją zatrasnąć, kiedy tylko postawię nogę na dolnym stopniu schodów. Zatrasznie ją, a ja...

— Tutaj.

Głos Pauli — ale jednak nienależący do niej — zatrzymuje mnie. Drzwi na górze wciąż pozostają do połowy uchylone. Tak jak je zostawiłem.

Kiedy się odwracam, słyszę, jak coś metalicznego skrobie o podłogę. I wtedy ją dostrzegam. Delia Reyes. Ciągnie odwróconą do góry dnem balię na skraj światła i siada na jej krawędzi z ciężkim westchnieniem.

— Dzień dobry — rzucam.

— To już dzień? Kiedy człowiek traci słońce z oczu, czas tutaj na dole wydaje się płynąć inaczej.

— Nie zapaliła pani światła.

— Czyżby? Kiedy przebywamy wystarczająco długo w jakimś miejscu, to nawet w ciemnościach można wyraźnie widzieć.

W pierwszej chwili wziąłem jej przygarbienie i podkrążone oczy za oznaki zmęczenia po wysiłku fizycznym. Jednak kiedy słyszę jej ostatnie zdanie, dociera do mnie, że się mylę. Pomimo przyjaznego tonu w jej głosie panuje bezierny smutek.

Wiem o tym, bo mój głos brzmi podobnie.

— Nazywam się David Ullman. Przyjechałem...

— Słyszałam — przerywa mi i unosi w górę wzrok. — No, częściowo słyszałam.

— Musi być pani szczęśliwa. Z powodu Pauli.

Przenosi na mnie wzrok.

— Czy pan jest prawdziwy?

— Tak bardzo, jak tylko mogę to wyrazić.

— Co pan zrobił?

— Przepraszam, ale nie jestem pewny...

— Skoro pan tutaj jest, to musiał... — urywa. Przesuwa dłonią po twarzy, jakby usuwała z niej pajęczynę. — Czy odczuwa pan tutaj chłód?

— Odrobinę — przyznaję, choć w ostatnich minutach odnoszę wrażenie, jakby temperatura w piwnicy spadła co najmniej o dziesięć stopni.

Delia pociera ramiona.

— To zawsze był chłodny dom. Nawet latem się nie nagrzewał, ciepło nie docierało po prostu we wszystkie zakamarki. Jakby pomieszczenia tutaj nie znosiły dotyku słońca. — Przez moment sprawia wrażenie, jakby chciała wstać, ale zmienia zdanie. Być może jakieś wspomnienie w przeszłości zatrzymuje ją na miejscu. — W sierpniu zawsze chodziliśmy z Paulą w długich płaszczach. A w Boże Narodzenie uszy obwiązujemy szalikami!

Jej śmiech kojarzy mi się ze śmiechem siostry, ale wyczuwam w nim raczej poczucie straty niż rozbawienie.

— Dobrze, że macie tutaj siebie nawzajem — uznaję.

— Pewnie tak. Choć może w grę wchodzi tutaj sprawa bycia zbyt blisko drugiej osoby.

— Jak to?

— Bliźniaczkę. Po sześćdziesięciu latach można stracić przekonanie, co jest czym w takim zimnym domu. I wciąż widzi się drugą siebie. I zarazem rozmawia się z drugą sobą.

Zbliżam się do niej o krok. Chyba teraz tego potrzebuje. Dłoni pod łokciem, która pomoże jej wstać. Kogoś, kto jej powie, że wszystko się już skończyło, że nie ma potrzeby tkwić dłużej ze złymi przeczuciami w tej cuchnącej ciemności. Kiedy jednak się zbliżam, podnosi palec, żebym się zatrzymał. Odnoszę dziwne wrażenie, że nie tylko chce dokończyć swoją myśl, ale i nie dopuścić mnie zbyt blisko siebie.

— Modliłam się do Boga, żeby ją zabrał — ciągnie. — Wstyd się przyznać, ale to prawda. Odkąd byłam małą dziewczynką, zawsze pragnęłam, żeby moja siostra wcisnęła rękę w młocarkę, zasnęła za kierownicą podczas powrotu z miasta czy zadławiła się kawałkiem mięsa. Niemal naprawdę widziałam te wszystkie możliwości. Takie proste. Życzyłam sobie straszliwych rzeczy! Ale każdy z nich wydawał się taki naturalny. Po prostu wypadek.

Zaczyna płakać. Towarzyszy temu dziwny dźwięk, który wydaje się oderwany od jej głosu, jakby właśnie demonstrowała umiejętność bruchomówstwa, łkając i mówiąc jednocześnie normalnym głosem.

— Dlaczego chciała pani, żeby zdarzył się taki wypadek?

— Żeby w końcu mogła zostać sama! Nie jako połowa całości, nie tym, jak nas przezywali ludzie przez całe życie. Straszliwa Dwójka, Bliźniaczki Reyes czy Dziewczyny. Po prostu ja sama. — Przełyka ślinę, ale kontynuuje bez odchrząknięcia, przez co jej głos staje się jeszcze cichszy. — Modliłam się. Ale Bóg niczego nie zrobił. Zaczęłam więc modlić się w inny sposób. Tym razem coś odpowiedziało.

— Powinniśmy już iść — przekonuję.

— Iść? Dlaczego?

— Pani siostra wróciła do domu. Pamięta pani?

— Zabiłam moją siostrę.

— Nie, Delio. Nic jej nie jest.

Kobieta potrząsa głową.

— Zabiłam ją.

— Ale rozmawiałem z nią niedawno na górze. Paula się odnalazła. Jest tutaj.

— To... coś. To nie jest Paula.

— A kto to jest?

— Ten, który odpowiedział na moje modlitwy.

Kobieta unosi dłoń i wskazuje ponad moim ramieniem w mrok gdzieś z tyłu. Nie ma w tym żadnego wyboru. Nie mogę dopuścić, żeby był.

Odwracam się od niej i ruszam przed siebie, rzucając cień niczym kolejną warstwę ciemności. Trzymam uniesione ręce, żeby w razie czego dotknąć zwisającego z przełącznika sznurka kolejnej żarówki. Już mi się wydaje, że jestem za daleko, kiedy coś łaskocze mnie w policzek. Staram się wymacać palcami żarówkę. Dokręcam ją do końca. Ciepło mówi mi, że znów działa, jeszcze zanim rozjaśnia się blaskiem.

Siostry siedzą obok siebie w kącie, plecami do ściany, tuż na skraju kręgu światła, przez co ich twarze są tylko lekko oświetlone. Ale to wystarczy, żeby się przekonać, iż obie są prawdziwe. Strzelba na udach Delii jest prawdziwa, jak i ciemna, mokra plama na ścianie z rany wylotowej z tyłu głowy oraz rozszerzone usta w miejscu, w którym znalazła się lufa. Martwa Paula jest prawdziwa, jej ciało zabrudzone ziemią, kawałkami korzeni i kamykami z dziury, z której ją wykopano, oraz skóra zaróżowiona od wewnętrznego nadęcia.

Od momentu ujrzenia tego obrazu do pełnego zrozumienia jego znaczenia upływa kilka sekund. W ciągu tych sekund mój mózg w końcu odzyskuje kontrolę nad ciałem. Obraca mnie do niej plecami. Zapobiega wymiotowaniu pod własne nogi.

— Dlaczego ją tutaj pani przyniosła? — pytam Delię, która pociera lśniący, zasmarkany nos.

— To poprosiło mnie o to.

— Proszę mi powiedzieć, jak to się nazywa.

— On nie ma imienia.

— Pomyślą, że pani to zrobiła.

— Bo zrobiłam.

— To pani kazało.

— Powiedziało, że mogłabym.

— Ale to wszystko, co mi pani powiedziała... Moja rozmowa tam na górze, pani modlitwy... Nikt nigdy się nie dowie.

— Pan wie.

Teraz druga żarówka migocze i gaśnie. Delia, z którą rozmawiam, znika w ciemnościach.

— Pan wie, że również zabije, prawda? — dodaje, a jej głos słychać teraz z mniejszej odległości.

— Nie...

— To chce tego. Żeby pan wiedział, co to oznacza. Żeby pokazać, jak można to zrobić. Żeby uwierzyć. Trzeba zabić.

Kobieta jest tak blisko, że dostrzegam rysy jej twarzy w odległości kilkunastu centymetrów od mojej. Brudną biel jej uśmiechu.

— Kogoś bliskiego — szepcze.

Cofam się i wchodzę na schody. Najpierw powoli, upewniając się, że dobrze

stawiam stopy na wąskich stopniach. Potem wbiegam na górę. Słyszę swój ciężki oddech. Mijam kuchnię — pojedynczy kubek wciąż tam stoi, krzesło jest puste — i w końcu docieram do drzwi samochodu.

Ruszam z piskiem opon i pędzę szosą w stronę drogi, kręcąc zawzięcie kierownicą i potrącając słupek skrzynki pocztowej z napisem REYES. Jej drzwiczki się otwierają, więc kiedy po kilkudziesięciu metrach zerkam w lusterko wsteczne, przypomina ona pochyloną postać z otwartymi w niemym krzyku ustami.

–16–

Jadę na południe. To chyba najmniej przewidywalny kierunek, w który mogę się udać. Na wschód znajduje się miejsce, z którego wyruszyłem, a więc to logiczny kierunek ucieczki. Na północy jest Kanada. Nie jest to pożądana dla mnie opcja. Wyjechałem tam dawno temu w ramach rysowania linii między miejscem, z którego przybyłem, a miejscem, w którym mogłem odkryć siebie samego od nowa. Miałem teraz za dużo spraw, żebym sobie tym zaprzętał głowę, na przykład długo pogrzebane w ziemi duchy ponownie odwiedzające świat.

Żegnaj zatem, Dakoto Północna, witaj, Dakoto Południowa. W tej samej chwili, kiedy wjeżdżam do Nebraski, zaczynam myśleć, że nie było powodu ustanawiania tutaj granicy. Nebraska bardziej przypomina Dakotę Północną niż sama Dakota Północna. W końcu docieram do Kansas. Nie różni się specjalnie od wcześniejszych stanów, choć towarzyszy mu powiew sławy Dorotki i pieska Toto oraz osiedla przyczep spłaszczonych przez tornada. Pola również mają w sobie coś osobliwego, co kojarzy mi się ze sceną opylania roślin w filmie *Północ, północny zachód* Hitchcocka. Cary Grant unikający ataków warczącego samolotu i zastanawiający się, w cóż takiego został wplątany. Jeden z ulubionych filmów O'Brien.

Serce ściska mi się w tej samej chwili, kiedy o niej myślę. Tak bardzo mi jej brakuje. Dociera do mnie, jak jazda przez równiny potrafi podwoić poczucie samotności podczas i tak już samotnej podróży.

I jak bardzo się boję.

Droga potrafi człowiekowi oczyścić myśli. Ale może również przywoływać przypadkowe wspomnienia, chaotyczne i niepokładane, rzucając nimi o przednią szybę tak mocno, że podskakuje się w fotelu w oczekiwaniu na kolizję.

Na przykład teraz. Moja pierwsza wyprawa na obóz z Tess.

Diane nie przepadała za wycieczkami w plener, w rezultacie czego zwykle jeździłem do Adirondacks z Tess, kiedy miała pięć lat. Tam mogłem nauczyć jej umiejętności, które sam poznałem podczas mojej młodości w północnym Ontario:

jak rozpalić ogień, jak zawiesić żywność na drzewie, żeby uchronić ją przed niedźwiedziami, jak wygiąć nadgarstek, żeby przygotować odpowiedni węzeł.

Podczas jazdy bawiliśmy się w „ja, szpieg” i wspólnie komponowaliśmy sprośne limeryki, których Diane zakazywała w domu („Była raz sobie pewna Iwonka, co na nocniku puszczała bąka”). Prawda była jednak taka, że martwiłem się przez całą drogę. O deszcz, o komary, o to, że cała zabawa się nie uda. Jako rodzony nowojorczyk nie chciałem, żeby Tess spłoszył cały ten dyskomfort związany ze spędzeniem kilku nocy w lesie. A jeszcze bardziej nie chciałem ponieść porażki, wrócić do domu z dzieckiem pełnym śladów po trującym bluszczu i ze złożoną obietnicą, że tatuś już nigdy więcej jej tam nie zabierze.

Okazywało się jednak, że świetnie się bawiliśmy. Na butach Tess lądowały motyle, kiedy przez niemal godzinę stała nieruchomo niczym posąg w krzakach jagód, udając, że jest „wielkim kwiatem”, aż monarcha z trzepotem skrzydeł siadał na jej rękach. Nocne pływanie w jeziorze, ruch naszych ciał deformujących odbicie księżyca na nieruchomej powierzchni wody. Doskonalenie obracania kija, umiejętności wymaganej do równomiernego upieczenia pianek do jedzenia.

To wszystko powraca do mnie później, a wspomnienia sprawiają, że kaszlę i gwałtownie łapię oddech, prowadząc wóz wśród niekończących się pól.

Po upływie drugiego dnia Tess poprosiła, żebym obudził ją w środku nocy, żeby mogła popatrzeć na to, co opisywałem jej jako „prawdziwe gwiazdy”. Nie dawała wiary w moje opowieści o Drodze Mlecznej, o niebie, na którym ciemność upstrzona jest maleńkimi światełkami. Nastawiłem zegarek na trzecią nad ranem. Kiedy nadeszła pora, otworzyliśmy namiot i stanęliśmy na środku obozowiska, zadzierając głowy do góry. Kopułę nieba rozświetlały gwiazdy.

Żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa. Wróciliśmy po chwili do namiotu i położyliśmy się spać. Rankiem obudziliśmy się równocześnie, popatrzyliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać. Nie był to śmiech związany z czymkolwiek konkretnym. Nie była to też niewypowiedziana myśl, którą wspólnie dzieliliśmy. Po prostu witaliśmy świat ze spontaniczną wdzięcznością.

A dzięki temu mogę teraz odzyskać oddech i uspokoić roztrzęsione dłonie na kierownicy. Pamiętam jak dziś, że pomyślałem wtedy: „To najszczęśliwsze momenty, które przeżywasz”.

I takie były.

I nadal są.

W godzinę po opuszczeniu Wichity zatrzymuję się na stacji benzynowej i wchodzę do budki telefonicznej, w której cuchnie musztardą i bąkami.

— Posłuchaj mnie — nakazuje O'Brien, kiedy podnosi słuchawkę. — Siedzę przy telefonie jak nastolatka, która nie ma z kim pójść na bal maturalny.

— A poszłabyś ze mną na bal, Elaine?

— Nie ma szans. Nigdy ci nie wybaczę.

— Dlaczego nie?

— Nie zadzwoniłeś, draniu jeden.

— Sporo czasu upłynęło, od kiedy zostałem tak nazwany.

— Naprawdę? W takim razie trzeba nadrobić ten stracony czas. Gdzie jesteś, draniu?

— W Kansas.

— Gdzie w Kansas?

— Niedaleko Wichity. Zostanę tu pewnie na noc. Kilka kilometrów wcześniej minąłem tablicę zachęcającą do wizyty w motelu Scotsman Inn. Chyba sprawdzę, jak smakuje ich haggis.

— Haggis w Kansas?

— Powtórz to szybko trzy razy.

— Jak poszło w Dakocie Północnej?

Myślę, że w porządku. Pogadałem z demonem, który przybrał postać starej, martwej kobiety, po czym uciąłem sobie pogawędkę z duchem jej siostry bliźniaczki. Jako pierwszy odkryłem tajemnicę ich morderstwa i samobójstwa, po czym uciekłem, nie informując żadnych służb porządkowych. Och, a na dodatek ściga mnie ktoś w rodzaju płatnego zabójcy, tylko dlatego, że uważa, iż jestem w posiadaniu dowodów wskazujących na istnienie demonów. I naprawdę je posiadam.

— Dziwnie.

— Czy... ujawniono ci więcej?

— Chyba tak.

— Na przykład co?

Na przykład to, że demon, którego usiłuję odnaleźć, potrzebuje mnie jako świadka swoich wpływów na ludzkie sprawy. Potrzebuje mnie w roli apostoła.

— Nie jestem pewny, czybyś to zrozumiała — odpowiadam.

— Spróbuj.

— Wydaje mi się, że Tess próbuje odnaleźć mnie tak samo, jak ja próbuję odnaleźć ją.

— Okay. To chyba dobrze, co?

— Tak, o ile zdołam ją odszukać.

Zapada cisza, kiedy oboje trawimy znaczenie tych słów.

— Coś jeszcze? — pyta w końcu.

— Myślę, że pokazano mi, w jaki sposób to coś — w jaki sposób Nienazwany — funkcjonuje. Szuka drzwi. Drogi do serca. Smutku. Żalu. Zazdrości. Melancholii. Znajduje otwór i wchodzi do środka.

— Demony wybierają słabych.

— Albo tych, którzy proszą o pomoc bez względu na to, od kogo jej oczekują.

— A potem co?

— Rozbijają ścianę między tym, co człowiek sobie wyobraża, że mógłby zrobić, a tym, czego nigdy by nie zrobił.

— Zdajesz sobie sprawę, że właśnie opisałeś swoją własną sytuację, co?

— Skąd taki pomysł?

— Człowiek przepełniony żalem. Który właśnie teraz robi coś, czego normalnie nigdy by nie zrobił.

— To niezbyt pasuje do mojego przypadku.

— A różnica polega na...?

— Nienazwany nie chce mnie opętać. Chce, żebym w całości lub w znacznej części pozostał sobą.

— Na jak długo?

— Tego jeszcze się nie dowiedziałem.

— Dobra — mówi O'Brien.

Słyszę, jak bierze wdech.

— Jest jeszcze coś.

— Wal.

— Mam rację.

— W związku z czym?

— Ze wszystkim. Jestem więcej niż pewny, że choć to wszystko, co się wokół mnie dzieje, to jakieś szaleństwo, to jednak ja nie oszalałem.

— Same złudzenia nie czynią cię szalonym.

— Może nie. Ale wydawało mi się, że jestem szalony. Aż do teraz. — Biorę oddech. Natychmiast ogarnia mnie zmęczenie w kościach, opieram się więc o szklaną ściankę budki, żeby złapać równowagę. — Nie jestem pewny, dokąd teraz mam się

udać.

— Czekasz na znak.

— Mogłabyś przynajmniej spróbować ukryć swój sarkazm.

— Nie jestem sarkastyczna. Po prostu trudno rozmawiać o tym wszystkim i nie zabrzmieć sarkastycznie.

Przerwa. Kiedy O'Brien w końcu się odzywa, opryskliwie przekomarzenie się ustępuje miejsca głosowi należącemu do lekarza. Jeśli nie może pożartować sobie ze mnie przez całą minutę, to muszę być w gorszym stanie, niż sądziłem.

— Sprawiasz wrażenie rozbitego, David.

— Bo jestem rozbity.

— Czy nie uważasz, że to dobry pomysł, gdybyś z tą wyprawą przystopował na jakiś czas? Odpoczął? Przegrupował siły?

— To miałyby sens, gdyby choć w najmniejszym stopniu obchodziło mnie moje samopoczucie, ale tak nie jest. Trzymam się rozpaczliwie kawałka postrzępionego sznurka i za nic w świecie go nie puszczę.

— Nawet jeśli doprowadzi cię to w złe miejsce?

— Już doprowadziło.

Samochody wjeżdżają na parking i wyjeżdżają. Wszyscy kierowcy zerkają w moją stronę. W stronę faceta rozpaczliwie potrzebującego maszynki do golenia gadającego w budce telefonicznej. Pięć lat temu uszedłbym za zabieganego sprzedawcę w trasie, który dzwoni do żony na drugim końcu kontynentu. Teraz, w dobie telefonów komórkowych, mogę jedynie uchodzić za potencjalnego przestępcę. Ćpun z klasy średniej, który szuka dealera. Facet poszukujący usług prostytutki. Domorośli terrorysta.

— Są na tym świecie rzeczy, których większość z nas nie dostrzega — właśnie się orientuję, że to mówię. — Nauczyliśmy się ich nie widzieć albo próbujemy udawać, że ich nie widzimy. Ale nie bez powodu każda religia, nieważne jak wyszukana czy prymitywna, posiada swoje demony. W niektórych wiarach mogą występować anioły, a w innych nie. Bóg, bogowie, Jezus, prorocy — najwyższa władza przyjmuje rozmaite postacie. Jest też wielu różnych stwórców. Ale niszczyciel zawsze przybiera tę samą formę. Na drodze postępu dokonywanego przez człowieka zawsze stali oszuści, kłamcy i bluźniercy. Autorzy plag, szaleństwa i rozpaczy. Demony to jedyne prawdziwe i uniwersalne doświadczenie spośród wszystkich doświadczeń religijnych człowieka.

— Być może to prawda z antropologicznego punktu widzenia.

— To prawda, ponieważ jest uniwersalna. Dlaczego ten jeden aspekt wiary jest tak ważny dla tak wielu ludzi od tak dawna? Dlaczego demonologia jest praktyką bardziej powszechną od wiary w reinkarnację, składania ofiar, modlenia się, gromadzenia w świątyniach czy przekonania o apokalipsie, która nastąpi na samym końcu czasu? Bo demony istnieją. Nie jako idea, ale tutaj, na ziemi. W codziennym świecie.

Oddycham coraz szybciej i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że dyszę, jakby zabrakło mi powietrza. I przez cały ten czas O'Brien się nie odzywa. Nie sposób stwierdzić, czy trawi moje słowa, czy też dzwoni u niej alarm, kiedy zrozumiała, jak daleko zabrnąłem w tym wszystkim. Ta cisza może oznaczać tylko jedno. Albo zdobyłem jej zaufanie w tej ostatniej minucie, albo je straciłem.

— Dużo o tobie myślałam w ostatnim czasie — mówi w końcu.

— Ja również. Jak się czujesz?

— Kiepsko. Rzygać mi się chce, jakby męczył mnie kac. Chroniczny kac bez przyjemności związanych z poprzednim wieczorem.

— Przykro mi, Elaine.

— Niech ci nie będzie przykro. Po prostu mnie posłuchaj.

— Słucham.

— Nie próbuję wzbudzać w tobie poczucia winy, nic z tych rzeczy, ale nie wiem, ile czasu mi zostało. A ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. Powinniśmy być razem.

— Wiem o tym.

— Ale ty jesteś w Wichicie.

— Tak.

— Wichita leży daleko stąd.

— Gówniany ze mnie przyjaciel. Jestem tego świadomy. Ale wiesz, że byłbym przy tobie, gdybym tylko mógł. Ale muszę...

— Musisz to zrobić. Rozumiem to. Nie zamierzam już próbować cię od tego odwozić. Chcę cię tylko o coś zapytać.

— Śmiało.

— Czy odczułeś coś takiego, że te siły, z którymi się mierzysz, chcą cię odizolować?

— Co masz na myśli?

— Uważasz, że postępujesz słusznie, trzymając mnie od tego z daleka. Ta odległość między nami... to może być plan tego demona. Pomyśl o tym. Gdyby chodziło tylko o to, żebyś uwierzył, to równie dobrze mogłoby to mieć miejsce w Nowym Jorku. Ale zostałeś wyprowadzony z dala od domu. Z dala ode mnie.

— Jaki mam wybór?

— Zabierz mnie ze sobą.

— Nie mogę ryzykować, że stanie ci się jakaś krzywdą.

— Na miłość boską, ja umieram. Już na to za późno.

— Posłuchaj, Elaine. Chcę, żebyś mi coś obiecała.

— Obiecuję.

— Nie prosz więcej o to, żeby ze mną pojechać. Zbyt trudno jest mi tobie odmówić. A ja muszę powiedzieć ci: „Nie”.

— Moja kolej.

— Dobra.

— Wytłumacz mi coś. Dlaczego tak jest, że faceci muszą się zachowywać jak dążący do samozniszczenia superbohaterowie, kiedy tylko na horyzoncie pojawią się jakieś kłopoty?

— Bo tylko dzięki temu wiemy, jak kochać.

Samochody przyjeżdżają i odjeżdżają. Typowy amerykański widok. Cofają się, parkują, włączają z powrotem do ruchu. Byłoby miło, gdyby w żadnym z samochodów w odległości paru kilometrów nie siedział Tropiciele.

— Muszę już kończyć — mówię.

— Nie zamierzasz mi powiedzieć, kto cię ściga?

— Nie.

— Ale ktoś cię ściga?

— Tak.

— Ktoś prawdziwy? Jakiś człowiek?

— Jak najbardziej prawdziwy człowiek.

— Czy on tam jest?

— Jeszcze nie. Ale się zbliża.

— Idź w takim razie, Davidzie. I uważaj na siebie — mówi i ku mojemu zaskoczeniu odkłada słuchawkę. To znacznie lepszy dowód na to, że mi uwierzyła, niż jakakolwiek deklaracja.

Wsiadam do mustanga i ruszam w stronę Wichity. Nad międzystanową autostradą

tak szybko zapada zmrok, jakby ktoś wyciągnął zatyckę od prądu. Przez chwilę mam ochotę włączyć radio, ale cokolwiek słyszę — piosenkę, reklamę, prognozę pogody — wszystko przypomina mi Tess.

Nocna jazda w poszukiwaniu dziecka to prawdziwe piekło.

Motel Scotsman Inn odnajduję bez większych trudów. Nie ma w nim niczego ciekawego, urokliwego, a już na pewno nic szkockiego. Jest idealny.

Czekam na zamówioną pizzę, a po tym, jak zjadam całą poza ostatnim kawałkiem, który łąduje w koszu, trzykrotnie włączam i wyłączam telewizor. Dźwięku nie da się ustawić na tyle cicho, żeby uniknąć jazgotów i łkania dobiegających z głośnika w najlepszym czasie antenowym. Próbuję zasnąć, ale kiedy tylko zamykam oczy, pojawia się obraz Delii i Pauli. I nie wydaje mi się, żebym zniósł jeszcze jakieś niespodzianki z dziennika Tess. Nie dziś.

W końcu idę do samochodu, otwieram bagażnik i wyciągam egzemplarz *Raju utraconego*. Papier jest podniszczony przez sporządzane na marginesach notatki i ciągle odczyty z mównicy. Ta książka to teraz moja jedyna przyjaciółka w Kansas.

Ale dziś nawet to nie pomaga. Każda próba wejścia w znajomy język tylko mnie odrzuca, słowa wydają się falować, jakby książka żyła swoim życiem i miała jakiś nowy cel. Kiedy przypatruję się stronom, poemat sam się przepisuje, jakby zbierał kostki ze scrabble'a i układał z nich przypadkowe bluźnierstwa.

Wstaję z krzesła i zostawiam na nim otwartą książkę. Wsuwam się pod kołdrę i czekam, aż nadejdzie sen. Nie trwa to długo.

A może wcale nie śpię, kiedy otwieram oczy i ją widzę?

Tess.

Siedzi na krześle, z którego wstałem. Trzyma w dłoniach otwarty *Raj utracony*.

Patrzy wprost na mnie. Ma rozchylone usta, wypowiada słowa, których nie słyszę, tylko odczytuję je z ruchu warg. Nie wygląda to, jakby mówiła coś do mnie, jakby nawiązywała rozmowę. To dlatego trzyma książkę. Choć nie czyta tekstu, wypowiada jego treść.

Tess...

Budzi mnie mój własny głos. Mojej córki już nie ma. Książka leży na krześle grzbietem do góry. Tak jak ją zostawiłem.

We śnie — o ile to w ogóle był sen — patrzyła na mnie, ale słowa pochodziły z trzymanej w dłoniach książki.

Mimo że mój egzemplarz *Raju utraconego* leży w tym samym miejscu, to jest

otworzony na innej stronie. Ktoś podniósł go, kiedy spałem, a potem odłożył na stronie siedemdziesiątej czwartej.

Czytam treść poematu i niemal natychmiast przypominam sobie słowa, które bezgłośnie recytowała Tess.

*Słońce; chcę ci rzec, jak nienawidzę
Promieni Twoich, które przypomniem
Są mi, kim byłem ongi, nim runąłem..*

Dogłębna nienawiść szatana do światła słonecznego, jedna z wielu rzeczy, do których odwrócił się plecami, kiedy rozpoczął swój ambitny bunt przeciwko Bogu i jego stworzeniu. Światło tylko mu przypomina o tym, czym kiedyś był. Metafora żalu. Tak naprawdę mogę teraz stwierdzić — tutaj, w pokoju numer dwanaście w motelu Scotsman Inn w Wichicie w stanie Kansas — że cały poemat jest historią niewyobrażalnego gniewu szatana wobec własnej nieuchronnej i niepowstrzymanej śmierci.

Ale to Tess wybrała te wersety. Nie tylko szatan, ale również moja córka przebywa w miejscu pozbawionym światła. I to ona, pomimo niewyobrażalnego wysiłku, przybyła do mojego pokoju w nocy, żeby podnieść książkę i przemówić do mnie językiem, który mogę zrozumieć. A może mówiła tylko to, co nakazał jej porywacz. Może to sam Nienazwany przyjął jej postać. Jednak w to nie wierzę. Jak dotąd nie przybrał postaci Tess. Dlaczego nie? Bo jeszcze w całości jej nie posiadał.

Jeszcze niedawno temu próbowała czytać *Raj utracony*, starając się zrozumieć moje zainteresowanie poematem, ale za każdym razem ją odkładała, zniechęcona zagęszczeniem słów, odniesieniami i nawarstwionymi znaczeniami. Ale może podczas tych prób zdołała wyciągnąć więcej, niż kiedykolwiek przypuszczałem? Czytała przecież te wersety, nie spoglądając na stronę. Znała je na pamięć.

I była tutaj. To najważniejsze. Była tutaj. Ale czy jeszcze zdołam ją odnaleźć?

Słońce...

Słońce świeci wszędzie za dnia, nieważne, czy na błękitnym niebie, czy ukryte za chmurami, nieważne, po jak długiej nocy. Koncepcję „słońca” musi kształtować coś, czego jeszcze nie dostrzegam. Coś, co niesie ze sobą pojęcie „gdzie”.

W tekście jest oczywiście to „gdzie”. Szatan zostaje zrzucony nie tylko z nieba, ale również z określonego „stanu”. Ale w moim przypadku może to być określone

miejsce. Może Dakota Północna.

Lub Floryda.

„Słoneczny stan”.

Trop jest mizerny, ale takie były również wnioski, które wyciągnąłem w Dakocie, a wtedy znalazłem się na właściwej ścieżce. Zresztą, czy mam jakąś inną alternatywę?

Tym razem zapadam w mocny sen. Nie przynosi ze sobą żadnych snów, jedynie uczucie wzmagającego się gorąca. Ogarnia moje ciało falami niczym ciecz. Koc, którego nie można chwycić.

A potem się budzę.

Przez chwilę kopię kołdrę w przypiływie paniki. Koszmar, którego nie pamiętam, właśnie się skończył, a poduszka jest przesiąknięta potem i łzami. Zrobiło się późno. 11:24. Przespałem całą noc i przedpołudnie, a mimo to nie czuję się wypoczęty.

To właśnie dlatego, kiedy słyszę jedno stuknięcie do drzwi, otwieram je, nie patrząc wcześniej przez wizjer. Bez pytania, kto stoi po drugiej stronie.

Chcę usłyszeć, co przybysz chce mi powiedzieć, niezależnie od tego, czy należy do świata żywych czy umarłych.

— Kawy?

W pierwszej chwili jej nie rozpoznaję. Straciła na wadze. Skórę ma bladą jak kreda. Zmiany są tak uderzające, że przez pierwsze sekundy biorę O'Brien za Chudą.

— Jesteś tutaj.

— Tak, w moim chorowitym ciele.

— Jak mnie znalazłaś?

— Jak sądzisz, ile w Wichicie jest moteli o nazwie Scottish Inn?

— Przyleciałaś samolotem?

— Autobus nie wydawał się najlepszym rozwiązaniem.

— Mój Boże! Elaine. Naprawdę tutaj jesteś!

— Tak, jestem. Weźmiesz tę kawę czy nie? Parzy mnie w dłoń.

Zabieram kawę. Mnie też parzy w dłoń.

O'Brien jest w moim pokoju. Zamyka za sobą drzwi, opada na łóżko i robi orła w wilgotnej pościeli.

— Nocne poty — zauważa, siadając. — Dobrze to znam.

— Jak się trzymasz?

— A jak wyglądam?

— Świetnie. Jak zawsze.

— Davidzie, gdybym zawsze tak wyglądała, to skończyłabym ze sobą już dawno temu.

Siadam obok niej na skraju łóżka. Biorę jej dłoń.

— Jesteś szczuplejsza — zauważam.

— Mimo że sporo jem. Mam jednak w sobie takiego małego chciwego potworka, który wszystko pochłania. Gdyby nie chodziło o mnie, uznałabym to pewnie za fascynujące.

— Powinnaś tutaj być? Z dała od lekarzy?

— Już ci mówiłam, co myślę o moich lekarzach. Przywiozłam ze sobą wszystko, co może mi zaoferować nowoczesna medycyna. — Wyjmuje z dzinsów fioletkę

z pastylkami. — Morfina. Podzielię się, jeśli będziesz miły.

— Dzięki. Na razie wystarczy mi kawa.

— Ta kawa smakuje jak gotowana szczurza kupa.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby tak było.

Upijam kolejny łyk. Jestem bliski wyplucia wszystkiego, kiedy O'Brien zaczyna się śmiać, a ja do niej dołączam. Uspokajamy się dopiero po dobrej minucie. Wycieram kawę, która pociekła mi nosem, a O'Brien demonstruje niepokojący róż na policzkach, kiedy dopada ją przeraźliwy kaszel.

— Momencik — rzucam. — Obiecałaś, że nie przyjedziesz.

— Nieprawda. Obiecałam, że nie zapytam, czy mogę przyjechać.

— A więc zdecydowałaś się na nocny lot...

— ...i przyleciałam ci na ratunek.

— Nie potrzebuję ratunku.

— To kwestia dyskusyjna. Ale z całą pewnością potrzebujesz mnie.

Nie ma o czym dyskutować.

— Wiesz co, O'Brien? Przyznam ci się do czegoś. Cholernie się boję.

— Ale tak naprawdę czego?

— Utraty Tess.

— Ale nie tylko tego, prawda?

— Nie, nie tylko tego. Rzeczy, które widziałem. Nienazwanego, do którego myślę, że się zbliżam. I faceta, który mnie śledzi.

— I założę się, że jeszcze czegoś.

— Czego?

— Że mam rację. Że pomieszało ci się w głowie. Że jesteś po prostu facetem, który potrzebuje profesjonalnej pomocy.

— Może. Może tego też.

— Pozwolisz mi się tym przez chwilę pomartwić, dobrze?

— O to właśnie chodzi. Teraz, kiedy tutaj jesteś, martwię się również o ciebie.

Podchodzi do okna, rozchyła lekko zasłony, patrzy na parking i niebo w kolorze jajka drozda.

— Wyjaśnijmy sobie jedno — mówi, odwracając się w moją stronę. W panującym w pokoju półmroku jej choroba jest widoczna dużo wyraźniej niż w jasnym świetle. Teraz widać, jak duża część niej połączyła się już z otaczającym ją cieniem. — Słuchasz?

— Słucham.

— To ostatnia podróż, w którą się wybrałam. Nie wiem, jak długo ona potrwa, ale powiem ci jedno. Zamierzam być przy tobie do samego końca. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale jest to dla mnie równie ważne, jak dla ciebie.

— Chcę, żebyś żyła. Wyzdrowiała...

— Ja nie wyzdrowię, Davidzie — mówi z naciskiem. — Ale już w porządku. Po prostu musisz wiedzieć, że nie potrzeba mi współczucia, ocierania potu z czoła czy wysłuchiwania moich radosnych wspomnień z dzieciństwa. Jestem tutaj z własnych powodów i jeśli zamierzasz marnować czas na martwienie się o mnie, zamiast skoncentrować się na całej tej sprawie, to naprawdę się wkurzę.

Podchodzę do niej i biorę ją w ramiona.

— Cieszę się, że tutaj jesteś.

— Ostrożnie, łatwo łapię sińce.

— Przepraszam.

Odsuwa się ode mnie, odwraca wzrok i wydmuchuje nos.

— Powinniśmy brać się do roboty — oznajmia.

O'Brien rusza w kierunku drzwi, ale przytrzymuję ją za łokieć. Kość przypomina w dotyku gładką kulkę łożyska.

— Dlaczego przyjechałaś? — pytam.

Patrzy mi w oczy.

— Żeby ci pomóc.

— Pomóc mi wrócić do Nowego Jorku?

Ujmuje moją twarz w dłoń i przyciąga blisko do siebie.

— Oto obietnica — oznajmia. — Żadnych pytań, żadnych wątpliwości, żadnego gadania o terapii. Wchodzę w to. Zrozumiano?

— W co wchodzisz?

— W poszukiwania Tess. A kiedy ją znajdziemy, sprowadzimy do domu.

Tess.

Dom.

Usłyszenie tych dwóch słów w jednym zdaniu wypowiedzianym przez kogoś, kto uważa ich połączenie za możliwe, kto sądzi, że warto spróbować je połączyć... To wystarcza, żeby wyciągnąć korek z wanny wypełnionej emocjami z ostatnich dni. Płacę. Robię to tak, jakbym nie pamiętał, kiedykolwiek wcześniej to robiłem. Upust łez, z całym tym bałaganem, smarkami i czerwonymi policzkami, na środku pokoju

numer dwanaście w Scotsman Inn w Wichicie.

To robi wrażenie, ale O'Brien nie pozwala mi trwać w tym stanie zbyt długo.

— Daj mi kluczyki — nakazuje. — Ja poprowadzę.

O'Brien koncentruje wzrok na drodze przed nami, a ja opowiadam jej całą historię. No, prawie całą — omijam szczegóły dotyczące dziennika Tess, które z jakiegoś powodu uznaję za zbyt osobiste. Jednak relacjonuję jej spotkanie z Chudą. I z profesorem siedzącym na krześle w Wenecji. Opowiadam o poprawnym przepowiedzeniu wyników giełdowych, o Tropicielu, o Nienazwanym pojawiającym się pod różnymi formami, choć zawsze były to postacie osób już zmarłych. Opowiadam o Dakocie. O „Słonecznym stanie”. O Tess, która wzywa mnie swoim milczeniem.

O tym, jak pozostało nam tylko dwa i pół dnia do nowiu księżyca.

O'Brien przez cały ten czas nie przerywa, nie zadaje ani jednego pytania. Pozwala mi przeskakiwać z tematu na temat i interpretować to, co niemożliwe. Kiedy kończę, odzywa się dopiero po pokonaniu kilku kilometrów.

— Dokąd twoim zdaniem prowadzą cię te tropy?

— Nie mam pojęcia. Chyba bliżej Nienazanego.

— A co takiego on może zrobić? Zniszczyć cię?

— Mógł zapewne zrobić to w każdej chwili.

— Jesteś pewny? Ta autostopowiczka cię zaatakowała.

— Nie przypominaj mi o tym — mówię, odruchowo kurcząc się w sobie.

— To skąd ta pewność, że nie chce twojej śmierci?

— Myślę, że jej chce. Na koniec. Po prostu jeszcze nie teraz.

— Nie teraz. Nie przed „tym” wszystkim? — O'Brien zatacza okrąg ręką, ogarniając wnętrze samochodu, zaśmieconego opakowaniami po jedzeniu z fast foodów, papierowymi kubkami po kawie i atlasem drogowym na moich udach. — Dlaczego musisz zbierać okruszki po całym kraju?

Przypominam sobie, co powiedział do mnie głos, posługując się ustami człowieka w Wenecji. Że nie jesteśmy wrogami, a konspiratorami.

— Bo mam stać się częścią jakiegoś wydarzenia — odpowiadam.

— Czyli uważasz, że on wiąże z tobą jakiś plan.

— Tak. Ale nie powiedział jeszcze, co to za plan.

— Ten dokument. On wciąż jest w twoich rękach. A jeśli opowiedziałeś mi

wszystko na jego temat, to stanowi on dowód czegoś, co jak dotąd istniało wyłącznie w ludzkiej wyobraźni. Pomyśl o tym przez chwilę.

— To naprawdę coś.

— To coś naprawdę wielkiego — mówi i uderza dłonią w deskę rozdzielczą. — Demony naprawdę istnieją i żyją wśród nas. Nie metaforycznie, ale naprawdę. To zdumiewające.

— Wygląda na to, że będę musiał przerobić wszystkie moje wykłady.

— Zastanawiasz się, do czego to wszystko zmierza?

— Jan Objawiciel powiedziała, że trwają przygotowania.

— Do czego? Wielkiego Końca?

— To później. Najpierw do zejścia. Do apokalipsy. Do nadejścia Antychrysta.

— Wielkie dzięki za poprawę nastroju.

— Mówimy o Biblii, a nie o książkach Danielle Steel.

Jedziemy przez jakiś czas w milczeniu, starając się ukryć dreszcze, które wywołały nasze konkluzje.

— Dobra, przestańmy spekulować — oznajmia w końcu O'Brien. — Umówmy się, że w najbliższym czasie ten twój dokument oznacza potencjalnie największy rozwój w historii religijnej i społecznej od ostatnich dwóch tysięcy lat.

— Mój mózg tego nie ogarnia.

— I chyba o to chodzi — mówi, budując napięcie. — Nie pojmujemy tego wszystkiego, podobnie jak ci ufolodzy, czy jak się oni tam zwą. Zwolennicy teorii spiskowej związanej ze Strefą 51.

— Roswell.

— Kto wie? Może te twoje podpowiedzi doprowadzą nas w to miejsce? Czy Roswell nie pojawia się gdzieś w *Pracach zebranych* Milтона?

— Do czego zmierzasz?

— Jaki argument zawsze stawiają zwolennicy teorii, że piramidy zbudowali obcy? Dlaczego uważają, że przybycia i odejścia istot pozaziemskich są wielką tajemnicą rządu i nie wolno ich publicznie ogłaszać?

— Dlatego, że ludzie wpadliby w panikę.

— Właśnie. Masowa panika. Zerowe wskaźniki giełdowe. Globalna anarchia i terror. Niektórzy wskakują do swoich schronów przeciwbombowych, pozostali niszczą i plądrują. To byłby koniec naszej cywilizacji. Po co usprawiedliwiać jakiegokolwiek postępowanie? Po co zwracać sobie głowę prawem i moralnością? Oni

nadchodzą! Wszyscy czekają, aż małe zielone ludziki przeprowadzą na nas badania lub nas zdziesiątkują.

— Myślisz, że z demonami jest podobnie?

— Nie. Nie wydaje mi się, by rząd wiedział więcej o szatanie i jego kohortach niż o absolwentach szkoły niedzielnej.

— Zatem jakie znaczenie ma ten dokument?

— Weryfikacja. Uzasadnienie. Istnieje mnóstwo religijnych tekstów dotyczących różnych form wiary. Ale żaden z nich nie jest dowodem. Nikomu by nawet do głowy nie przyszło, że może istnieć jakikolwiek dowód.

— Dlatego nazywają to wiarą.

— Istotnie.

— Tyle że tym razem mamy dowód.

— Mamy, o ile David Ullman zdecyduje się otworzyć swoją skrzynkę depozytową w banku na Manhattanie. A jeśli skutki tego będą takie, jak przypuszczamy, film przedstawiający ciało obcego w worku można będzie zaliczyć do zwykłej szmiry.

Pochyliam się do przodu, żeby spojrzeć w lusterko. Zerkam na autostradę w poszukiwaniu kwadratowej atrapy chłodnicy forda crown victoria.

— To dlatego Tropiciel chce odzyskać dokument — stwierdzam.

— A Nienazwany zapewne chce tego samego.

— Dlaczego? Pokazał mi to, co chciał zrobić. Niczego nie zabrałem, on mi to dał.

— I być może o to chodzi.

— Jeśli tak, to ja już niczego nie rozumiem.

— Musimy założyć, że Nienazwany, pomimo wszystkich swoich mocy, posiada pewne ograniczenia.

— Nie może wcielać się w osoby żywe, tylko w zmarłe?

— Właśnie, to jedno z tych ważniejszych. Jeśli więc musi przekazać wiadomość na ten świat, potrzebuje posłańca.

— Apostoła.

— Coś w ten deseń. Demon nie może wystąpić w telewizji, tak samo jak Bóg. Przynajmniej żaden z nich jeszcze tego nie zrobił, o ile nam wiadomo.

— Czyli on postrzega mnie jako potencjalnego konferansjera.

— A dlaczego nie? Cieszysz się uznaniem. Profesor z Uniwersytetu Columbia, na dodatek specjalizujący się w jego tematyce. Bystrzak. Żadnych powiązań z rządem

i nie poszukuje żadnych korzyści osobistych. Ja też bym cię wybrała.

Opowiadam O'Brien o naukowcu przywiązany do krzesła, profesorze Marcu Ianno. O kimś, kto bardzo mnie przypominał.

— Może on był kandydatem do tej samej roboty — uznaje O'Brien.

— Nienazwany odebrał coś Ianno. Może córkę, żonę, kochankę. A potem profesor ruszył ich śladem, podobnie jak ja. Ale na końcu poniósł porażkę.

— Albo tor przeszkód okazał się nie do pokonania.

— Co masz na myśli?

— Może całe to widzenie duchów, podążanie za znakami, bycie ściganym przez kogoś, to po prostu test, którego celem jest sprawdzenie, czy posiadasz odpowiednie kwalifikacje.

— W Starym Testamencie szatan służył Bogu za testera ludzkiej wiary — tłumaczę. — Taki trochę rycerz Ojca Niebieskiego.

— Księga Hioba.

— Owszem, to byłby najlepszy przykład. Dobry człowiek, który przeżywa straty i nieszczęścia, żeby się przekonać, czy da radę je znieść. A jeśli je zniesie, udowodni swoją miłość do Boga.

— To naprawdę trudna miłość.

— Sensem tych opowieści nie jest tak naprawdę to, co się przydarzyło Hiobowi czy innym. Nie chodzi w nich nawet o wiarę. Z perspektywy demonologicznej to szatan czerpie z tych wydarzeń naukę, nie człowiek.

— A jaka to nauka?

— Że człowiek nie może pokonać zła za pomocą niczego bardziej nadprzyrodzonego niż miłość.

— Okay. A więc jesteś współczesnym Hiobem.

— Tyle że tym razem nie chodzi o plagę czyraków czy utratę wołów i wielbłądów. To test, którego celem jest sprawdzenie, czy zdołam dotrzeć do Tess, nie załamując się po drodze.

— I jak twoim zdaniem ci idzie?

— „Ciało jest słabe...

— ...lecz serce silne”.

— Nie posuwałbym się aż tak daleko. Ale nadal bije. O nic więcej nie proszę.

Po upływie pół godziny albo i więcej poranne kawy zaczynają działać i oboje

odczuwamy potrzebę skorzystania z toalety. Zatrzymujemy się na najbliższym parkingu, gdzie na skraju topolowego lasu stoi tego typu udogodnienie. Kończę przed O'Brien i wychodzę na zewnątrz, czekając na nią, gotów zmienić ją za kółkiem, kiedy docierają do mnie odgłosy szamotaniny. Uderzenie kończyn o hartowane szkło. Wściekłe szeptu wydającego polecenia mężczyzny. Stłumione krzyki kobiety.

Parking jest długi i wąski, biegnie zygzakami tak, by beton nie naruszał drzew. Utrudnia to zorientowanie się, skąd dobiegają odgłosy, z lewej czy z prawej. To bardziej intuicja niż osąd sprawia, że wbiegam za budynek toalet, gdzie parking dociera do zarośli i kończy się pustą polaną ze stołami piknikowymi. Odnoszę wrażenie, że napaść ma miejsce w starym, zaparkowanym na uboczu dodge'u pick-upie.

Kiedy pokonuję biegiem pięćdziesiąt metrów dzielących mnie od samochodu, zaczynam się wahać. *Czy powinienem zignorować to, co słyszę? Cokolwiek dzieje się w dodge'u, najprawdopodobniej nosi znamiona przestępstwa. A przestępstwa wymagają zgłoszenia i oświadczeń składanych na policji. To cię opóźni.*

I choć zdaję sobie z tego sprawę, to się nie waham. Komuś dzieje się krzywda. Coś jest komuś odbierane.

Kiedy od pick-upa dzieli mnie kilka metrów, odgłosy stają się dużo wyraźniejsze. Jęki. Słowa wydobywające się z zaciśniętego gardła. Wyglądniałe zwierzęta walczące na śmierć i życie o ostatni kawałek mięsa.

Ktokolwiek znajduje się w środku, nie dostrzegł jeszcze mojej obecności. Podchodzę jeszcze bliżej i zaglądam przez opuszczone do połowy okno po stronie pasażera.

Kobieta i mężczyzna. Starszy od niej, sądząc po koszuli w paski i spodniach w kolorze khaki. Siwiejące włosy wołające o fryzjera, loki opadające luzem na kark. Pod nim widoczne są tylko blade ramiona kobiety i kosmyk miedzianych włosów na fotelu. Zaciska pokryte piegami ręce na jego plecach w wyrazie bólu, oporu lub pragnienia.

W pierwszej chwili nie sposób określić, czy jest w tym wszystkim zgodność. Dźwięki, które wydają, kojarzą się ze szczekaniem hieny. Są bezmyślne i okrutne. Myliłem się wcześniej, sądząc, że słyszę wypowiedane polecenia. Nie słysząc tu żadnej mowy, niczego kojarzącego się z człowiekiem. Dwa ciała połączone w udręce.

Podchodzę do drzwi samochodu i opieram dłonie na krawędzi opuszczonej szyby. Należy coś zrobić. Takie oczekiwanie sprawia, że czuję się współwinny. Czuję się jak podglądacz.

W tej samej chwili, kiedy otwieram usta, by się odezwać, rozpoznaję ich.

Hej.

Zastygają w reakcji na mój głos, jakby cały czas czekali właśnie na to, a nie na zakończenie tego aktu, ponieważ dla nich jest to już niemożliwe. Są martwi. I znajdują się w tym miejscu wyłącznie z mojego powodu.

Głowa mężczyzny obraca się bez ruchu pozostałej części ciała. Obśliniona twarz szczyrzy się do mnie przez ramię w wyrazie triumfu.

— Biedny David — syczy Will Junger. — Nie możesz nawet zerznąć tej chorej suki, z którą podróżujesz.

Chcę się cofnąć, ale moje dłonie nie chcą puścić krawędzi szyby. Muszę pozostać na tyle długo, by wysłuchać, co mają mi do powiedzenia.

Następne słowa nie wychodzą jednak spod błędnych warg Willa Jungera, ale dziewczyny, która wysuwa spod niego głowę. Autostopowiczka. Raggedy Anne.

— „Żyj, póki możesz, paro wciąż szczęśliwa” — mówi, pokazując swoje poczerwiałe zęby.

Puszczam szybę, gotów do ucieczki. Ale mężczyzna, który był niegdyś Willem Jungerem, zaczyna się zmieniać, a ja pozostaję, by zobaczyć, czym się stanie. Subtelna zmiana rysów jego twarzy nie przekształca go w coś całkowicie innego, ale z całą pewnością ujawnia tkwiącą w nim istotę.

— Kim jesteś?

Jak wcześniej Nienazwany odpowiada z tą samą dozą fałszywej wyuczonej erudycji. Słowa są wyraźne, ale szorstkie i nieożywione.

„Jeśli mnie nie znacie, dowód to tylko, że najmarniejszymi jesteście”.

Zaczynam się wycofywać, ale dłoń Nienazanego sięga w stronę mojej. Dotyk wyzwala uczucie pulsującego bólu, elektrycznego i oszałamiającego, niczym wyładowanie czystej udręki. To nie jego siła utrzymuje mnie na miejscu, ale ogrom jego straty.

Wypowiada te same słowa, których użył Will Junger, dokładnie w ten sam sposób, kiedy po raz ostatni widziałem go na schodach biblioteki w gorący, wiosenny dzień pod koniec semestru.

— Zapowiada się parny dzień.

Za pomocą swojego dotyku pokazuje mi Tess.

Rzeczywisty świat — parking z toaletami, zachwaszczona polana piknikowa, sosnowy las, jasne niebo — czernieje, jakby scenę przesłonięto aksamitną

kurtyną. Chwilę później z czerni wyłania się postać. Wyciąga przed siebie ręce, jakby poszukiwała po omacku drogi. Albo chciała odeprzeć atak.

Tess!

Mój krzyk dobiega z odległości tysiąca kilometrów. Ale dociera do jej uszu. Słyszy mnie i biegnie...

Czarna kurtyna znika i ponownie odsłania świat. Teraz to ja biegnę. Oddalam się od dodge'a, wydłużam kroki i kieruję się w stronę toalet, do O'Brien, która kuśtyka w moim kierunku, wykrzykując coś, czego nie słyszę.

Kiedy do niej dobiegam, obejmuję ją ramieniem i odciągam w kierunku przeciwnym od pick-upa. Jestem zaskoczony tym, jak twardo stoi na ziemi.

— Widziałeś coś?

— W pick-upie.

Rusza przed siebie. Z całą pewnością cierpi na ból bioder i sztywność kolan, ale porusza się szybciej, niżbym się spodziewał.

— Elaine!

Dociera do pick-upa i bez chwili zwłoki wciska głowę do środka. Wciska się do niego niemal do połowy, zanim udaje jej się zobaczyć, co ją tam czeka.

Podbiegam do niej i próbuję odciągnąć od samochodu. Nie widzę, co jest w środku, niczego też nie słyszę poza nawoływaniem O'Brien, żebym ją „do cholery puścił”.

Puszczam. Wysuwa się z wnętrza dodge'a, którego kabina jest pusta. Na kanapie leży jedynie zgnieciona paczka po papierosach.

— Zniknęli — oznajmuję.

— Nie widziałam, żeby ktoś wychodził.

— Nie wiem, jakim cudem, ale tam byli. A teraz ich nie ma.

— Tak po prostu?

— Nie prosiłem cię, żebyś patrzyła. Prawdę mówiąc, nie prosiłem cię...

— HEJ! A wy to kto, do cholery?

Odwracamy się z O'Brien i dostrzegamy mężczyznę w średnim wieku, ubranego w nieco za mały garnitur. Wyłonił się spośród drzew wraz z kobietą poprawiającą spódniczkę. Szminka na jej twarzy rozmazana była poza kontur ust. Oboje zdejmowali liście, które przyłgnęły do jej ubrania i włosów.

— My tylko...

— Co wy wyprawiacie w moim wozie?

— Tylko coś sprawdzaliśmy — odpowiada O'Brien.

— Tak?

— Jakieś... dźwięki — dodaje. — Dobiegały ze środka.

— Dźwięki — powtarza facet, oddalając się od wymazanej szminką kobiety, która wydaje się niezdecydowana, czy powinna wybuchnąć śmiechem. — Chwileczkę — mówi. — Zaraz, kurwa. Czy wy współpracujecie z moją żoną?

— Co?

— Wynajęła detektywów, czy coś?

— Nie. Nie, nie. To wszystko tylko...

— Suka!

O'Brien już się wycofuje. Chwyta mnie za łokieć i oboje się oddalamy, mamrocząc przeprosiny. Potem się odwracamy i oddalamy tak szybko, jak pozwala na to zwyczajny krok.

Kiedy docieramy do mustanga, zaczynam wyjaśniać, co widziałem w pick-upie, ale O'Brien już otwiera drzwi po stronie pasażera i wskakuje do środka.

— Prowadź — rzuca. — Możesz mi to opowiedzieć za moment. Nie będę ryzykowała, że jakaś puszczalska sekretarka wpakuje mi kulkę w mój chudy tyłek.

Wracamy z powrotem na międzystanową. Zerkam we wsteczne lustro w poszukiwaniu dodge'a, a O'Brien sprawdza pocztę i wiadomości głosowe w telefonie.

— Spodziewasz się telefonu od kogoś?

— To taki nerwowy tik — odpowiada. — Kiedy się denerwuję, zaczynam majstrować przy przyciskach.

— Chyba wszyscy mają taki tik?

O'Brien dochodzi do siebie. Pyta o to, co zobaczyłem w pick-upie.

— Raggedy Anne. Pamiętasz tę autostopowiczkę, o której ci opowiadałem?

— Tak. Niezapomniana Anne. Ale nie była tam sama, prawda?

— Nie uwierzysz...

— Już za późno na poprzedzanie jakichkolwiek wypowiedzi takim stwierdzeniem.

— Anne z kimś tam świntuszyła. Bardzo świntuszyła.

— Myślałam, że ona nie żyje.

— Bo nie żyje. I mam dziwne przeczucie, że mężczyzna, z którym tam była, również jest martwy.

O'Brien wpatruje się w ekran swojego telefonu. Chwilę później pociąga nosem i prostuje się w fotelu. W jej oczach dostrzegam jakąś szaloną fascynację.

— Powiedz mi, kto to był — prosi.

— Will Junger.

Wciąga powietrze przez zęby tak gwałtownie, że początkowo biorę to za reakcję na ból spowodowany chorobą.

— Pozwól, że cię o coś zapytam — mówi w końcu.

— Dobra.

— Zaglądałeś już dziś do telefonu?

— Nie. Poza tym przez cały dzień siedzę obok ciebie. Widziałaś, żebym to robił?

— Nie.

— Dlaczego to takie ważne?

— Ostatni mejl, który przeczytałam, przyszedł od Janice z Wydziału Psychologii z Columbian.

— I co pisze?

— Wypadek samochodowy. Tej nocy. Zderzenie z filarem mostu na Long Island Expressway — oznajmia, ponownie wciągając powietrze. — Will Junger zginął przed czterema godzinami, Davidzie.

Jesteśmy dwojgiem profesjonalnych rozmówców podczas długiej podróży z dziwnymi wieściami dotyczącymi Ligi Bluszczowej, jednak ani ja, ani O'Brien nie wychodzimy poza zdawkowe: „Jesteś głodny?” czy „Może więcej Dr. Peppera?” między Denton w Teksasie a Alexandrią w Luizjanie. A moglibyśmy starać się wszystko wyjaśnić, być w szoku lub się zastanawiać, czy kiedykolwiek wrócimy do domu. Jediną rzeczą, której jesteśmy pewni, to droga rozciągająca się przed nami, obojętna i drżąca w upale. I jeszcze słońce, które świeci przez okna i liże wilgotne powietrze wokół naszych karków. Witamy Południe w milczeniu, podkreślając tylko odrobinę klimatyzację.

Podajemy decyzję, by na noc zatrzymać się w Opelousas. Motel Oaks oferuje pokoje za „mniej niż noc w namiocie”, bierzemy więc dwa połączone wewnętrznymi drzwiami.

Sen nie wchodzi w rachubę. Wiem o tym i nawet nie próbuję zasnąć. Ponownie otwieram dziennik Tess. Znajduję kolejny wpis udowadniający, że moja córka wiedziała o świecie, w który wkroczyłem, o jakim mi się nawet nie śniło.

Wiem, skąd się biorą szkolni tyrani.

Mam jednego takiego w klasie. Na imię ma Rose. To zapewne najgorzej dopasowane imię do konkretnej osoby na świecie.

Wszyscy boją się Rose. Nawet chłopcy. Nie jest szkaradna, nic z tych rzeczy. Ktokolwiek spojrzalby na jej zdjęcie, w ogóle nie pomyślałby STRASZNA! Ale kiedy już znajdzie się z tobą w jednym pomieszczeniu, po prostu to się wyzuwa. Kiedy na ciebie patrzy, to pragniesz, żeby przestała.

(Rose jest nieco przy kości. Rosną jej też cyci jako pierwszej w naszej klasie. Ma długie i brudne paznokcie, jakby kopała nimi w ziemi. To nieco gruba dziewczyna z brudnymi paznokciami i cycami).

Mnie nigdy nie zaczepia. To dlatego, że wiem, dlaczego taka jest. Raz nawet wyszeptalam jej to do ucha:

„Myślisz, że masz sekretnego przyjaciela, ale to nie jest przyjaciel”.

Kiedy to zrobiłam, popatrzyła na mnie. Takie spojrzenie w rodzaju: „A skąd ty to możesz wiedzieć?”. Teraz trzyma się ode mnie z daleka, jakby to ona się mnie bała.

Panna Green przygotowała na początku roku specjalną lekcję o szkolnych tyranach. Powiedziała nam, że oni tak się zachowują, bo po prostu boją się i są samotni. Tylko po części miała rację.

Szkolni tyrani się boją. Ale nie są samotni.

Mają w sobie sekretnego przyjaciela. Coś, co zaczyna mówić miłe rzeczy, dotrzymuje im towarzystwa i obiecuje nigdy ich nie opuścić.

A potem mówi inne rzeczy. Podsuwa pomysły.

To dlatego wiem wszystko o Rose. Widzę jej sekretnego przyjaciela.

Po przeczytaniu kilku stron natrafiam na inny niepokojący fragment. Niepokojący po części dlatego, że opowiada o okropieństwach, których doświadczyła, a po części dlatego, że to, co napisała, było przeznaczone dla mnie pod jej nieobecność.

Oni są wszędzie wokół nas.

Wystarczy otworzyć na nich umysł, a już się pojawiają. Wewnątrz. Kiedy spróbuje się kilka razy, robi się aż za łatwo. I nawet jeśli to ci się nie podoba, trudno jest przestać.

Czego chcą? Pokazać nam różne rzeczy. Przedstawić to, co wiedzą lub chcą, abyśmy pomyśleli, że wiedzą. Przyszłość. Jak przygotować świat na ich nadejście.

Są wszędzie wokół nas.

Ponownie czytam akapit. I jeszcze raz. Choć odczuwam żal i dręczy mnie poczucie winy, wiem, że ma rację. W każdej kwestii. Otworzyłem umysł i zamknąłem oczy, i teraz też ujrzałem rzeczy, które oni chcą nam pokazać. Jak się jednak okazuje, dużo więcej ukazano Tess niż mnie. Wiedziała o tym wszystkim nawet wtedy, kiedy w weekendy spacerowaliśmy po Central Parku, żeby nakarmić kaczki, kiedy czytałem jej *Tajemniczy ogród* na dobranoc, kiedy przed szkołą całowała mnie na pożegnanie i zarzucała mi kruche ręce na szyję.

Rozlega się pukanie do drzwi łączących pokoje. Kiedy otwieram je po uprzednim schowaniu dziennika, widzę O'Brien z językiem wysuniętym w pantomimicznym obrazie zabójczego pragnienia.

— Chodźmy się napić — mówi.

Przechodzimy przez ulicę do Brass Rail i zamawiamy po budweiserze, zajmując miejsce przy narożnym stole. Piwo nie ma smaku, ale jest zimne i pełne bąbelków, przez co realizuje swoje magiczne zadanie stojące przed alkoholem — rozwiązuje nam języki.

— Musiał być w drodze do Diane albo od niej wracał — zaczynam.

— Pewnie tak.

— Może powinienem do niej zadzwonić?

— A chcesz tego?

— Nie. Nie chcę z osiemnastu różnych powodów.

— Więc nie dzwoń. To chyba nie najlepsza pora na okazywanie nieszczerości.

— Nie życzyłem mu śmierci.

— Naprawdę?

— No, może żeby go trochę połamalo. Wiesz, jakaś drobna krzywda. Coś, co zetrze mu ten uśmieszek z gęby. Ale nie życzyłem mu śmierci.

— Cóż, teraz bez wątpienia jest martwy.

— I pierwsze, co zrobił, kiedy trafił na drugą stronę, to spotkał się ze mną.

— To chyba nie była wyłącznie jego decyzja.

— Nienazwanego.

— Wybrał Willa, żeby się z tobą porozumieć. Co takiego powiedział?

Nie powtarzam okrutnych słów dotyczących jej stanu. Ale notuję je sobie w pamięci. Nie z powodu ich obsceniczności, ale dlatego, że Nienazwany odniósł się natychmiast do O'Brien. A to oznacza, że jesteśmy obserwowani. Istotne jest również to, że O'Brien mogła mieć rację co do tego, że zostałem zwabiony tutaj, z dala od Nowego Jorku, żeby pozbawić mnie pomocy przyjaciółki. Tak czy inaczej, po raz setny tego dnia jestem wdzięczny, że przyleciała do Wichity, żeby przyłączyć się do mnie.

— Anne odezwała się pierwsza — rzucam niewinne kłamstwo. — „Żyj, póki możesz, paro wciąż szczęśliwa”.

— Nic nie mów. Niech zgadnę. Milton?

— A któż by inny?

— Dlaczego akurat taki cytat? Czy ona miała na myśli ciebie i Tess?

— Nie. Ciebie i mnie. Ale powiedziała to z wyczuwalnym sarkazmem.

— Ty i ja — rzuca tak naprawdę do nikogo O'Brien, obejmując się ramionami.

— To z „Księgi Czwartej”. Szatan przybył do Raju i planuje upadek Adama i Ewy. Przepelnia go nienawiść z zazdrości o wszystko, co posiadają. O radość płynącą z ciała, naturalny świat, łaskę bożą. Mówi im więc, żeby bawili się, póki mogą, ponieważ nie potrwa to już długo. „Żyj, póki możesz, paro wciąż szczęśliwa. Raduj się, póki nie wrócę, gdyż krótką twą radość długie cierpienia zastąpią”.

— Pogróżka.

— W rzeczy samej. I zarazem żart. Porównał nas do Adama i Ewy w ogrodzie.

— A my jesteśmy w Luizjanie. Ludzie w średnim wieku, jedno z nas szuka zaginionego dziecka, drugie cierpi na śmiertelną chorobę. Jesteśmy tak daleko od bezgrzesznej radości, jak to tylko możliwe.

— Ale coś w tym jest — mówię, czując, jak ogarnia mnie coraz większy entuzjazm. — Coś, z czego możemy skorzystać.

— Co takiego?

— Wskazówka dotycząca jego wrażliwości.

— Komediant.

— I to ironiczny. Przez cały czas cytował tekst kanoniczny, arcydzieło formy poetyckiej, ale przepełniała go ironia. To wiele mówi o jego osobowości.

— A kogo obchodzi jego osobowość?

— Mnie. Musi mnie obchodzić.

O'Brien wciska plecy w oparcie, unosi butelkę do ust i z zaskoczeniem stwierdza, że jest pusta. Macha nią do barmana i pokazuje dwa wyprostowane palce, jednak zaraz szybko się poprawia, dokładając dwa następne.

— Na wszelki wypadek — wyjaśnia.

Kiedy nadeszło piwo, opowiadam O'Brien o tym, jak zapytałem Nienazwanego, kim jest, i jak mi odpowiedział kolejnym cytatem z Milтона.

— „Jeśli mnie nie znacie, dowód to tylko, że najmarniejszymi jesteście”.

— Dobrze, profesorze — rzuca O'Brien. — Powiedz, o co chodzi, słowo po słowie.

— To znów słowa szatana. Kiedy został zatrzymany przez anioły strzegące ziemi, a one poprosiły go o podanie swojej tożsamości, nie udzielił im bezpośredniej odpowiedzi. Był na to zbyt dumny. Diabeł czuł, że powinny wiedzieć, kim jest, choćby ze względu na jego dokonania, sławę i strach, który budzi.

— Zatem nasz demon uważa, że powinniśmy wiedzieć, kim jest.

— Chce, żebym to ja zdołał to rozpracować.

— Kolejny test.

— Można tak powiedzieć.

— Ale dlaczego potrzebuję ciebie, żeby rozwiązać zagadkę jego imienia?

— Też się nad tym zastanawiałem. I myślę, że to ma coś wspólnego z kwestią intymności. Kiedy będę mógł wypowiedzieć jego imię, zbliży nas to do siebie. A on chce, żebyśmy byli bardzo blisko. — *Pewnie nie zostaniemy przyjaciółmi*, przypominam

sobie jego słowa. *Nie, zdecydowanie nimi nie zostaniemy. Ale bez wątpienia będziemy blisko.*

— Może on po prostu nie może jako pierwszy wypowiedzieć swojego imienia — uznaje O'Brien, odstawiając z trzaskiem piwo. — Potrzebuję ciebie. Ty musisz je wypowiedzieć, żeby zdobyć większą władzę. Anonimowość to jedna z demonicznych wad. Odbiera im w jakimś stopniu moc. Pomyśl tylko. „Nazywam się Legion”. Szatan nie przedstawia się przed bramą Raju.

— Pierwszym krokiem egzorcysty jest odkrycie imienia demona.

— Dokładnie! Imiona to siła, która działa w dwie strony. W przypadku demonów — naszego demona — nie słyszymy, kim jest, ponieważ nie jest w stanie się przedstawić. Ale jeśli zdołasz odkryć jego imię i wypowiedzieć je na głos, otwiera się jakiś kanał. Kanał biegnący przez ciebie.

O'Brien kładzie swoją dłoń na mojej. Krew pulsuje jej tak mocno przez cienką jak papier skórę, że czuję każde uderzenie jej serca.

— Chyba możesz mieć rację — stwierdzam. — Tyle że ja posunąłbym się o krok dalej.

— O krok w tył.

— „Jeśli mnie nie znacie, dowód to tylko, że najmarniejszymi jesteście”. To ulica dwukierunkowa. Zjednoczymy się, kiedy tylko odkryję, kim on jest, kiedy odkryję, kim ja jestem.

— W tym cytacie użyto słowa: „jesteście”. Liczba mnoga, Davidzie. Ja chyba również jestem częścią tego samoodkrywania.

Pijemy więcej piwa. Zaczynamy trzecią kolejkę, z rodzaju tych „na wszelki wypadek”.

— Oto pytanie za milion dolarów — dodaje O'Brien, ścierając nadgarstkiem pot, który nagle wystąpił na jej czole. — Jak ma na imię Nienazwany?

— Nie jestem jeszcze pewny. Ale myślę, że to jeden z Rady Stygijskiej zasiadającej w Miltonowskiej wersji Pandemonium.

— Zdecydowanie nie szatan?

— Nie, choć pożąda chwały swojego pana.

— Ambitny. Dodaj to do jego charakterystyki.

— I biegły w dziedzinie literatury. Używa *Raju utraconego* jako szyfru.

— Język. Łączy was taka sama pasja do słów, Davidzie.

— Na to wygląda — przyznaję. — I wszystko wskazuje na to, że pragnie porozmawiać ze mną tak samo jak ja z nim.

O'Brien niespodziewanie ziewa.

Nawet tutaj, w przydrożnym barze rozświetlonym tylko przez neony reklam piwa i stare maszyny do pinballa, choroba O'Brien jest wyraźnie widoczna. Przez dłuższy czas jej humor i ożywienie maskują jej wewnętrzne spustoszenie, aby później, w jednej chwili, je ujawnić. Przypomina to trochę Nienazwanego i jego sztukę ze zmianą twarzy u Willa Jungera w pick-upie czy u człowieka z Wenecji, kiedy przybrał postać mego ojca. Rak to również swego rodzaju opętanie. I podobnie jak demon, zanim cię posiadzie całkowicie, stopniowo odbiera ci tożsamość i znaną już światu twarz, aby pokazać niechciane rzeczy tkwiące wewnątrz.

— Zabieram cię do łóżka — oświadczam i wstaję, podając O'Brien dłoń.

— Mogłabym uznać, że to jakaś propozycja, gdyby nie ten wyraz twarzy małego zatroskanego chłopca.

— Bo jestem małym zatroskanym chłopcem.

— W życiu zdołałam się już czegoś nauczyć — mówi, nie strząsając mojej dłoni.

— Wszyscy jesteście małymi zatroskanymi chłopcami.

Wracamy do motelu, ale kiedy docieram do moich drzwi, O'Brien stoi za moimi plecami. Odwracam się do niej i dostrzegam, jak wrzuca do kieszeni klucz do pokoju.

— Czy mogę zostać z tobą dziś w nocy?

— Jasne — odpowiadam. — Ale jest tam tylko jedno łóżko.

— Dlatego właśnie pytam.

Kiedy wchodzimy do środka, zrzuca z siebie dzinsy i sweter, by po chwili, w blasku lampy, stanąć tylko w koszulce i bieliźnie. Nie chcę się na nią gapić, ale to silniejsze ode mnie. Sterczące pod skórą kości są wyraźnym dowodem utraty wagi — zamieniły krągłości w wypukłości i tępe krawędzie. Mimo to nadal jest piękną, elegancką kobietą, zdolną kusić swoją pozą i obietnicami kształtów ciała. Może jutro choroba ukradnie również i to? Ale jeszcze nie teraz. Tego wieczoru jest kobietą, na której spoczywa mój wzrok w wyrazie czegoś więcej niż tylko współczucia.

— Muszę okropnie wyglądać — szepcze, ale nie chowa się ani nie okrywa prześcieradłem.

— Wręcz przeciwnie.

— Naprawdę? Nie jestem odrażająca?

— Myślę, że jesteś cudowna.

— Więc kochaj się ze mną.

— Ale ja...

— Jutro mogę nie być już w stanie. Ty możesz nie chcieć — przerywa, jakby odczytała moje myśli sprzed chwili.

— Jesteś tego pewna?

— Pomyśl tylko, co my tutaj robimy, Davidzie. Pomyśl o tym, co nas ściga. Jeśli czymkolwiek jesteśmy, to dwójgim ludzi, którzy zostawili bardzo wiele za sobą.

— Elaine...

— Nie myśl o tym. I żadnych „Elaine”. Po prostu chodź tutaj.

Po chwili już jestem w jej ramionach. Całuję jej policzek. Obejmuję ją, ale odsuwa się ode mnie, gdyż ma za dużo skojarzeń z tym, co robiliśmy wcześniej, kiedy dochodziło do delikatnego, ale grzecznego kontaktu podczas naszych wieczorów w Nowym Jorku. Tym razem chce, żeby było inaczej. Odpina mi pasek i guzik spodni. Przesuwa dłoń w dół.

— Dobrze — mruczy. — Tak jest dobrze.

Gasi światło i pociąga mnie za sobą na łóżko. Zdejmuje ze mnie odzież zręczniej, niż zdołałbym zrobić to sam. W końcu nadchodzi moja kolej.

Ma chłodną skórę, która smakuje trawą i lekką, bardziej odurzającą nutą cytryny. Choć znam tę kobietę tak doskonale, teraz odnoszę wrażenie, że nie znam jej wcale. Drżą ca nieznamoma. Niezdarne odkrywanie nowych gestów, nowych sposobów zadowalania i bycia zadowolonym.

Popycha mnie na plecy i siada okrakiem na moich udach. Przesuwa dłonie ku górze, przygotowując mnie.

Przez cały czas jesteśmy tak blisko siebie, że widzę tylko oczy, twarz i ciało O'Brien. Ale teraz, kiedy prostuje plecy, pokój jest znów częściowo widoczny.

I jest w nim coś, czego nie było wcześniej.

Odcień czerni o wiele ciemniejszy od mroku panującego w pokoju, który otacza O'Brien niczym aura. Jednak bez żadnego światła, nie licząc delikatnej poświaty za zasłonami i pod drzwiami, sama nie może rzucać żadnego cienia. A zatem nie jest to cień, lecz coś stworzonego z cienia. Stoi u stóp łóżka, tuż za jej plecami.

Kiedy O'Brien się porusza, cień porusza się wraz z nią. Robi pojedynczy krok w bok, aby pokazać swój profil. Mężczyzna spoglądający w bezruchu na coś bliskiego w dole. Jedyne mięśnie jego ramion drżą po niedawnym wysiłku. Być może ocenia stratę, być może czeka na dalsze wskazówki. Białka jego oczu są jakby kolejnym źródłem przyćmionego światła. Sprawiają, że widać wodę ciekącą po jego

podbródki i zmatowiałe włosy. Po znajomym kształcie ust i nosa rozpoznaję go.

Tato?

Nie mówię tego na głos. Ale to słyszę. Mój głos należący do sześciolatka, wypowiadający to samo słowo — wypowiedziane z takim samym zakłopotaniem — w dniu, kiedy utonął Lawrence. I mój ojciec, który zbyt późno przybył na ratunek, stojący w wodzie tak samo, jak teraz stoi po pas ukryty w cieniu.

— David?

O'Brien kłęczy obok mnie, jej oddech nieco zwolnił. Jej zaniepokojone spojrzenie zmienia się w coś innego, kiedy widzi zmieniający się wyraz mojej twarzy. Prerażenie, które poczułem jako dziecko, kiedy ojciec odwrócił się do mnie w dniu śmierci mojego brata i kiedy ujrzałem nieznaną mi osobę.

Teraz, tak jak wtedy, nieznajomy odwraca się do mnie.

NIE!

Odpycham O'Brien, która ląduje na boku i chwytą za kołdrę, żeby nie spaść z łóżka.

— Co się dzieje?

— Widzisz go? — pytam z zamkniętymi oczami, wskazując miejsce, w którym stanął mój ojciec.

— Kogo? — O'Brien włącza lampkę na stoliku nocnym. — Nikogo tam nie ma.

— Widziałem mojego ojca — oznajmiam stanowczo po tym, jak otwieram oczy, żeby się przekonać, że już go nie ma.

— Już dobrze. Jesteśmy bezpieczni.

— Nie wydaje mi się.

O'Brien zakłada koszulkę. Staje w tym samym miejscu, w którym przed chwilą stał mój ojciec.

— Możesz mi to rzucić? — prosi, wskazując mój egzemplarz *Raju utraconego* leżący na stoliku. Rzucam go do niej. Kiedy książka leci, jej strony trzepoczą niczym przepełnione paniką skrzydła zwierzęcia. Nawet kiedy trzyma książkę, wydaje się, jakby ta żyła własnym życiem. Okładka porusza się za każdym razem, gdy nie zostaje przyściśnięta, co kojarzy się z ustami gwałtownie chwytającymi łyk powietrza.

O'Brien idzie do łazienki. Po drodze przytrzymuje się ściany, żeby złapać równowagę.

— Wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest — odpowiada, choć ton jej głosu mówi coś innego. — Muszę

tylko zrobić siusiu.

— I zabierasz do toalety tę lekką lekturę?

— Chcę się przekonać, o co w tym wszystkim chodzi.

Zamyka za sobą drzwi. Sekundę wcześniej dostrzegam odbicie jej twarzy w lustrze. Spodziewam się ujrzeć rozczarowanie związane z naszą porażką — moją porażką — lub przynajmniej frustrację związaną z tym, gdzie się znaleźliśmy, jak dała się namówić na coś, czego mogłaby uniknąć, gdyby nie chodziło o mnie i jej dni nie byłyby policzone. Zamiast tego dostrzegam, że się boi. Wcale nie musiała iść do łazienki. Nie chce po prostu, żebym zobaczył ją w tym stanie.

Niemal natychmiast słyszę, że płacze. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby O'Brien wydawała z siebie takie dźwięki i dopiero po chwili jestem w stanie potwierdzić, że naprawdę chodzi o płacz. Gwałtowne wciąganie powietrza nosem i delikatne krztuszenie, jak u tonącego pływaka wyciągniętego z wody.

— Jak sobie tam radzisz? — pytam, podchodząc do drzwi.

— Popatrz tylko. Jestem jak dziewczyna, która utraciła dziewictwo na imprezie.

— Z technicznego punktu widzenia, nie zrobiliśmy tego.

— I z technicznego punktu widzenia nie jestem dziewczyną.

— Ach. Mamy więc analogię.

— Sądziłam, że masz z nimi do czynienia na co dzień.

— Mogę wejść?

— Ale nie zabierzesz ze sobą taty?

— Nie, nie sądzę.

— No to zapraszam.

O'Brien siedzi na opuszczonej klapie toalety. *Raj utracony* leży na jej udach, a w dłoniach trzyma chusteczki, którymi ociera nos i policzki. W ciągu ostatnich trzech minut postarzała się o dwadzieścia lat, a mimo to siedzi skulona niczym dziecko.

— Przepraszam za to, co się tam wydarzyło — mówię. — Podobało mi się...

— Mi również.

— Wygląda na to, że nasz przyjaciel nie pozwala nam się zrozerwać.

— Albo że masz poważne problemy z poczuciem winy w zakresie seksu.

Krztusi się ze śmiechu. I nie przestaje przy tym kaszleć. Jedną dłonią chwyta się biału, a drugą wspiera o ścianę. Jej ciało unosi się w walce z nową przeszkodą w piersi. W ciągu kilku sekund jej skóra zmienia kolor. Nie na różowy, ale na niebieski.

Opadam na kolana i zbliżam się do niej, niepewny, jak mogę jej pomóc. Chwyć Heimlicha? Usta-usta? Nic nie wydaje się właściwe.

Niespodziewanie O'Brien przestaje kaszleć. Przestaje również oddychać. W jej oczach pojawia się panika i błaganie. Jej dłoń łąduje na mojej twarzy z taką siłą, że niemal przewracam się na plecy.

Wciąga do płuc tyle powietrza, ile tylko jest możliwe przy jednym wdechu. Usiłuje się przy tym uspokoić. Trwa to przerażająco długo. Zapada nagła cisza, którą przerywa tylko huk spadającej książki. O'Brien zaciska obie dłonie na moich ramionach.

Robi wydech.

Słysząc wyraźne kliknięcie w jej piersi, jakby coś się poluzowało. W jednej chwili z najgłębszej otchłani jej płuc wydostaje się powietrze o zapachu kwaśnego mleka, a zaraz po nim rozprysk krwi. Ciepłe krople łądują na jej nogach, mojej piersi i twarzy.

I wówczas zaczyna swobodnie oddychać. Zaczyna wycierać plamki krwi ręcznikiem.

— Boże, przepraszam. To było straszne — mówi.

— Przez chwilę byłem naprawdę przerażony.

— Wystraszyłam cię? Ja się topiłam.

Mój brat. Rzeka. Ojciec stojący w jej prądzie. Odmieniony.

Topiłam się.

Nawet temu krótkiemu stwierdzeniu wydaje się towarzyszyć jakaś intencja. Nigdy nie powiedziałem O'Brien o moim bracie poza tym, że zginął tragicznie za młodu. Jeśli jej słowa mają jakiś związek ze mną, to pochodzą z innego źródła.

— Powinniśmy pojechać do szpitala i zrobić jakieś badania.

— Żadnego szpitala — rzuca stanowczo. — Nawet mi nie wspominaj o szpitalu. Zrozumiano?

Odsuwam się od niej, kiedy staje przed lustrem i przemywa twarz. Już mam się podnieść na nogi. Wtedy dostrzegam *Raj utracony* przyciśnięty do boku wanny. Otwieram książkę na stronie osiemdziesiątej siódmej, gdzie szatan planuje zniszczyć ludzkość, kusząc Ewę wiedzą.

Czyż jest Grzechem wiedzieć?

Czyż może Śmiercią to być?

To również ta sama strona, na której znajdują się słowa „Żyj, póki możesz, parowciąż szczęśliwa”, naznaczona pojedynczą kroplą krwi O'Brien na dolnej części osiemdziesiątej szóstej.

W mgiełce, która wystrzeliła z jej płuc, tylko jedna drobinka wylądowała na książce. Lśniącą gwiazdka obok słowa „Jowisz”.

Jak Jowisz, uśmiech ślący pięknej Juno.

— O'Brien?

Odwraca się, a ja podaję jej książkę. Obserwuję, jak jej mózg przechodzi przez tę samą sekwencję myśli.

— Nie używasz czerwonego długopisu, prawda?

— Nie.

— A zatem masz tam część mnie. To mi nie wygląda na przypadek.

— Nic już tak nie wygląda.

— „Słoneczny stan”.

— Na Florydzie leży miasto, które nazywa się Jupiter.

— Zgadza się.

Po krótkiej chwili milczenia mija mnie, kładzie się na łóżku i podciąga kołdrę pod samą brodę.

— Najpierw godzina snu — oświadczają.

— Nie jestem pewny, czy zdołam zasnąć.

— Więc, na litość boską, chodź tutaj i mnie ogrzej.

Przytulam ją, jeszcze zimniejszą i bardziej kościstą niż wcześniej. Każdy oddech wydaje się małą walką.

Otoczająca mnie ciemność wydaje się zastanawiać, jaki kształt powinna przyjąć w następnej kolejności.

Myliłem się co do tego, że nie będę mógł zasnąć.

Trzeba zasnąć i się obudzić, żeby zauważyć, że coś w pokoju uległo zmianie. Że łóżko jest puste. Że dźwięk, który mnie obudził, był odgłosem drzwi zamykanych od środka.

— O'Brien?

Niczego nie widzę. Oznacza to, że moje oczy jeszcze się nie przyzwyczyliły do panującej wokół ciemności, a nie, że niczego tam nie ma.

Bo coś tam jest.

Szelest skózanego buta ocierającego się o dywan. Metaliczny blask, który przybliżył się do mnie.

— Nie krzycz — ostrzega mnie Tropiciel.

Jego głos jest spokojny, jednak jego tonu nie należy mylić z uprzejmością. To raczej głos lekarza, który ostrzega o krótkotrwałym dyskomforcie związanym z wprowadzeniem igły w żyłę.

— To nie będzie miało żadnego znaczenia — dodaje, opierając kolano na materacu obok mnie.

Jego twarz wyłania się z mroku. Doskonale spokojna, choć nieco roztargniona, myślami gdzieś daleko stąd. W powietrzu wisi nóż myśliwski, nieruchomy jak obudowa lampki stojącej na stoliczku obok.

— Proszę. Jeszcze nie teraz — wydaje mi się, że mówię, choć dudnienie krwi w uszach nie daje mi żadnej pewności. — Jestem już tak blisko.

— To dlatego jestem tutaj.

Prostuje plecy. Stopa wsparta na podłodze przygotowuje się do zatopienia we mnie ostrza noża.

Kiedy jednak nóż opada, Tropiciel leci za nim. Jest ciężki i muszę się spod niego wygramolić.

Wreszcie staję na nogach. Sięgam do nocnej lampki, ale to ta stojąca po przeciwnej stronie łóżka zapala się jako pierwsza. Pojedyncza, sześćdziesięciowatowa żarówka ujawnia zbiór elementów, których nie potrafię poskładać.

Włosy na czubku głowy Tropiciele są mokre od krwi i pozostawiają mokrą aureolę na pościeli.

Wypolerowany i suchy nóż myśliwski leży na poduszce.

Za plecami Tropiciele na swoich chudych nogach stoi O'Brien trzymająca w dłoni ceramiczną pokrywę zbiornika na wodę od sedesu. Na końcu pokrywy dostrzegam półksiężyc krwi.

Patrzę jej w oczy, ale ona mnie nie widzi. Jest zbyt zajęta ponownym unoszeniem ciężkiej pokrywy. Rozkopuje nogi Tropiciele na boki, żeby mogła stanąć między nimi. Po raz kolejny opuszcza pokrywę na jego czaszkę.

Ciężar pokrywy pociąga ją za sobą. Przez dłuższą chwilę leży na plecach Tropiciele, jakby zasnęła podczas masowania go. Słyszę, jak mocno wsysa powietrze.

Macha rękami i dopiero po chwili dociera do mnie, że to prośba o ich chwycenie.

O'Brien odrywa się od ciała i oboje upadamy na ścianę i osuwamy się na podłogę. Obserwujemy wspólnie ciało w oczekiwaniu na jakiś ruch. Nie dostrzegamy żadnego.

— Dasz radę zanieść mnie do samochodu? — O'Brien mówi prosto do mojego ucha.

— Jasne. Pewnie.

W pokoju panuje cisza. Niezwykły bezruch, który panuje po gwałtownym urwaniu się hałasu. Jednak wydarzenia sprzed kilku chwil rozegrały się w niemal całkowitej ciszy. Gwałtowny taniec szeptów, szmerów i westchnień.

— David?

— Tak?

— Myślę, że już czas.

Przez resztę nocy robimy zmiany. Jedno z nas śpi, drugie prowadzi, po czym zjeżdża na pobocze i następuje zamiana. Nie rozmawiamy, przynajmniej na samym początku. W okna uderza ciepły podmuch powietrza znad zatoki. Opony mruczą jakąś dawno zapomnianą melodię.

— To był on, prawda? — pyta w końcu O'Brien.

— Tak.

— Zamierzał cię zabić?

— Tak, a kiedy by ze mną skończył, zabrałby się za ciebie.

— A więc możemy przeprowadzić swój mały własny proces i nazwać to samoobroną?

— Nie potrzebujemy procesu.

— Pociesz mnie.

— Dobra. Sprawa umorzona.

— Obiecay mi jedno.

— Cokolwiek.

— Nie pytaj mnie, jak się czułam. Kiedy to robiłam.

— W porządku.

Jednak po chwili, kiedy słuchacz w radiu prosi o *Hotel California*, kładzie dłoń na mojej dłoni.

— Najstraszniejsze jest to, jakie to łatwe — mówi. — Wystarczy dać sobie dobry powód, a zabicie kogoś jest cholernie proste.

Śmieje się przez całą piosenkę *Bad Moon Rising*. Potem płacze przez połowę *Stairway to Heaven*.

Więcej o tym nie rozmawiamy. A to oznacza, że wybaczyliśmy sobie i potwierdziliśmy słuszność tego, co zrobiliśmy. A może demon, którego poszukujemy, stanowi już większą część nas, niż jesteśmy w stanie w to uwierzyć?

O świcie jesteśmy już głęboko w północno-zachodniej części Florydy i jemy śniadanie w Waffle House na przedmieściach Tallahassee. Kiedy pożeram mojego

słodkiego tosta francuskiego, O'Brien dotyka ekranu mojego iPhone'a, szukając odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jupiter może być celem naszej podróży.

— Czego w takim razie szukamy? — pyta, sącząc kawę i potrząsając głowę w reakcji na jej goryczkę. — Sekciarskich rytuałów? Noworodków ze szponami?

— Niczego aż tak oczywistego. Po prostu historii, która do niczego nie pasuje.

— Wygląda na to, że mamy ich po drodze coraz więcej. A ja zawsze myślałam, że takie pojechane rzeczy dzieją się tylko w Internecie.

— Owszem, ale być może przed nami jest ich jeszcze dużo więcej.

O'Brien czyta na głos o ostatnich wydarzeniach, które miały miejsce na wschodnim wybrzeżu środkowej Florydy, przy czym większość z nich okazuje się zaskakująco dziwna. Kot, który odnalazł drogę do domu po tym, jak wyrzucono go z samochodu w odległości piętnastu kilometrów od domu („Teraz już z całą pewnością go zatrzymamy”, obiecywał właściciel). Mężczyzna, który wygrał na loterii wielomilionową kwotę („W pierwszej kolejności? Spłacę tę cholerną ciężarówkę!”). Rekin, który odgryzł stopę turystce z Australii („Wiedziałam, że coś jest nie tak, kiedy wyskoczyłam z wody, a ludzie zaczęli krzyczeć”). Żadne z tych wydarzeń nie niosło jednak ze sobą znaku pozostawionego przez Nienazwanego.

— Będziemy musieli powęszyć na miejscu — oświadczam, ale O'Brien mnie nie słucha, wyraźnie pochłonięta czytaniem artykułu na ekranie. — Znalazaś coś?

O'Brien kończy czytać, a ja przynoszę jej więcej kawy.

— To się zdarzyło przed zaledwie dwoma dniami.

— Byłem wtedy w Wichicie — mówię. — To wtedy dostałem tę wskazówkę: „Słońce; chcę ci rzec, jak nienawidzę / Promieni Twoich”.

— To znaczy, że działo się to dokładnie w tej samej chwili. Jednoczesne połączenie.

— Streścisz mi to, co przeczytałaś? Czy mam przeczytać sam?

O'Brien podnosi szklanekę soku pomarańczowego, ale kiedy dostrzega papkę na jego powierzchni, odstawia ją z powrotem z grymasem niezadowolenia.

— W opinii większości byli dobrymi dziećmi — zaczyna. — Co czyni tę sprawę o wiele bardziej niewiarygodną. Tylko ją pogarsza.

Szkoła podstawowa na zachodnich obrzeżach Jupitera jest znana z zaangażowania lokalnej społeczności, wysokich wyników testów oraz związków z miejscowymi grupami kościelnymi. Uczęszczały tam dzieciaki z wyższej klasy średniej, które w większości znały się z czasów przedszkolnych. Synowie i córki z „samego serca

ukochanej przez Boga Ameryki", jak to określiła O'Brien.

Trzecia klasa. Osiem lat. Zabawa na szkolnym placu zabaw przed obiadem, po zakończeniu dnia pracy przez nauczycieli i rozejściu się starszych uczniów. Nic nietypowego tego wieczoru. Jednak między 15:40 a 16:10, kiedy na miejscu pojawili się pierwsi dorośli, wszystkie dzieciaki — cała siódemka — zaatakowały jednego z uczestników zabawy. Chłopca, którego nazwiska policja nie podała. Co więcej, lubili go rodzice innych dzieci, nauczyciele i sami napastnicy. Chłopiec nie wyróżniał się inną etnicznością, wyznaniem czy statusem społecznym. Wychował się w Jupiterze, podobnie jak cała reszta. Jednak pozostali, uzbrojeni w kamienie, gałęzie platana oraz własne pięści i stopy niespodziewanie pobili go w takim stopniu, że dziecko zapadło w śpiączkę.

Zwierzęta. To słowo przewijało się w raportach. „Zachowali się jak zwierzęta”, jak to określił sąsiad czy radny miasta. Ale jak sprostowała to matka jednego z oskarżonych: „Zwierzęta nie robią sobie niczego bez przyczyny”.

Śledczy wzięli pod uwagę takie możliwości, jak zażycie narkotyków, chuligaństwo czy przynależność do gangów. Musieli jednak ostatecznie przyznać, że przemoc nie została sprowokowana. Na koniec jeden z miejscowych dziwaków wspomniał o jakiegoś rodzaju zatruciu czy chmurze gazu, która nawiedziła przez chwilę tylko ten jeden plac zabaw i wywołała chwilową nieczytelność dzieciaków. Dla nikogo nie było niespodzianką, że nie znaleziono dowodów potwierdzających tę hipotezę. Szkolny psycholog przyznał, że zdarzenie wykracza poza jego doświadczenie — nigdy się z czymś takim nie spotkał. Z obserwacją tą zgadza się O'Brien.

— Ośmiolatki nie robią czegoś takiego swoim rówieśnikom — mówi, zmuszając się do popicia soku tylko po to, by zwalczyć kaszel atakujący gardło.

— A co z tymi dwoma chłopcami w Anglii? Mówię o tych, którzy zamordowali tego dzieciaka, którego wywabili z centrum handlowego?

— To była dynamika między dziećmi, a ofiara była kimś całkowicie im obcym, którego postrzegali jako obiekt swojego eksperymentu. W tym przypadku mówimy osiedmiorgu dzieci — powiedziała z naciskiem — trzech chłopcach i czterech dziewczynkach. A ofiara była ich przyjacielem.

— A co mówią na ten temat same dzieci?

— Żadne z nich niczego nie pamięta, poza tym, że to zrobili. Jeśli chodzi o motyw, wszyscy podają to samo wyjaśnienie.

— Jakie?

— Toby kazał mi to zrobić.

Pokój zaczyna wirować. To ten, który przyszedł odwiedzić Tess w Innym Miejscu. Ten sam, który miał dla mnie wiadomość.

Chłopiec, który już nie jest chłopcem.

— Kim jest Toby? — pytam, udając, że odkasłuję coś, co przed chwilą utkwіło mi w gardle.

— Dobre pytanie. Tego nikt nie wie.

— A co wiedzą na jego temat?

— Wszystkie dzieciaki twierdzą, że to ktoś nowy w mieście. Ktoś, kto nie chodził z nimi do szkoły, ale zjawił się tam tego popołudnia i z nimi rozmawiał. W ciągu dziesięciu minut Toby zdołał ich wszystkich przekonać, żeby swojego przyjaciela rozerwali na strzępy.

— Czy policja go szuka?

— Oczywiście, ale nie mają żadnych tropów. Sądzisz, że na nie trafią?

— Nie.

— Ponieważ...?

— Ponieważ nie ma żadnego Toby'ego. A przynajmniej już go nie ma.

Patrzymy na siebie przez dzielący nas stół. Zawijujemy milczące porozumienie. Jeśli jedno z nas oszalało wcześniej, to teraz dotyczy to nas obojga.

— Czy dzieci w jakikolwiek sposób opisały Toby'ego? — pytam, rzucając pieniądze na opłacenie rachunku.

— To kolejna dziwna sprawa. Żadne z nich nie zdołało przekazać precyzyjnych szczegółów fizycznych, więc rysownik nie potrafił stworzyć żadnego portretu. Wszyscy mieli za to absolutną pewność co do jego głosu. Wydobywał się z chłopca, ale używał „dorosłych” słów. Brzmiał jak dorosły.

— Głos, któremu nie jesteś w stanie powiedzieć: „Nie” — wzdycham. — Tak, ja też już taki słyszałem.

Przecinamy stan drogą międzystanową I-10 do Jacksonville, której pobocza zasypane są żwirem chroniącym nas przed utonięciem w bagnie lub gęstym lesie po obu jej stronach. Następnie kierujemy się na południe na I-95, mijamy niezliczone zjazdy, miasteczka i „okazje” noclegów i przydrożnych przekąsek, podróżując w odległości kilku kilometrów na wschód od wybrzeża Atlantyku.

I na tym kończy się dzień.

A ja nadal nie wiem, co mam robić. Gdzie szukać Nienazwanego.

To właśnie z tej przyczyny, nie licząc tankowania paliwa i postojów na toaletę, nie zatrzymujemy się aż do samego Jupitera. Przejeżdżamy przez całe miasto, aż zatrzymuje nas ocean, którego brązowe fale rozbijają się na piasku. Parkujemy samochód. O'Brien bez słowa wysiada z mustanga, zrzuca buty i biegnie sztywno do wody. Obserwuję ją, siedząc na masce auta. Powietrze niesie aromatyczny zapach morza i wodorostów oraz wszechobecny nawet w samochodzie odległy aromat smażonego jedzenia.

O'Brien wskakuje do wody w ubraniu, nie podwinąwszy nawet nogawek spodni. Wbiega w fale jak ktoś, kto nie ma zamiaru powrócić. Przychodzi mi na myśl, że może powinienem pobiec za nią, na wypadek, gdyby uderzyły w nią fale i znalazłaby się pod wodą. Ale w tej samej chwili O'Brien się zatrzymuje, stojąc po pierś w wodzie. Każda kolejna fala osadza jej stopy na dnie, a piana obmywa jej ciało.

Dopiero po pewnym czasie decyduje się wrócić do samochodu. Prześiąknięte wodą ubranie zwisa ciężko i odsłania jej chudą sylwetkę, przez co przypomina rozbitka, który dotarł na brzeg po wielu dniach dryfowania na kawałku wraku.

— To już ostatni raz, kiedy mam okazję poczuć morze — oznajmia, siadając obok mnie.

— Nie mów tak.

— Wcale nie dramatyzuję. Wsłuchałam się w wodę i to właśnie mi powiedziała. Prawdę mówiąc, nawet mnie to uspokoiło. Takie pożegnanie między dwójką starych przyjaciół.

Chcę zaprzeczyć. Chcę powiedzieć, że tak właśnie czuje się na słońcu po długiej jeździe, że umiera na wet teraz, kiedy doznaje tej dawno zapomnianej przyjemności. Ale ona ma rację. To nie pora na puste pocieszenia.

Kiedy zamierzam obejść samochód i wyjąć z bagażnika ręcznik skradziony po pospiesznym, niedokładnym osuszeniu się podczas ostatniej nocy w motelu, O'Brien chwytam mnie za nadgarstek.

— Wiesz, że może się nam nie udać, prawda?

— Nigdy nie przestaję o tym myśleć.

— Mam na myśli to, że przeciwnik jest od nas dużo silniejszy, Davidzie. Jest pradawny i niemal wszechwiedzący. A my?

— Jesteśmy parą moli książkowych.

— Doskonale nadających się do zgniecenia.

— Czy to ma być przemowa motywacyjna? Bo jeśli tak, to kompletnie nie działa.

Zamiast się roześmiać, O'Brien jeszcze mocniej ściska mnie za nadgarstek.

— Ja też słyszałam głos — mówi. — Zaczęło się, kiedy wróciłeś z Wenecji, ale w ciągu ostatnich kilku dni, kiedy byłam z tobą w drodze — a nawet w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin — stał się dużo wyraźniejszy.

— Czy to...

— To nie był Nienazwany. Mimo całej tej sytuacji było to coś dobrego. I choć nazywam to głosem, nie mówi do mnie. On mnie oświeca. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale tylko tak mogę to określić.

— I co takiego ci mówi?

— Że wszystko da się przetrwać, kiedy nie jest się samemu.

Całuje mnie w policzek. Potem ściera mokre ślady, które pozostawiła na mojej skórze.

— Diabeł, a przynajmniej ten, do którego mówimy, nie rozumie, co czujesz do Tess — oznajmia O'Brien głosem niewiele silniejszym od szeptu. — Wydaje mu się, że rozumie, czym jest miłość. Przeczytał wszystkie slogany. Poznał wszystkich poetów. Ale to jedynie naśladownictwo. To nasza jedyna i bardzo wątła przewaga.

— To właśnie powiedział ci ten głos?

— Mniej więcej.

— A wspomniał może, jak wykorzystać tę jedną, bardzo wątłą przewagę?

— Nie — przyznaje O'Brien, zsuwając się z przedniej części auta i drząc pomimo oszałamiającego upału. — Jak na razie nie powiedział ani jednego pieprzonego słowa na ten temat.

Szkoła podstawowa w Jupiterze jest niskim budynkiem z żółtej cegły. Z masztu na parkingu dla rodziców zwisa wilgotna flaga narodowa („Samochody pozostawione na dłużej niż 5 minut zostaną odholowane”). Zwyczajny obraz amerykańskiej normalności. A ponadto tło dla materiału filmowego dziennikarzy relacjonujących zapierające dech w piersi sprawozdania o trudnej do wyobrażenia tragedii. Samotnik z workiem marynarskim. List pożegnalny ofiary szkolnego tyrana. Porwanie w drodze do domu.

W tym miejscu jest nieco inaczej. Coś, co sprawia, że to wszystko ma jeszcze mniejszy sens.

Na ulicy stoi kilka zaparkowanych furgonetek z lokalnych gazet i telewizji, choć w pierwszej chwili, podjeżdżając do krawężnika, nie dostrzegamy kamer. Ale potem rozlega się dzwonek. Drzwi otwierają się z hukiem i dzieci wybiegają na zewnątrz,

zmęczone przepełnionymi smutkiem rozmowami z psychologami i ponurymi zebraniem na sali gimnastycznej. Konkurujące ze sobą ekipy wiadomości materializują się znikąd, przemykają obok rodziców czekających na swoje pociechy i wymachują mikrofonami przed twarzami dzieci.

— Jaki dziś w szkole panuje nastrój?

— Jak radzicie sobie z tym, co się wydarzyło?

— Znaście dzieci, które to zrobiły?

I niepewne, czasem przesadzone odpowiedzi.

— To tak jak na filmie.

— Wiele osób cały czas cierpi.

— To były normalne dzieciaki.

Kiedy przechodzimy przez ulicę i dołączamy do tłumu, ruszam w kierunku dziewczynki w wieku ośmiu, może dziewięciu lat. Kucam w pozycji łapacza w baseballa, co się pozytywnie kojarzy z przyjaźnie nastawionym dorosłym czy wyrozumiałym gliniarzem. A ona odpowiada tak, jakby ją do tego przygotowano. Podchodzi do mnie tak, jakbym pomachał jej odznaką.

— Jestem funkcjonariusz Ullman — mówię. — Chciałem zadać ci tylko kilka pytań.

Spogląda na O'Brien, która uśmiecha się do niej z góry.

— Okay.

— Znałaś te dzieci, które pobiły swojego kolegę?

— Tak.

— Możesz przypomnieć mi nazwisko tego chłopca?

— Przypomnieć?

— Tak. — Klepię się po kieszeni jak ktoś, kto zapomniał swojego notatnika. —

Nie mam już tak dobrej pamięci jak kiedyś.

— Kevin.

— Kevin jaki, kochanie?

— Lilley.

— Właśnie! A pamiętasz te dzieci z twojej klasy, które pobiły Kevina? Czy wspominały o Tobym?

Dziewczynka spleta dłonie i opiera je na brzuchu. Gest wyrażający wstyd.

— Wszyscy rozmawiali z Tobym — odpowiada.

— Jaki on był?

— Taki jak my. Ale inny.

— Inny?

— Z nikim się nie trzymał. Nie chodził do szkoły. Robił to, co chciał.

— Coś jeszcze?

Zastanawia się przez chwilę.

— Zabawnie pachniał.

— Ach tak? A czym?

— Czymś, co było w ziemi.

Jej nozdrza poruszają się lekko na wspomnienie zapachu.

— Mówił coś do ciebie? — pytam dalej.

— Tak.

— Złe rzeczy?

Zerka na mnie z ukosa.

— Nie, ale można się było po nich źle poczuć.

— Pamiętasz chociaż coś, co do ciebie powiedział?

— Niezbyt — odpowiada, naprężając ramiona w próbie przypomnienia sobie czegokolwiek. — To trochę tak, jakby w ogóle nie mówił. Albo jakby mówił do siebie.

Dziewczynka ponownie patrzy na O'Brien. Zaczyna płakać.

— Spokojnie, wszystko jest w porządku — mówię do niej, wyciągając dłoń. — To nic...

— Nie dotykaj jej!

Odwracam głowę i dostrzegam mężczyznę idącego szybkim krokiem przez szkolny trawnik. Wielki, wkurzony gość w koszulce Miami Dolphins w rozmiarze XXXL. Turkusowy materiał nadyma się pod pachami.

— Nie ma potrzeby... — zaczyna O'Brien, ale nie kończy. Co miałyby powiedzieć? Że nie ma potrzeby rozbijając szczęki mojego przyjaciela?

Dziewczynka biegnie do ojca. Ten zatrzymuje się, by ją podnieść, po czym staje nade mną jak góra. Inni rodzice z dziećmi zerkają w naszą stronę, niektórzy nawet zbliżają się o kilka kroków, żeby mieć lepszy widok.

— Kim jesteście? — pyta.

— Dziennikarzami.

— Skąd?

— Z „Herald” — odpowiada O'Brien.

Ojciec odwraca się do niej, a potem do mnie.

— Właśnie rozmawiałem już z facetem z „Herald”, a to znaczy, że jesteście parą cholernych kłamców.

Nie sprzeczamy się z nim w tej kwestii. O'Brien nie jest w stanie zapobiec temu, co może się wydarzyć, a ja nie widzę możliwości, żeby zdążyć się podnieść i oddalić spoza zasięgu jego rąk i nóg, zanim wyprowadzi ciosy. Wszyscy troje zastygamy we wzajemnym przyzwoleniu na to, co nieuniknione.

W tej samej chwili dociera do mnie, że myliłem się co do powodów gniewu tego człowieka. Nie jest zły na nas, że rozmawialiśmy z jego córką. Prawdę mówiąc, w ogóle nie jest zły. Jest cholernie przerażony tym, co córka powiedziała mu o Tobym, chłopcu, który nie istnieje i który kazał dzieciom z jej klasy wyobrazić sobie najstraszniejszą rzecz, jaką mogą zrobić, a potem zamienić to w czyny.

— Zaginęła moja córka — mówię do mężczyzny tak cicho, by usłyszał mnie tylko on i jego dziecko. W reakcji na moje słowa zastyga w bezruchu. — Szukam mojej małej dziewczynki.

Wyraz jego twarzy pokazuje, że nie tylko mi uwierzył, ale rozumie, że moje poszukiwania mają coś wspólnego z Tobym, tragedią na placu zabaw, niezrozumiałym wydarzeniem, które zachwiały jego spokojnym florydzkim światem. Dociera to do niego, choć niczego nie pojmuje. Przyciska do siebie mocniej córkę i się oddala.

Ruszam z powrotem w kierunku mustanga. O'Brien jest pół kroku za mną. Rodzice, dzieci i nażelowani dziennikarze obserwują nasz odwrót z wdzięcznością tych, którzy rozumieją, że cokolwiek przytrafiło się nam, nie jest tak tragiczne jak to, co przytrafiło się im samym.

Być może dzięki temu, że O'Brien bardziej przypomina pacjentkę niż większość obecnych tam pacjentów, udaje się nam bez problemu dostać na poziom pielęgniarski Centrum Medycznego w Jupiterze, zapytać o numer pokoju Kevina Lilleya, przekonać personel, że jesteśmy jego krewnymi i jeszcze dostać szczegółowe wskazówki, jak znaleźć łóżko najśłynniejszego rezydenta oddziału intensywnej opieki w całej środkowej Florydzie.

Kiedy jedziemy windą na trzecie piętro, zastanawiamy się, czego możemy oczekiwać od chłopca pogrążonego w śpiączce.

— Może jakiegoś znaku — podsuwa O'Brien.

— W rodzaju cyfr 666? Pentagramu?

— Nie wiem, Davidzie. To ty nas tutaj przywiodłeś. Czego szukasz?

Kolejnego znaku. Ostatniego.

— Będę wiedział, kiedy to zobaczę — odpowiadam.

Szczęście dalej nam dopisuje. Spodziewałem się, że w pokoju Kevina spotkamy rodziców czuwających przy łóżku syna albo zrozpaczonych gości. Nikogo takiego nie zastajemy. Pielęgniarka zmieniająca mu kroplówkę wyjaśnia, że rodzice pojechali odpocząć do domu przed zaledwie kilkoma minutami.

— Nie jesteście państwo z nimi? — pyta.

— Przyjechaliśmy z Lauderdale — wyjaśnia O'Brien, jakby to miało wyjaśniać wszystko, co chciano by od nas się dowiedzieć.

Chwilę później zostajemy sami z Kevinem, w towarzystwie popiskującej i posapującej aparatury. Dziecko jest tak opuchnięte i pozbawione żywych kolorów, że wygląda, jakby wyrosła mu nowa skóra, którą wkrótce całkowicie zrzuci, odsłaniając nowe ciało. Głowa prezentuje się najgorzej. Czaszkę spowijają skomplikowane nakładki i siatki z gazy chroniące mózg przed kontaktem z otoczeniem w każdym miejscu, w którym została oderwana kość. Najtrudniej jest jednak patrzeć na powieki. Są grube i lśniące jak linoleum.

— Kevin?

O'Brien zaskakuje mnie, zwracając się do chłopca jako pierwsza. Przez całą drogę uważała, że przybycie w to miejsce niewiele da, i pewnie miała rację. Jednak żal popycha ją do próby nawiązania kontaktu, dotarcia do niego w miejsce tak odległe i nieznane jak to, w którym przebywa Tess.

Słychać odgłosy pracującej aparatury. Kevin oddycha przez rurki umieszczone w jego nosie przypominające słomki w pustej szklance. Ale on niczego nie słyszy.

— Dlaczego? — szepcze O'Brien, ocierając policzki.

Żeby udowodnić, że są z nami. Że zawsze z nami byli.

— Nie wiem — odpowiadam.

— Czy celem naszego przyjazdu w to miejsce jest właśnie to?

Zepsucie człowieka. Ich największe osiągnięcie. Nieukończone arcydzieło, nad którym wciąż pracują.

— Nie wiem.

O'Brien podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Na horyzoncie oceanu gromadzą się popołudniowe chmury przypominające przemyślenia bez odpowiedzi. Za kilka godzin nadejdzie zmrok, a w szpitalu pozostanie nocny, uszczuplony personel. Będzie tu również Kevin, samotny, z kwiatami na stoliczku

przepełnionymi kartkami z napisami „Życzymy powrotu do zdrowia” i bukietem zwiotczałych balonów na parapecie.

— Nie znasz mnie — szepczę do niego, okrążając łóżko — ale Toby rozmawiał również ze mną.

Jakaś część mnie — niemądra, bliska dziecinnemu, magicznemu myśleniu — oczekuje, że wywoła to jakąkolwiek reakcję u chłopca. To dlatego, że jestem w samym środku wyprawy, na którą wysłał mnie Nienazwany, dlatego, że jestem kluczem do każdego zamka. Prawda jest jednak taka, że każdy traci kogoś, bez kogo nie potrafi żyć. Każdy z nas miewa takie chwile, kiedy wierzymy, że nasza skierowana do Nieba prośba, nasza mroczna inkantacja, wyzwoli jakiś cud.

— Kevin? Jestem człowiekiem, o którym wspomniał ci Toby — mówię, pochylając się blisko jego ucha. Skóra chłopca ma zapach środka do dezynfekcji. — Mam małą córeczkę, niewiele starszą od ciebie. Jej również przytrafiło się coś złego. To dlatego przyjechałem tu z daleka, żeby cię zobaczyć.

Nic. Może nawet mniej niż nic. Z tak niewielkiej odległości jego oddech wydaje się jeszcze płytszy. Jego połączenie z życiem jest jeszcze cichsze, niż mi się z początku wydawało.

Wtedy go dotykam.

Kładę dłoń na jego dłoni i nieznacznie ją unoszę. Trzymam, nie ściskając. Nadaję jego przedramieniu prosty ruch, którego sam już pewnie nigdy nie wykona.

Kiedy jednak przestaję, jego dłoń rusza się dalej.

Palec. Wskazujący, prostuje się lekko, żeby we mnie wycelować.

Pochyliłam się niżej. Moje ucho niemal dotyka jego warg. Jestem na tyle blisko, że słyszę głos Kevina. Jest tak cichy, że może go usłyszeć tylko ktoś, kto słowa te znał już wcześniej na pamięć.

Wypowiada je ostrożnie, z wysiłkiem przypomina sobie właściwą kolejność. Wtedy zdaję sobie sprawę, że Kevin również zna je na pamięć. To coś, o co poprosił go Toby. W zamian mamił go nadzieją wyjścia z tego żywym, dlatego Kevin stał się najlepszym uczniem, jakim tylko można być.

Loch ów straszliwy kręgiem go otacza

Jak palenisko rozległe, płonące;

Jednak nie pada blask z owych płomieni,

Lecz raczej ciemność widoma.

Przez chwilę jego nos silniej wciąga powietrze przez rurki w niemal bezgłośnym wysiłku. Potem ponownie zapada w sen, który nie jest snem.

O'Brien dotyka mojego ramienia. Kiedy się prostuję, widzę, że nie usłyszała tego, co ja.

— Powinniśmy już iść — mówi.

Rusza w kierunku drzwi. Ale ja jeszcze się ociągam. Wracam do chłopca i szepczę mu do ucha słowa z zupełnie innej książki:

Chociażby stanął naprzeciw mnie obóz, Moje serce bać się nie będzie¹.

¹. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Psalm 27 (26), 3 (przy p. red.).

Po opuszczeniu szpitala opowiadam O'Brien o recytacji Kevina. Nie pyta, co to znaczy czy dokąd nas skieruje w dalszej kolejności. Siada po prostu za kierownicą i ruszamy drogą, wzdłuż której ciągną się palmy, zostawiamy za sobą Jupiter, świat wygodnego parkowania i ogromnych sztyldów. Na ulicach tylko paru przechodniów. Próbuje dostrzec kogoś wsiadającego do samochodu lub z niego wysiadającego, ale nikogo nie widzę. Tylko uliczny ruch świadczy o tym, że cokolwiek tu żyje. Starsi panowie prowadzący ostatnie wyprodukowane krążowniki z Detroit, szukający jakiejś okazji czy czegoś do roboty. Ich ekspresja ogranicza się do kiepskich, żartobliwych sloganów na spersonalizowanych tablicach rejestracyjnych.

— Jestem zmęczona — oznajmia O'Brien. I na taką wygląda. Nie tyle zmęczona, co wycieńczona. Spoglądam na nią i dociera do mnie, że to nowe spojrzenie na świat odbiera kolory jej skórze w jeszcze większym stopniu niż choroba.

— Wracajmy do motelu — mówię. — Powinnaś odpocząć.

— Nie ma na to czasu.

— Położysz się na pół godziny. Nic się nie stanie.

— A ty co zamierzasz robić?

— Pojeżdżę po okolicy.

Wysadzam O'Brien i jadę wprost w miejsce, o którym nawet wcześniej nie myślałem. Plac zabaw z nawiezionym piaskiem. Miejsce, w którym siedmioro dzieci przelało krew innego.

Ani żywej duszy. To godzina, w której dzieciaki szcnotkują już zęby. Moja ulubiona pora dnia z Tess. Rytuał obejmujący kąpiel, piżamę i książkę. Ciągłość zdarzeń, w których mógłbym uczestniczyć każdego wieczoru. I choć nie osiągnąłbym nic więcej poza tymi prostymi powtórzeniami, starałbym się, żeby wszystko było jeszcze lepsze.

Ale nie tego wieczoru. Gdziekolwiek ona teraz jest, znajduje się poza moim zasięgiem. Poza zasięgiem wyszeptanych słów do jej ucha: „Dawno, dawno temu...” czy „Jesteś moim słońcem”.

Mimo to śpiewam dla niej. Siedzę na jednej z huśtawek i walczę o to, by zachować

melodię. Pęknięta kołysanka o zmierzchu.

Uszczęśliwiasz mnie, kiedy niebo jest szare...

Po trawie idzie chłopiec.

Jest w tym samym wieku, co Kevin Lilley i jego koledzy. Sympatyczny dzieciak z przydługimi włosami, w zbyt obszernej koszulce Rolling Stonesów, tej z wielkimi ustami i wyciągniętym językiem na czarnym tle. Porusza się niepewnie, sztywno, jakby dopiero wstał po długim śnie w niewygodnej pozycji.

Siada na huśtawce obok mnie i wbija wzrok w swoje buty. Sprawia wrażenie, jakby w ogóle mnie nie zauważył.

— Jesteś Toby — mówię.

— Byłem.

— Ale teraz jesteś martwy.

To stwierdzenie widocznie wprawia go w zakłopotanie. Kiedy w końcu coś sobie przemyślał, na jego twarzy pojawia się przenikliwy żal, jakby odkrył swoje beznadziejne położenie.

— Należę do niego — oznajmia.

— Kim on jest?

— On nie ma imienia.

— Czy jest tam z tobą dziewczynka? Ma na imię Tess.

— Tam jest nas wielu.

— To właśnie kazał ci powiedzieć. Wiesz jednak dużo więcej, prawda? Powiedz mi prawdę.

Wierci się chwilę i krzywi, jakby połknął nóż do steków i na próżno szukał pozycji, która sprawiałaby mu mniejszy ból.

— Tess — wreszcie przyznaje. — Tak, rozmawiałem z nią.

— Jest tam, gdzie ty?

— Nie. Ale jest... blisko.

— Możesz ją teraz odszukać?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie ma zostać odnaleziona.

Zaciskam powieki i przecieram wilgotne oczy rękawem.

— Co ci się przytrafiło, Toby? — pytam. — Kiedy jeszcze żyłeś.

Kopie piasek czubkami butów.

— Pewien człowiek mnie skrzywdził — odpowiada.

— Kto?

— Przyjaciel... który nie był przyjacielem.

— Dorosły?

— Tak.

— W jaki sposób cię skrzywdził?

— On... Rękami. Tym, co robił. Tym, czym mnie straszyl, jeśli komukolwiek powiem.

— Przykro mi.

— Musiałem to powstrzymać, to wszystko. Moja mama miała te tabletki... Musiałem to przerwać.

Patrzy w moim kierunku. Zwyczajny chłopiec. Przerażony tak bardzo, że nie jest w stanie więcej o tym mówić. Złamany, zanim dostał szansę dorosnąć.

I wówczas twarz Toby'ego zmienia się, martwieje. Bez żadnej fizycznej transformacji, jaką widywałem u innych zawładniętych przez Nienazwanego, część chłopca zostaje wydrążona, pozostawiając po sobie pustą skorupę. Żywe niegdyś dziecko siedzące na huśtawce, pozbawione życia w sposób dalece wykraczający poza zwyczajną śmierć.

I znów zaczyna się poruszać.

Wpatruje się we mnie. Kiedy zaczyna mówić, używa głosu, który znam już tak dobrze, jakby był częścią mnie, jakby emanował wprost z mojej głowy. To tak jak plomby w zębach, które ponoć mogą odbierać częstotliwości radiowe.

— Witaj, Davidzie — mówi.

— Wiem, kim jesteś.

— Ale czy znasz moje imię?

— Tak.

— Zatem mi powiedz.

— Sam je wypowiedz.

— Wówczas nie byłaby to próba, nieprawdaż?

— Nie wypowiadasz go, bo nie możesz.

— Byłoby błędem zakładać, co leży w mojej mocy, a co nie.

— Jednak potrzebujesz mnie, żebym poznał twoje imię.

— Czyżby? A to dlaczego?

— Myślę, że wypowiedzenie twojego imienia nadałoby ci tożsamość, choć nadal

bardzo płytką. Kiedy więc otrzymasz imię, możesz udawać, że jesteś bardziej ludzki.

Chłopiec rzuca mi ponure spojrzenie. Sama myśl, że jest to wyraz twarzy rozdrażnionego dziecka, który w innym kontekście byłby całkiem zabawny, wystarcza, by moje serce gwałtownie przyspieszyło.

— Tess płacze, Davidzie — mówi. — Słyszysz ją?

— Tak.

— Przestała wierzyć, że kiedykolwiek po nią przyjdiesz. A to znaczy, że po nowiu księżycą będzie należała do mnie...

— Nie!

— WYPOWIEDZ MOJE IMIĘ!

Tym razem głos ujawnia całą swoją nienawiść. Słowa opuszczają splekane usta Toby'ego, pozostawiając białe bąbelki śliny.

— Belial.

To ja mówię. Imię demona wycieka spomiędzy moich warg i ulatuje w powietrze niczym skrzydlata istota, która dotąd kryła się we mnie, a teraz w pośpiechu mknie ku swojemu właścicielowi.

— Jestem taki zadowolony — mówi chłopiec. I tak jest w rzeczywistości, głos znów jest taki jak wcześniej. Bezmyślny uśmiech rozciąga szeroko jego usta, jakby ktoś założył na ich kąciki niewidoczne haczyki. — Kiedy na to wpadłeś?

— Myślę, że jakaś część mnie już o tym wiedziała w chwili, kiedy przemówiłeś ustami Tess w Wenecji. Długi czas zajęło mi, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. I zaakceptować.

— Intuicja.

— Nie. Raczej twoja arogancja. Twoja pretensjonalność w okazywaniu uprzejmości. Fałszywe wyrafinowanie.

Chłopiec znów się uśmiecha. Tym razem nie w wyrazie zadowolenia.

— To wszystko?

— I twoja retoryka — ciągnę. Nie chcę przestawać, zależy mi na jego uwadze. — Byłeś najlepszym mówcą spośród wszystkich członków Rady Stygijskiej.

Z przeciwnej strony powstał Belial, który

Więcej miał wdzięku i bardziej był ludzki;

Równie nadobnej postaci Niebiosą

Nigdy nie stracą, zdawał się stworzony

Do czynów szczytnych i wielkich godności.

Lecz fałszem wszystko i pozorem było.

Byłeś dystyngowanym głosem, który uciszył wezwanie Molocha do otwartej wojny i starałeś się przekonać Radę, żeby poczekać, aż gniew Boga złagodnieje, by potem znieacka wziąć szturmem bramy Niebios.

Nasz Wróg potężny nadal na Swym tronie

Nieporuszony będzie i nietknięty.

Miłośnik chwały i pustej erudycji — ciągnę dalej.

Gdyż jego myśli nikczemne krążyły [...]

[...] Jednak

Cieszył on ucho...

To właśnie znaczenie twojego imienia. Belial. „Bez wartości”.

Jego twarz znów niczego nie wyraża. Niezmieniona, zastygła w bezruchu. Chłopiec odpycha się tylko stopami od piaszczystego podłoża pod huśtawką. Ten powolny ruch do przodu i do tyłu zmusza mnie do odwrócenia głowy i śledzenia go wzrokiem. Przyprawiające o zawroty głowy wahadło.

— Ty i John macie ze sobą wiele wspólnego — stwierdza.

— Studiowałem prace Milтона. To wszystko.

— A nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego cię to tak pociąga?

— Każda sztuka jest warta bliższego przyjrzenia się.

— Ale to zdecydowanie coś więcej! On jest autorem największego zapisu dotyczącego niezgody w historii. Buntu! To dlatego w swoich wersetach John przejawia taką sympatię do mojego pana. Jest po naszej stronie, choć w tajemnicy, nieświadomie. Tak jak ty.

— Mylisz się. Ja nigdy nikogo nie skrzywdziłem.

— Tu nie chodzi o krzywdę, Davidzie. Przemoc i przestępczość to zaledwie okruchy zła, które w obliczu ducha są niczym. A tym, co łączy ciebie i Johna, jest duch oporu.

— Oporu przeciwko czemu?

Chłopiec nie odpowiada. Kołysze się do przodu i tyłu. Nie odpycha się nogami ani nie dotyka stopami ziemi. Wzrok utkwił we mnie. Powtarzające się skrzypienie

łańcuchów kojarzy się z zadawaniem bólu.

— Przez całe swoje dorosłe życie badałeś kwestie religijne. Chrześcijaństwo. Prace apostołów. A mimo to nie wierzysz w Boga — zauważa dopiero po dłuższym czasie, po czym znów milknie na chwilę.

Nie, to coś więcej niż chwila. To otwierająca się szczelina w czasie. Upadek.

Jeszcze parę minut temu siedzieliśmy na płóciennych siedzeniach huśtawek na przedmieściach florydzkiego miasta. Teraz, kiedy podnoszę wzrok, widzę, że choć nadal jesteśmy na placu zabaw, naszą małą połąć piasku otacza las. Łyse drzewa stoją zbyt blisko siebie i umierają z pragnienia na ziemi wyschniętej na popiół. Próbuje coś zobaczyć między pniami, ale dostrzegam tylko kolejne powykręcane drzewa porastające płaski i niekończący się teren. To wizja lasu po drugiej stronie rzeki, którego tak bardzo baliśmy się z bratem, kiedy byliśmy dziećmi. Nietkniętego, głuchego, w którym nigdy nie zabrzmiał ptasi śpiew. Słyszę tylko głos chłopca szepczącego w mojej głowie.

*I rzekł Bóg do szatana: Skąd przychodzisz?*¹

Choć tego nie widzę, czuję, że coś obserwuje nas pośród drzew. Jest tak gęste, że zagina powietrze niczym boczna grawitacja, która wciąga i rozpycha wszystko wokół. Niczego nie wyraża w swym opuchniętym milczeniu, ale tkwi nienasycony, poza czasem. Wędruje po tej ziemi, bez celu. Żarłoczny w swoim żalu.

*Szatan odrzekł Panu: Przemierzałem ziemię i wędrowałem po niej.*²

Przenoszę spojrzenie z powrotem na piasek pokrywający plac zabaw. Próbuje go tam utrzymać. Nie dopuszczam do siebie niczego poza słowami chłopca, teraz wypowiedzianymi na głos.

— Dlaczego nie? — mówi, podejmując wątek, jakbym to ja zatrzymał czas i teraz przywrócił go z powrotem. — Dlatego że nie możesz zaakceptować świadomości jego absolutnej boskości! Zbyt wiele wycierpiałeś po drodze, w swojej melancholii, aby służyć bez wahania wiecznie kochającemu i wiecznie ciemiężącemu Panu. Jego dobroć to inne określenie Władzy, pisemne polecenie pod nieobecność ojca. Twój krytyczny umysł nie daje ci wyboru, żeby to ujrzeć. I tym właśnie przypominasz mi Johna.

Chłopiec patrzy w niebo. W pierwszej chwili jestem wdzięczny, że w końcu oderwał ode mnie wzrok. Ale wtedy zaczyna mówić innym głosem — tym

prawdziwym, wilgotnym i pełnym nienawiści sykiem. Wiem, że właśnie tego, a nie jego spojrzenia, nigdy nie będę w stanie zapomnieć. Ten głos, cytujący poetę, będzie narratorem wciąż powracających koszmarów.

[...] Czynić dobrze

Nigdy nie będzie już naszym zadaniem,

Azła czynienie jedyną pociechą;

Jako że będzie to przeciwne woli

Najwyższej Tego, któremu stawiamy

Opór.

Kiedy kończy, chłopiec znów patrzy na mnie. Jego głos znów zmienia się w ten, który wybrał, żeby przemówić do mnie na początku.

— Dzielny opór. To nas ze sobą wiąże, Davidzie.

— Nie jestem z tobą.

— Ależ jesteś! — Chłopiec mówi to, zanim jeszcze wypowiadam ostatnie słowo.

— Zawsze o tym wiedziałeś. John był z nami od samego początku, podobnie jak ty.

— To kłamstwo.

— Czyżby? Jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa tonie w morzu. Jego pierwsza żona opuszcza go niedługo po ślubie. Wydalony z Cambridge za kłótnię z nauczycielem. Pobyt w więzieniu za poglądy niezgodne z panującą religią. John był, podobnie jak ty i ja — jak mój pan, jego najwspanialej nakreślony bohater — przeciwny służalczości. Buntownik wrażliwy na wszystkie poniesione straty i niesprawiedliwości w życiu. *Raj utracony* to najcudowniejsza błędna interpretacja, nie sądzisz? Jest rzekomo usprawiedliwieniem relacji między Bogiem a człowiekiem, ale tak naprawdę stanowi usprawiedliwienie dla niezależności. Dla wolności. W swoim czasie było to najwspanialsze dzieło tego, co można by określić mianem demonicznej propagandy. Moim arcydziełem.

— Twoim arcydziełem?

— Każdy poeta ma swoją muzę. Ja byłem muzą Johna. A może nawet kimś więcej. To ja dałem mu słowa, a on tylko się pod nimi podpisał.

— Twoja arogancja całkowicie cię zaślepiła.

— Zaślepiła! To John był ślepy, kiedy pisał swój poemat! Zapomniałeś już? To wtedy poprosił o pomoc. Błagał otaczającą go ciemność o inspirację. I wtedy przybyłem! Tak! Przybyłem i wyszeptąłem mu do ucha swoją słodką nicość.

Diabeł kłamie, Davidzie.

— Gówno prawda.

— Proszę zważać na język, profesorze. Profanacja to zawody, w których nigdy ze mną nie wygrasz.

Na skraju piasku, na którym stoją huśtawki, dwie mewy walczą o coś, co w pierwszej chwili przypomina stertę kurzych kości. Malutkie żebra i czaszka. Nie było ich tam wcześniej. Nie było kurzych kości.

Ptaki wydziobują sobie oczy, atakują szyje i wrywają pióra. Drzewa mrowią się przy nich, jakby oglądały pierwszą krew.

Toby unosi rękę i przesuwają ją w powietrzu. Mewy odlatują z łopotem skrzydeł. Ich skrzeki łączą się z dźwiękami wydawanymi przez inne z głębi lasu.

— Wiem, co sobie myślisz — oznajmia chłopiec. — Jeśli to ja byłem głosem w uchu Johna, to dlaczego przedstawił nas w tak nieprzychylnym świetle? Znasz odpowiedź, profesorze. Ograniczały go czasy, w których żył. Wychwalanie wprost szatana i jego upadłych aniołów byłoby niezgodne z prawem, wręcz niemożliwe. Dlatego nazwał nas zatem antagonistami, podczas gdy tak naprawdę stał po naszej stronie. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Kto jest jego prawdziwym bohaterem? Bóg? Adam?

— Szatan.

— Owszem, jak nieustannie i z pasją przekonywałeś samego siebie w swoich imponujących esejach.

— To tylko prace akademickie.

— Ale ty w to nie wierzysz! Po co w takim razie miałbyś poświęcać swoje życie temu stanowisku? Po co przekonywałeś swoich kolegów i indoktrynował studentów do czegoś, co w czasach Johna nazwano by bluźnierstwem? Dlatego, że trzymasz z nami, Davidzie. I daleko ci do samotności.

Jego wypowiedź — pokrętna logika jego retoryki — wzbudza we mnie taką dezorientację, że patrzę w dół, upewniając się, że moje stopy pozostają na ziemi, utrzymują mnie w jednym miejscu. Ale czym jest tutaj „ziemia”? Co oznacza „pozostają”? Wystarczy, że spojrzę na chłopca, a wrażenie falowania powraca. Jak choroba morska na lądzie.

— Dlaczego Tess? — pytam, usiłując przełknąć ślinę w zaschniętym gardle. — Dlaczego ja?

— Trzymam ją przy sobie, żebyś skupił się na zadaniu. Każdy poeta, każdy, kto

opowiada jakąś historię, potrzebuje motywacji.

— Tak właśnie mnie postrzegasz?

— To, co nazywasz dokumentem, jest dowodem naszego istnienia. Ale ty, Davidzie, jesteś moim posłańcem. A posłanie jest twoim świadectwem. Wszystkim, co widziałeś. Co czułeś.

To nie huśtanie się przyprawia mnie o mdłości. To cały świat, cały ten uschnięty ogród wiruje wokół mnie.

— Pozwolisz mi ją zobaczyć? Porozmawiać z nią?

— To jeszcze nie koniec twojej wyprawy, Davidzie.

— Powiedz mi zatem, dokąd mam się udać.

— Już to wiesz.

— Powiedz, co mam zrobić.

— Zostaw tę kobietę i zakończ swoją wędrówkę.

— Bo wędrowcy w końcu odnajdują drogę do ciebie?

— To nie poddania oczekuję! Nie jestem twoim ciemną, a wyzwolicielem. Nie widzisz tego? Jestem twoją muzą, tak samo jak w przypadku Johna.

Jakaś część mnie wie, że w jego argumentacji jest pewna słabość. Nie potrafię jednak uchwycić tego, co mi chce przekazać, jakby ciężkostrawne jedzenie leżało mi na żołądku. Nie mam wyboru, muszę dalej rozmawiać. Pytać. Staram się nie myśleć o głodnej istocie w lesie, która wyszła z lasu, by się pokazać. Nie muszę podnosić wzroku, by o tym wiedzieć. Zbliża się.

— Propaganda — mówię. — Tak postrzegasz ten dokument, prawda? Tak postrzegasz mnie. Mogę pomóc ci w dokonaniu czegoś, czego sam dokonać nie możesz.

— Bitwa o Niebo nigdy nie rozgrywała się w piekle ani na Ziemi. Pole walki znajduje się w umyśle każdego człowieka.

— „Umysł jest dla siebie / Siedzibą, może sam w sobie przemienić / Piekło w Niebiosa, a Niebiosa w Piekło”.

— Milton to dostrzegł. Podobnie jak drugi Jan.

— *Księga Objawienia*.

— Księga, której nie należy traktować zbyt dosłownie.

— A jak wygląda twoja interpretacja?

— Antychryst przybędzie, niosąc ze sobą broń opartą na perswazji, nie zniszczeniu — mówi chłopiec, a jego głos staje się silniejszy i głośniejszy. —

Bestia nie wynurzy się z mórz, ale z człowieka. Z każdego z was, po kolei, i to w sposób związany z waszymi obawami, frustracjami. Z waszym żalem po stracie.

— Szykujesz się do kampanii.

— Do krucjaty!

Chłopiec otwiera usta, jakby zamierzał wybuchnąć śmiechem, ale nie wydaje żadnego dźwięku. Jest to umiejętność, którą posiadał pierwotny Toby, ale ten, który posiadał jego ciało, nigdy jej nie poznał.

— Objawienie jest wizją przyszłości człowieka — mówię, kombinując na bieżąco. — Ale Mateusz oferuje wizję twojej przyszłości. „Zaczęli krzyczyć: «Czego chcesz od nas, Synu Boży? Przyszedłeś tu przed czasem dręczyć nas?»”³. Twoja krucjata zakończy się klęską. To zostało przepowiedziane. Czas. Twoim przeznaczeniem jest śmierć w jeziorze płomieni.

Chłopiec mruga oczami w reakcji na moje słowa. Pod jego oczami pojawiają się ciemne plamy, jakby zamierzał się rozplakać. Po raz pierwszy wygląda jak prawdziwy chłopiec.

— Zanim to się stanie, jest tyle do zrobienia.

— Ale tak się to skończy. Nie możesz temu zaprzeczyć.

— Kto może zaprzeczyć woli Ojca Niebieskiego? — syczy chłopiec.

— Przegrasz.

— Umrę! To łączy mnie z tobą. Z całą ludzkością. Wszyscy jesteśmy świadomi naszej śmierci. Ale Bóg? Oczywiście, jego to nie dotyczy! Wieczny. Obojętny. Czysta boskość to chłód, Davidzie. Dlatego przyjmuję śmierć. Przyjmuję ciebie.

Przez chwilę jestem przerażony, że przyciągnie mnie do siebie. Próbuje wstać, by znaleźć się z dala od niego, ale siedzę zmrożony na huśtawce, kurczowo trzymając się jej łańcuchów.

Jednak chłopiec nie próbuje mnie chwycić. Po raz kolejny na jego twarzy pojawia się ten pusty uśmiech.

— Miałem nadzieję, że docenisz mój dar.

— Nie wiem, o czym mówisz — odpowiadam, choć mijam się z prawdą.

— Mężczyzna, który cieszył się twoją żoną w sposób, jakiego ty nigdy nie znałeś. Ale nie ma się co martwić. Profesor Junger już nigdy więcej nie sprawi nikomu przyjemności.

Chłopiec szczyrzy zęby.

— Zapowiada się parny dzień — mówi głosem Willa Jungera.

Gdzieś w pobliżu rozlega się łoskot i odgłos ocierania się czegoś ciężkiego o powalone drzewa. Być może jest ich więcej, choć łączy je jeden umysł.

— Czy dobrze cię zrozumiałem? — mówię w nadziei, że nowe pytanie usunie przerażający kształt rozdziawionych ust chłopca. — Postrzegasz mnie jako krzyżowca? Dla ciebie? Dla twojego pana?

— Czasy się zmieniły, od kiedy John napisał swój poemat — szepcze chłopiec z nostalgią. — Teraz żyjemy w Epoce Dokumentowania. Ludzie wymagają weryfikowalności. Bezpośredniej prawdy. Teraz nie poemat może zaświadczyć o naszym istnieniu, lecz dowody. Ale i to nie wystarczy. Potrzebujemy cię, Davidzie. Osobistego przedstawiciela. Ludzkiego głosu, który za nas przemówi.

— I oświadczy, że na świecie istnieją prawdziwe demony.

— To stara historia — mówi, zeskakując z huśtawki. — Ale za to prawdziwa.

Oddała się. Przestrzeń wypełniła chłód, który wzbudził swoim odejściem.

— Zrobię to! Proszę! Tylko ją wypuść!

Kiedy podnoszę wzrok, mroczny las znika. Widzę plac zabaw otoczony ogrodzeniem z łańcucha, a w oddali ciągną się sklepy z opuszczonymi żaluzjami. Klimatyzatory pomrukują gardłowo niczym chór gregoriański.

Chłopiec się odwraca. Choć nic nie zmieniło się w jego obliczu, teraz jeszcze bardziej wyczuwa się nienawiść, która w nim drzemie. Jest naprawdę niedaleko, a załona jego uroku opadła, ukazując coś znacznie bliższego jego prawdziwej naturze. Wiedza, w jaki sposób sprawić najdotkliwszy ból, jak ostrze rozcinające nerwy. Kwaśny smród rozkładu.

Pachniał czymś, co było w ziemi.

— Masz jeszcze jedną rzecz do odkrycia. Ostatnią prawdę. Twoją prawdę, Davidzie.

Chłopiec odchodzi. Obserwuje mnie, mimo że jego głowa jest odwrócona. Dziecko, którego cień rozciąga się na trawie niczym cień bestii.

1. Księga Hioba 1,7 (przyp. red.).

2. Księga Hioba 1,7 (przyp. red.).

3. Ewangelia wg św. Mateusza 8,29 (przyp. red.).

Dopiero kiedy przekraczamy granicę stanu Florydy i wjeżdżamy do Georgii, O'Brien pyta mnie, skąd mam pewność, że Toby skierował mnie do Kanady.

— To nie był Toby — odpowiadam.

— Skąd wiesz w takim razie?

— Powiedział mi to Kevin Lilley.

— Davidzie, to niemożliwe.

— Dlaczego nie?

— Ten chłopiec nie może mówić.

— Do mnie przemówił.

— Cóż, ja tego nie słyszałam.

— Bo nie miałaś usłyszeć.

Przez moment na twarzy O'Brien pojawia się grymas zazdrości. Próbuje to przede mną ukryć, spoglądając przez boczną szybę, ale i tak udaje mi się to wychwycić. Nie da się zdobywać stypendiów, grantów i stanowisk naukowych, nie konkurując z innymi.

— Belial kazał Kevinowi coś zapamiętać. Coś, co zdołał do mnie wyszeptać — podejmuję z nadzieją, że ukrytym pytaniem przyciągnę z powrotem uwagę O'Brien. Udaje mi się.

— *Raj utracony* — mówi. — Które wersety?

— „Loch ów straszliwy kręgiem go otacza / Jak palenisko rozległe, płonące...”

— „... Jednak nie pada blask z owych płomieni / Lecz raczej ciemność widoma”.

— Właśnie te.

— Nie rozumiem. Zmierzamy do lochu? Do paleniska?

— Apartament to zapewne nie jest.

Wyjaśniam jej, że za pierwszym razem również nie zrozumiałem. Nie padło żadne zamaskowane poezją słowo, które mówiłoby o miejscu docelowym, o mieście czy stanie. Wiedziałem jednak, że niezależnie od lokalizacji ma to związek ze mną. Pożegnalne słowa Toby'ego tylko to potwierdziły.

Twoja prawda, Davidzie.

— Jeśli to dotyczy ciebie osobiście, to dotyczy również mnie — rzuca O'Brien, po czym się zamyśla. — „Jeśli mnie nie znacie, dowód to tylko, że najmniejszymi jesteście”. Pamiętasz?

— Pamiętam.

— Jak nasze dwa żywoty mogą prowadzić do tej samej prawdy?

— Nie mam pojęcia. Myślę jednak, że wiem, gdzie to się stanie.

Wyrecytowane przez Kevina słowa opowiadają o szatanie przemierzającym piekło, swój nowy dom. A przy tym więzieniu. Rzeczony loch, choć niekoniecznie w rzeczywistej postaci, miejsce opisywane często jako jezioro płomieni.

— Kiedy o tym pomyślałem, od razu wiedziałem, że o to chodzi — stwierdzam.

— Świetnie, ale nadal nie pomagasz.

— Jezioro. Ogień. Kiedy byłem dzieciakiem, przez kilka lat mieszkaliśmy w drewnianej chacie. Jeden ze skutków inspirowanego whisky bezrobocia mojego ojca.

— Chata przy jeziorze — rzuca O'Brien, uderzając pięścią w deskę rozdzielczą. — Niech zgadnę. Ta, która spłonęła?

— Częściowo masz rację. Chata przy rzece, która wpływa do jeziora Fireweed.

— Rzeka, w której utonął twój brat.

— Nigdy ci nie mówiłem, że utonął.

— Ale mam rację, prawda?

— Tak.

— W porządku — mówi, ścisząc głos do łamiącego się szeptu. — Uznajmy, że jestem przekonana.

Proszę O'Brien, aby poprowadziła przez jakiś czas, udając, że chcę się przespać na siedzeniach z tyłu. Kiedy już tam jestem, otwieram dziennik Tess w miejscu, w którym przerwałem ostatnim razem. Czytam jej słowa nie tylko z myślą o treści, ale również o kształcie liter, ślady jej ekspresji. Myślę o jej dłoni przesuwającej się po kartce. Cięż obecności, którą można niemal dotknąć, niemal zmaterializować.

Tata zawsze opowiada mi o czasach, kiedy byłam mała. Nie pamiętam tych szczegółów ze względu na wiek, ale teraz, kiedy słyszałam je już tyle razy, zmieniły się w moje wspomnienia.

Na przykład to.

Kiedy nie miałam jeszcze skończonych dwóch lat, wdrapywałam się wczesnym rankiem do łóżka do

mamy i taty. Tata zawsze budził się pierwszy. Starał się nie budzić mamy, więc to on zwykle zabierał mnie do łazienki, nalewał owsiankę itd. itp. Mówił, że to jego ulubiona pora dnia. Ale to samo powtarzał, kiedy czytał mi bajki na dobranoc. I kiedy widział moją twarz, odbierając mnie z przedszkola. I kiedy siedzieliśmy razem przy stole, jedząc kanapki z tuńczykiem. I kiedy czesał mi włosy po kąpieli.

Tak czy inaczej, budził się pierwszy, a ja leżałam, PATRZĄC na niego z odległości kilku centymetrów (tata zawsze powtarzał, że to wystarczająco blisko, by posmakował mojego oddechu. A jak on smakował? Tata mówił, że ciepłym chlebem).

Każdego dnia zadawałam mu to samo pytanie:

„Jesteś szczęśliwy, tato?”

„Jestem szczęśliwy w tej chwili”, odpowiadał za każdym razem.

Najzabawniejsze jest to, że wciąż chcę zadawać mu to samo pytanie. Nawet w tej chwili. Nie dlatego, że jestem ciekawa odpowiedzi. Chcę go uszczęśliwić, pytając. Chcę oddychać obok niego. Chcę, żeby to czuł.

I wtedy, pośród podobnych wpisów, dostrzegam coś dziwnego.

Zdania, które nie pasują do poprzedzających czy po nich następujących. Drugi głos. Potężniejszy od pierwszego.

Tata myśli, że zdoła uciec przed tym, co go ściga. Może nawet w ogóle tego nie dostrzega albo powtarza sobie, że tego nie widzi. **TO NIE MA ZNACZENIA** To idzie po niego tak samo jak po mnie.

Widziałam raz dokument o niedźwiedziach grizzly. Mówili tam, że jeśli napotka się niedźwiedzia w lesie, nie wolno uciekać, ale stać w bezruchu. Mówić do niego. Ucieczka czyni cię ofiarą. Pożywieniem.

Ci, którzy uciekają, nigdy nie przeżywają.

Ale może kiedy się z tym spotkasz, zdołasz pokazać, że się nie boisz. Kupisz sobie odrobinę więcej czasu. Znajdziesz ostateczną drogę ucieczki.

Kiedy nadejdzie pora, nie ucieknę. Będę patrzyła mu **PROSTO W OCZY**. Może to wystarczy, żeby dać tacie szansę.

Bo jeśli niedźwiedź nie zabierze jednego z nas, to zabierze nas oboje.

Skąd Tess o tym wszystkim wiedziała? Jakim cudem dostrzegła to, co ukryłem tak głęboko, że sam tego nie widziałem? Zawsze miałem świadomość naszej bliskości, ilości niewypowiedzianych słów, które wymienialiśmy, siedząc przy stole, lub kiedy spoglądałem na nią przez wsteczne lustro. Mimo to sądziłem, że nie jesteśmy bardziej wyjątkowi niż inni bardzo ze sobą związani ojcowie i córki, którzy uważają się dzięki temu za największych szczęściarzy na świecie.

Wygląda na to, że potrafiła odbierać dużo głębsze sygnały. Dostrzegała, jak wspólnie dzielimy się niechcianym podarunkiem melancholii, brzemieniem Czarnej Korony, która otworzyła drzwi dla innych rzeczy, przychodzących i odchodzących. Dla istot, noszących zwykle miano duchów, ale cięższych i bardziej niszczycielskich niż niematerialne byty, z którymi kojarzy się to słowo. Dla istot, które już dawno temu oddzieliły się od swoich ciał, a teraz z dzikością rozszalałych zwierząt poszukują nowej skóry, obojętne na krzywdy, które przy tym wyrządzają. Co więcej, znajdują przyjemność w zadawaniu bólu, w momencie kiedy ponownie wślizgują się w żywych. To, co za sobą pozostawiają, już nigdy nie będzie takie samo — ludzie o pustym, niewidzącym spojrzeniu.

To wszystko sprawia, że zaczynam myśleć o ojcu. To, co nazaczyło Tess i mnie, nazaczyło również jego. Człowiek, który smucił się, zanim cokolwiek stracił, który cierpiał bez żadnych podstaw do cierpienia. Przez swój dystans do nas, swojej rodziny, przez przenoszenie się z miasta do miasta, wreszcie przez alkohol, próbował uciec przed prześladowającym go niedźwiedziem. I ostatecznie Tess miała rację. Ci, którzy uciekają, nie przeżywają.

Może ja też przez cały czas uciekałem. Ale to się już skończyło.

Dzwonię do żony z męskiej toalety w KFC.

Nie, żebym miał jej wiele do powiedzenia — zbyt wielu rzeczy nie dałoby się po prostu wypowiedzieć — ale pojawiła się jakaś nieodparta chęć, żeby spróbować. Siedzę w kabinie na zamkniętej klapie sedesu i czytam w milczeniu najsprośniejsze graffiti, jakie kiedykolwiek widziałem. W tych warunkach wydaje się dziwnie stosowne.

Słyszę głos Diane. Nie zmieniła nagrania od Wenecji, więc nadal słysząc w nim lekkość, niemal flirciarską obietnicę. Teraz nagranie brzmiałoby zupełnie inaczej.

„Tutaj poczta głosowa Diane Ingram. Zostaw wiadomość po sygnale”.

— Hej, Diane. To ja. Nie wiem, czy jeszcze uda mi się zadzwonić po...

Po czym? Po czymś ostatecznym, czymkolwiek to jest. Powinienem chyba w końcu się pożegnać? A może jest już na to za późno...

— Przepraszam. Cholera! Gdybyś zarabiała centa za każdym razem, kiedy to ode mnie słyszysz, byłabyś milionerką... Ale chyba nie da się tego ująć inaczej. W tym zawiera się wszystko. Tess. Ty i ja. Will. Słyszałem o wypadku, i wierz mi lub nie, ale jest mi naprawdę przykro.

Drzwi do łazienki się otwierają i wchodzi ktoś, kto zamierza umyć ręce. Kran

zostaje otwarty na pełen strumień. Pyska kropelkami na podłogę, co widać spod drzwi kabiny.

— Diane. Posłuchaj... — zaczynam, ścisząc głos. Powstrzymuje mnie jednak myśl, że ktoś słyszy coś, czego nawet nie potrafię sklecić. Czekam, aż facet przy zlewie skończy myć ręce. Ale nie kończy. Woda nadal spływa do zlewu. Krople łączą się w kałuże na kafelkach.

— Mam nadzieję, że znajdziesz sposób, by znów być szczęśliwą — szepczę. — Mam nadzieję, że tego też ci nie odebrałem.

Też? Co ja chciałem przez to powiedzieć? Odebrałem jej szczęście wraz ze zmarnowanymi latami naszego małżeństwa? I córkę?

Facet po drugiej stronie drzwi odchrząkuje. Potem słyhać, jak bierze świszczący wdech. Zaczyna się śmiać.

Otwieram gwałtownie drzwi kabiny. Woda wciąż leci pełnym strumieniem, lustro pokrywa para. Ale nie dostrzegam nikogo.

Wybiegam na korytarz, żeby przytulić się do ściany, poczuć jej chłodną realność na policzku. Niektórzy z gości siedzących przy plastikowych stolikach i wydłubujących kawałki kurczaka z kubelków spoglądają w moją stronę. Kiedy gryzą mięso, na ich twarzach pojawiają się jasne komunikaty: „naćpany”, „wariat” lub „trzymaj się facet z daleka”.

Zerkam na telefon i się rozłączam. Niemal trzyminutowa wiadomość. Pierwsza połowa to nieudolnie dukane przeprosiny, druga to strumień płynącej wody i na koniec śmiech czegoś martwego.

Co Diane sobie pomyśli? Dojdzie pewnie do podobnego wniosku jak ci wszyscy kurczakożercy. Że komuś takiemu jak ja nie można pomóc.

Najzabawniejsze jest to, że to ja chciałem pocieszać. To ja chciałem brzmieć jak ktoś zdrowy na umyśle.

Kiedy wjeżdżamy do Tennessee, O'Brien śpiewa kilka wersów z *Chattanooga Choo Choo*, które zdołała sobie przypomnieć. W rzeczywistości Chattanooga okazuje się kolejnym zbitkiem przydrożnych moteli, pozamykanych na kłódkę fabryk i magazynów. Po tym paskudnym wprowadzeniu zaczynamy dostrzegać prawdziwe miasto. Dzielnice wypełnione rodzinami nękanymi tymi samymi przypadłościami i niepokojone przestępstwami. W takich dzielnicach mieszkaliśmy i przez to wydają się one jeszcze bardziej realne. Ludzie, którzy — z tego co mi wiadomo — prowadzą podobne poszukiwania, które nie mają szans się powieść. Rozmawiają ze zmarłymi

i modlą się to tego, kto ich wysłucha.

Odbędzie się

pewna impreza na stacji...

Niedługo później asfaltowa wstęga wbija się w Appalachy. Nikt nie zwalnia tempa, więc suniemy za konwojami osiemnastokółowców wzdłuż nudnych klifów. Nikt nie wygląda na bardziej obojętnego niż my. Zmieniamy się za kółkiem w nocy, zagryzamy tacos i coś, co po dolaniu wody znów wygląda jak kurczak, a następnie splukujemy to kawą o niemal stałej konsystencji, utrzymanej dzięki słodzikowi Sweet'N Low.

Od czasu do czasu O'Brien zagaduje o mojego ojca. Staram się wtedy przypomnieć sobie więcej, niż jej mówię.

Kiedy zmarł, byłem jeszcze dzieckiem, więc potrafię przywołać jedynie pojedyncze obrazy, smak atmosfery pozostałej po jego mrocznych nastrojach podczas miesięcy zbliżających nas do dnia wypadku mojego brata. Zważywszy na moje ostatnie doświadczenia, wymaga to dużo wnikliwszej analizy. Opowiadam, że choć ojciec nigdy nie był religijny, czytał Biblię od deski do deski tylko po to, by rozpocząć od nowa. Miewał okresy długiego milczenia. Kiedy przerywał swą pracę — kosił trawnik, mieszał kawę w kubku — i wydawał się słuchać poleceń, których żaden z nas nie słyszał. I te jego spojrzenia. Przede wszystkim one. Sposób, w jaki na mnie patrzył — nie z dumą czy uczuciem, ale z dziwnym apetytem.

Opowiadam O'Brien o sprawach codziennych. O jego depresji, alkoholizmie, kolejnych utratach pracy. O tym, jak prosił mnie, żebym nie był taki jak on. Dopiero ostatnio zdałem sobie sprawę, że mi się to udało.

— Jest w tobie więcej z niego, niż ci się wydaje — oznajmia O'Brien. — Dlatego mamy się z nim spotkać.

— Mimo że nie żyje?

— Nic nie wskazuje na to, by specjalnie go to powstrzymało, prawda?

— Nie tylko jego.



Nie powiedziałem O'Brien wszystkiego.

Nie dlatego, że mogłaby mi nie uwierzyć. Nie powiedziałem jej dlatego, że to sprawy między mną a Tess. Ujawnienie ich mogłoby zerwać tę ciekawą nici, która nadal nas łączy. Wypowiedzenie tych słów na głos mogłoby sprawić, że Belial dowiedziałaby się o istnieniu tej cienkiej nici.

Nie mówię O'Brien o wszystkich powodach, dla których musimy pojechać do starej chaty przy rzece. Nie mówię o wpisie w dzienniku Tess, w którym moja córka wspomina o śnie, który nie jest snem.

Stoję na brzegu rzeki wypełnionej ogniem.

Tess została zabrana na drugi brzeg, na który nigdy się z bratem nie zapuściliśmy. Nie rozmawialiśmy o tym, ale obaj wiedzieliśmy, że to złe miejsce. Drzewa rosły tam pochyło, a ich liście tak naprawdę nigdy nie odrastały latem, przez co las zawsze sprawiał wrażenie wygłodniałego.

To samo miejsce pokazał mi Belial, kiedy siedziałem na huśtawce w Jupiterze. Plac zabaw otoczony ciemnym lasem. Wyłaniająca się z niego bestia.

Rzeka stanowi granicę między nim a Tamtym miejscem.

I moja córka po niewłaściwej stronie. Słyszysz, że ją szukam. Że wołam ją po imieniu. Widzi przepływające ciało mego brata.

Jakieś ręce ciągną mnie do tyłu w stronę drzew. Skóra, która smakuje ziemią.

Tess błaga mnie, bym ją odnalazł.

Nie były to słowa wypowiedziane ustami i niesione powietrzem, lecz słowa pochodzące z serca, przenikające przez ziemię, dzięki czemu słyszeliśmy je tylko my dwoje.

Nie wiedziałem dotąd, że to jest właśnie to. Że to, co czasami brałem za tumult w uszach, paplaninę w radio czy szum przesiąknięty spalinami powietrza wpadający przez uchylone okno, to właśnie ona.

Docieramy do Ohio i odbijamy na prowadzącej w kierunku Toledo międzystanową numer 90, dzięki czemu teraz pędzimy wzdłuż podbrzusza jeziora Erie, płaskiego jak folia aluminiowa w nocy. Nieco ironiczny w tej sytuacji znak prowadzący do miejscowości Eden ściąga nas z międzystanowej. Parkujemy przy tylnym skraju parkingu przy restauracji Red Lobster, żeby zdrzemnąć się na pół godziny. O'Brien

cofa fotel i zamyka oczy.

Kiedy O'Brien sapie i świszczy przez sen, ja kartkuję *Anatomię melancholii* Burtona. Przeciagam kciukiem po stronach i pozwalam im przemykać, kiedy nagle książka otwiera się w miejscu zakładki, o której istnieniu nawet nie wiedziałem. Zdjęcie. Zmarszczone na rogach. Białe marginesy pożółkłe od upływu czasu. A na tym zdjęciu ja.

Tak mi się przynajmniej wydaje w pierwszym momencie. Po chwili jednak okazuje się, że to mój ojciec. Jedyne zdjęcie z nim, jakie mam. Wiem o tym, bo od dawna wierzę, że zniszczyłem wszystkie pozostałe. Jestem nieco wstrząśnięty podobieństwem i walczę o oddech podobnie jak O'Brien tuż obok.

Był niemal dokładnie w moim wieku, kiedy wyszedł do lasu ze strzelbą typu Mossberg otrzymaną w prezencie od ojca, żeby wcisnąć sobie lufę do ust na tyle, by wolną ręką sięgnąć do spustu, i wypalić. Na zdjęciu zrobionym na kilka tygodni przed wypadkiem mojego brata wyraz jego twarzy można by uznać za przejaw ojcowskiego zadowolenia. Zmęczony uśmiech taty, który został odciągnięty od zajęć przez żonę, posadzony na krześle przy kominku i sfotografowany jako głowa rodziny w kwiecie wieku.

Bardziej szczegółowe oględziny pozwalają jednak odkryć starania zarówno osoby fotografowanej, jak i fotografującej, żeby zakamuflować pewne szczegóły. Dostrzegam szkliste, ponure oczy oraz ręce zaaranżowane w pozie, którą można uznać za „odprężoną”. Typ człowieka, którego niemal desperacki smutek przejawiał się w najdrobniejszych szczegółach, od półksiężycowatych wgłębień pod oczami po zaczerwienione od łuszczycy kłykcie dłoni.

Już jestem gotów otworzyć drzwi samochodu i pozwolić zdjęciu pofrunąć na beton, kiedy dostrzegam podkreślony fragment na obu stronach, między które wciśnięta została fotografia.

Diabeł jest duchem i ma środki oraz możliwości mieszania się z naszymi duchami, czasami bardziej skrycie, czasami gwałtownie i otwarcie, wprowadzając w nasze serca diabelskie myśli. Obraża i panoszy się w melancholii, w szczególności w zaburzonych fantazjach.

Dlaczego akurat ten fragment? Nie przypominam sobie, by odgrywał jakąś szczególną rolę w moich badaniach. Nigdy też nie cytowałem go na żadnym z moich wykładów. W jakiś sposób jednak pojawił się przed moimi oczami, a ja umieściłem jedyne zdjęcie ojca między stronami w formie zakładki, choć nie wróciłem do niej przez lata.

Uprzednia wiedza. To musiało być to. Przeczytałem te słowa — „melancholia”, „zaburzone fantazje”, „diabeł” — i wysłałem wiadomość w przyszłość, choć wtedy jej jeszcze nie rozumiałem. Zdiagnozowałem ojca dzięki obserwacjom Burtona. Człowiek o umiarkowanych możliwościach, mający więcej szczęścia od innych, a mimo to ruina, świadek śmierci swojego dziecka i ofiara strasznego samobójstwa.

Skąd Robert Burton wiedział tyle na ten temat? Klasztorny akademik z początku siedemnastego wieku? Oto odpowiedź. Pewnie z tego samego źródła, z którego czerpałem ja, klasztorny akademik cztery wieki później. Z osobistych doświadczeń.

O'Brien budzi się z kaszlem. Wsuwam zdjęcie między strony i zamykam książkę.

— Chcesz, żebym usiadła za kierownicą? — pyta, wychwytyjąc chmury zgromadzone w moim spojrzeniu.

— Nie, odpoczywaj — mówię, budząc mustanga do życia. — Poprowadzę aż do końca.

Nie sposób stwierdzić, czy myśli O'Brien pomknęły ku Tropicielowi, ale moje z całą pewnością. Żadne z nas o nim jednak nie wspomniało. Myślę, że przyczyną jest pewna drobna sprawa. O'Brien uratowała mi życie, zrobiła coś, co jeszcze kilka dni temu byłoby nie do pomyślenia. Kiedy usłyszała odgłosy manipulowania przy zamku, wyszła z łóżka i znalazła jedyną broń, jaką mógł zaoferować motelowy pokój. Przyłgnęła do ściany za drzwiami z nadzieją, że nie zostanie dostrzeżona, kiedy on wejdzie do środka. A potem, gdy wyciągnął nóż, zrobiła to, co zrobiła.

Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ten czyn na nią wpłynął. Może martwi się, kogo wyślą za nami tym razem. A może, tak jak ja, kalkuluje tylko, ile pozostało nam czasu.

O zmroku przecinamy granicę w pobliżu wodospadu Niagara. Na prośbę O'Brien parkujemy samochód i poświęcamy kilka minut na spacer, by spojrzeć zza barierki. Gładkie załamanie szerokiej rzeki, która spada i zmienia się w eksplodujący obłok mgły. Jej szarość bardziej kojarzy się nam z dymem niż z wodą.

— To my, prawda? — zagaduje O'Brien, patrząc na wodospad. — Spadamy w dół w beczce.

— Tyle że bez beczki.

O'Brien chwytą mnie za rękę.

— Cokolwiek znajdziemy, dokądkolwiek się udamy, jestem gotowa — mówi. — Nie jestem lekkomyślna, ale... spokojna.

— Zawsze jesteś spokojna.

— Nie mówię o umyśle. Mówię o wszystkim pozostałym.

— To jest nas dwoje.

— Nieprawda. Ty masz Tess.

— Tak. Ale nie przy sobie. To jedyna rzecz, która jest dla mnie pewna. — Przyciągam O'Brien do siebie. — I ty również.

Kiedy mgła znajduje szczeliny w naszej odzieży i zaczyna chłodzić skórę, wracamy do mustanga i ponownie wjeżdżamy na autostradę. Omijamy zachodni skraj jeziora Ontario, brzoskwińowe sady i winnice przylądka, po czym wbijamy się w coraz gęściej zabudowane miasteczka i ośrodki przemysłowe na drodze prowadzącej do Toronto. Rzucamy okiem na miejskie wieżowce i znów skręcamy na północ. Nowe przedmieścia wyglądają staro. Wszędzie rozciągają się pofalowane grunty orne.

Po kilku godzinach pasy drogi zwężają się w niepewnie wyglądającą szosę, która układa się serpentyną wśród lasów i pojawiających się tu i ówdzie skał. Mijamy jeziora w Muskoka słynące z kurortów dla multimilionerów i prywatnych pól golfowych, a po nich grupy dużo tańszych i mniejszych miejsc wypoczynkowych nad wodą. Wkrótce zaczynamy pokonywać tysiące zakrętów wijących się na niezamieszkaną ziemi. Pas mieszanki bitumicznej przecinający krajobraz niekończących się lasów, który nie pozostawia żadnego innego wyboru, jak tylko jazda przed siebie lub zawrócenie. W naszym przypadku nie ma mowy o żadnej decyzji.

Świta już, kiedy zjeżdżamy z drogi i staję na zdrętwiałych nogach, żeby otworzyć metalową bramę w Fireweed Lake Lane. Za nią rozciąga się coś, co można uznać za ścieżkę prowadzącą przez zarośla, dwie koleiny w ziemi pod gałęziami wymieniającymi uściski rąk w górze nad tą luką. Drzewa rosną tu tak gęsto, że spowijają drogę zielonkawym mrokiem.

— Jak daleko musimy jeszcze jechać? — pyta O'Brien, kiedy wracam do samochodu.

— Jakieś pół kilometra. Może kawałek dalej.

O'Brien pochyla się w moją stronę. W pierwszej chwili wydaje mi się, że chce mi coś szepnąć do ucha, ale ona mnie całuje. Prawdziwy, niemal ciepły pocałunek w usta.

— Czas się przekonać, co chce nam pokazać — mówi.

W ciągu ostatnich godzin jej skóra naprężyła się na policzkach i podbródku.

Straciła kilka kilogramów pomimo stałej diety opartej na cheeseburgerach i waniliowych shake'ach. Mimo to nadal tu jest. To, co z niej zostało — esencja Elaine O'Brien, patrząca mi w oczy.

— Ja...

— Już ci mówiłam. Wiem o tym — wtrąca, prostuje się w fotelu i wbija wzrok w cieniste drzewa. — Jedźmy już.

Mustang zjeżdża z pobocza i natychmiast pochłania nas zieleń.

Przypominam sobie, jak pokonywałem tę trasę na tylnej kanapie należącego do mojego ojca buicka — wykańczanego drewnianymi panelami potwora, który z łatwością radził sobie z błotem i kamieniami dzięki ówczesnej konstrukcji zawieszenia. Mustang, dla odmiany, pozwala nam poczuć każdy wstrząs i niepokoić się o każdy obrót koła.

W końcu pokonujemy ostatni fragment gruntowej drogi i rozciąga się przed nami widok na starą chatę Ullmana. Tak naprawdę to nigdy nie była ona nasza. I tak naprawdę to nie jest to nawet chata, a bungalow o pokrytych aluminium ścianach z zezującymi, zasłoniętymi przez firanki oknami po obu stronach drzwi wejściowych. To taki rodzaj pospiesznie skleconego domku, jakie widać na przedmieściach miast fabrycznych, tyle że ten znalazł się w lasach północnego Ontario, jakby przeniosło go jakieś tornado i wszyscy o nim zapomnieli.

Wysiadamy z samochodu i opieramy się o niego przez chwilę, wdychając zaskakująco chłodne powietrze i rozprostowując nogi. Na pokrytej liśćmi polance nie ma żadnych innych śladów opon. Żadnego znaku, który świadczyłoby o tym, że ktoś był tutaj w ciągu ostatnich tygodni, a nawet wcześniej.

— Co teraz robimy? — pyta O'Brien.

— Chyba się po prostu trochę rozejrzymy.

— A czego powinniśmy wypatrywać?

— To nie ma znaczenia. On sam nas znajdzie.

Przednie siatkowe drzwi, umieszczone na zawiasach tylko w dolnej części, otwierają się na skutek powiewu wiatru, protestując z jękiem. Idę w ich stronę bez żadnego wyraźnego zamiaru otwarcia drzwi za nimi. Ale to właśnie próbuję zrobić. Naciskam klamkę i opieram się o nie barkiem na wypadek, gdyby okazały się zablokowane w futrynie.

— Zamknięte — oznajmiam.

— Nie ma tylnego wejścia?

— Pewnie też jest zamknięte.

— Tak czy inaczej, sprawdźmy.

Mijamy z O'Brien narożnik domu i niespodziewanie rozciąga się przed nami rzeka — siedemdziesiąt metrów niżej za porośniętym rzadko młodymi drzewkami trawiastym zboczem. Prąd wydaje się silniejszy, niż sobie przypominam. Na środku tworzą się wiry, a ku brzegowi uciekają przypadkowe odgałęzienia. Przeprawa nie jest szeroka — może jakieś trzydzieści metrów — ale nie chciałbym tego próbować. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek kiedykolwiek próbował.

Po drugiej stronie rzeki rośnie ciemny las. Dziko powykrzywiane suche drzewa zdają się warczeć.

— Masz rację — oznajmia O'Brien po mojej lewej stronie, grzechocząc klamką tylnych drzwi nad drewnianym podestem pokrytym pleśnią. — Zamknięte na amen.

Niedaleko moich stóp dostrzegam kamień wielkości piłki futbolowej. Unoszę go oburącz i dołączam do O'Brien.

— Po prostu wyważmy je — mówię, po czym opuszczam kamień na klamkę, która natychmiast zostaje wybita. Drzwi lekko się uchylają.

O'Brien wchodzi pierwsza. Rozsuwa zasłony i wpuszcza do środka blask dnia. Próbuje włączyć światło, ale bez rezultatu. Wsuwa głowę do łazienki sąsiadującej z kuchnią. Dopiero po chwili wkraczam do wnętrza chaty.

— Wygląda znajomo?

— Ostatnio byłem tu w dzieciństwie — odpowiadam.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Wszystko jest inaczej. W szczegółach. Ale owszem, wygląda znajomo.

— To dlaczego nie wchodzisz dalej?

— Bo śmierdzi tu przeszłością.

— Po prostu brzydko pachnie.

— Bingo.

Wchodzę jednak dalej. I faktycznie brzydko pachnie. Zapach wilgotnego drewna i sosnowych igieł maskuje odór zgnilizny, jakiejś niegdyś żywej istoty, teraz uwięzionej lub otrutej, leżącej gdzieś pod deskami podłogi lub za ścianą. Niemiła niespodzianka dla powracających tu obecnych właścicieli, o ile w ogóle zdecydują się kiedykolwiek wrócić.

I turkusowe ściany w kuchni. Pierwotny kolor straty.

— Wychodzę na zewnątrz — oznajmia O'Brien. Kiedy mnie mija, wygląda na bardziej chorą niż do tej pory.

— Dobrze się czujesz?

— Po prostu trudno mi oddychać.

— Wiem. Wszystko tu cuchnie.

— Nie tylko w środku, na zewnątrz też. — Chwyta mnie za przedramiona. — Z tym miejscem jest coś nie tak, Davidzie.

„Zawsze było”, mam ochotę powiedzieć. Zanim jednak robię jakikolwiek ruch, żeby jej pomóc, O'Brien puszcza mnie i wychodzi na dwór. Słyszę, jak kilkakrotnie wciąga powietrze, stojąc na podeście z dłońmi wspartymi na kolanach.

Teraz ja robię głębokie wdechy. Moje płuca natychmiast wypełnia życie, które za sobą pozostawiłem. Uczucie jest tak intensywne, że powracają wszystkie wspomnienia.

Najpierw pojawia się mój brat. Lawrence. Stoi poza moim zasięgiem i patrzy na mnie z tą samą mieszanką czułości i poczucia obowiązku, jak za życia. Był starszy ode mnie o dwa lata, zawsze wysoki jak na swój wiek, przez co zwykle brano go za bardziej dorosłego, zdolnego do „dawania sobie rady”, jak to ujmował mój ojciec, kiedy to z nim trzeba było dać sobie radę.

Czasami mówił na niego „Larry”. Ja nigdy go tak nie nazywałem. On nie był Larrym, a ja nie byłem Dave'em — obaj pozostawaliśmy zbyt poważni, zbyt zamknięci w sobie, by posługiwać się zdrobnieniami. Nie mam na myśli tego, że Lawrence był tchórzliwym chłopakiem. Kiedy przenosiliśmy się do kolejnych szkół, zawsze bronił mnie przed klasowymi tyranami, wyzwiskami ze strony szkolnych gangów, grzebiąc w ten sposób własne szanse na dołączenie do kogokolwiek. Choć go zapraszano ze względu na krzepką budowę, odmawiał tylko dlatego, żebym nie czuł się samotny.

Kto wie, jak byłby szczęśliwy — jak obaj bylibyśmy szczęśliwi — gdybyśmy mieli innego ojca. Takiego, który nie piłby na umór, niemal z dumą, jak gdyby ktoś namówił go do udziału w samobójczych zawodach w tej dziedzinie, a w przypadku porażki zostałyby potępiony. Poza whisky nieustannie ganiał za coraz niższymi czynszami w coraz bardziej odległych miejscach, angażując się w obniżanie naszych i tak już żebaczych wydatków w taki sposób, w jaki inni ojcowie angażowali się w poszukiwanie lepszej pracy w lepiej sytuowanych miastach.

Matka trwała przy nas, bo go kochała. W ciągu siedemnastu lat, zanim zmarła z przyczyn naturalnych (jak nadal nazywano ówczesnie wywołaną paleniem rozedmę płuc), nie zaoferowała mi żadnej alternatywy. Być może w ciągłym bezruchu utrzymywały ją żal nad samą sobą, poczucie osobistej tragedii i złamane serca

z powodu tego, że wszystko mogło wyglądać inaczej.

Ojciec z kolei, choć nigdy nie znalazł sposobu na to, by nas pokochać — zbyt zajęty unikaniem wierzyteli i chęcią zarabiania marnych pieniędzy za dziwaczne fuchy — nie był specjalnie okrutny. Żadnych klapsów, lania paskiem, zamykania w pomieszczeniach. Tak naprawdę jedyną karą, którą nam serwował, była jego obecność w naszym życiu. Mobilna pustka, która zajmowała miejsce na krzesłach w salonie i przy kuchennym stole bądź leżała na podłodze w łazience.

Nikt wtedy nie traktował depresji jako choroby. Nikt nawet nie nazywał jej „depresją”. Ludzie byli po prostu „nerwowi”, „nie w sosie” lub pozwalali sobie na obumieranie duszy w imię „złamanego serca”. Nasz ojciec, który wciąż targał za sobą sześć kartonów z książkami pozyskanymi z czasów krótkiej kariery nauczycielskiej i uważał się za niedocenionego uczonego, preferował określenie „melancholia” podczas rzadkich okazji, kiedy w ogóle o tym mówił. Jego picie było usprawiedliwieniem, że tylko w ten sposób potrafił trzymać to wszystko w ryzach. Nie wiedziałem o tym do momentu, kiedy po raz pierwszy wypowiedział to właśnie słowo.

Wychodzę na zewnątrz. O'Brien siedzi na podeście i kołysze stopami w trawie.

— Lepiej się czujesz? — pytam.

— To dość trudne pytanie.

— Wolisz zaczekać w samochodzie?

— Tutaj jest w porządku. Muszę się tylko pozbierać do kupy.

— Daj znać, jeśli tylko będziesz mnie potrzebowała.

— Wybierasz się gdzieś? — pyta, unosząc głowę.

— Idę nad rzekę. Rozejrzę się trochę.

— Nie rób tego.

— Dlaczego?

— Ta rzeka...

— Co z nią?

— Ja to słyszę. Głosy. Tysiąc głosów. — Podnosi niepewnie rękę i chwyta mnie za czubki palców. — One cierpią, Davidzie.

Dotykam palcami stóp rzeki, która krzyczy z bólu.

Tess również to słyszała. I choć ja tego nie słyszę, wierzę, że udało się to O'Brien. A to znaczy, że to droga, którą muszę podążać. O'Brien dochodzi do tego wniosku wcześniej niż ja, ponieważ sama puszcza moją dłoń. Opuszcza głowę i dalej patrzy na

swoje stopy.

Droga w dół pozwala się zorientować, że zbocze jest bardziej strome, niż wyglądało z okna chaty. W rezultacie zbliżam się do rzeki szybciej, niż zamierzałem, jakby ciągnął mnie jakiś niewidzialny hol. Ta część terenu była kilkakrotnie karczowana na przestrzeni lat, więc choć las zaczynał już odzyskiwać swoją stratę, nadal można poruszać się po ścieżce, na którą nie pada żaden cień. Przez całą drogę w dół jestem oślepiany blaskiem. Rzeka jest rozświetlana słońcem, przez co jej powierzchnia wydaje się sięgać w moją stronę, a woda płonąć ogniem.

A jednak to tylko rzeka, która przechowuje wspomnienia i głosy tylko w takim stopniu, w jakim my je przechowujemy.

— „Umysł jest dla siebie siedzibą” — wypowiadam na głos.

Magiczne słowa, które przywołują mojego brata. A jeśli nie jego, to wspomnienie jego krzyku.

Schodzę zboczem, którym schodziłem kiedyś. Stoję tam, gdzie stałem jako sześciolatek. Szukam Lawrence'a, któremu matka pozwoliła odejść od stołu przede mną. Wiedziałem, że go tu znajdę. Być może łowiącego ryby, być może zbierającego żaby do słoika czy odgrywającego jakąś rolę w teatryku, w którym chciałem uczestniczyć. Rzeka była miejscem z dala od rodziców, od dźwięków i zapachów domu, które w życiu innych dzieciaków budziły poczucie bezpieczeństwa.

Lawrence mógł stąd pójść w lewo lub w prawo. Wzdłuż brzegu ciągnęła się wąska ścieżka, długa, biegnąca na całe kilometry w obu kierunkach, na której mieliśmy swoje ulubione, tajne miejsca. Stał tam sześciolatek, który ścierał okruszki z podbródka i próbował zgadnąć, w którą stronę skrócić w pierwszej kolejności. Usłyszałem wtedy krzyk Lawrence'a dobiegający ze wschodu. Teraz też go słyszę.

Biegnę z opuszczoną głową pod pochylającymi się gałęziami wierzb, których końcówki uderzają mnie w plecy niczym bicz. Dwukrotnie niemal wpadam z wilgotnej ścieżki do wody, ale wymachuję rozpaczliwie ramionami i odzyskuję równowagę. Po drodze kołaczę mi się po głowie to samo pytanie, które zadawałem sobie za pierwszym razem.

Czy krzyczysz w taki sposób, kiedy toniesz?

Wtedy w to wątpiłem. Nie chodziło o to, że mój brat zsunął się do wody lub miał wypadek, który naraził go na niebezpieczeństwo, ale że mógłby wydać z siebie taki dźwięk. A to dlatego, że jego krzykowi towarzyszyło raczej przerażenie niż wołanie o pomoc. Przerażenie związane z czymś innym niż rzeka, która go pochłonęła.

Nagle dociera do mnie odpowiedź. Jako chłopiec nie byłem w stanie jej dostrzec.

W taki sposób krzyczysz tylko wtedy, kiedy jesteś topiony.

Lawrence obserwuje, jak wyłaniam się zza drzew i stoję na skale płaskiej niczym stół. Czeka na mnie. Wściekle kopie kamienie zanurzone kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią i wyciąga mocno szyję, żeby zimny prąd nie zalał mu płuc. To chwila, która kiedyś naprawdę trwała sekundę czy nawet mniej. Teraz jednak, kiedy powraca, została spowolniona. Ujawnia prawdę, która wówczas przeminęła w mgnieniu oka. Poza tym wtedy byłem za mały, żeby ją zrozumieć. Para prawd.

Lawrence patrzy mi w oczy z przeciwnego skraju rzeki. Z Tamtego Miejsca, do którego nigdy się nie zbliżaliśmy. Z brzegu, którego się baliśmy. Z miejsca, w którym stała Tess w swoim śnie na żywo.

Drugą rzeczą, jaką dostrzegam, jest mój ojciec stojący nad Lawrence'em. Jedną z jego wielkich dłoni spoczywa na plecach mojego brata, a drugą ręką ściska mu szyję.

Nie próbuje go wyciągnąć. Wciska go pod wodę.

I udaje mu się.

Ojciec czekał także i na mnie. Żebym był świadkiem. Żeby pozostawić ślad na mojej duszy.

Lawrence miota się rozpaczliwe w płytkiej wodzie. Leży poziomo, jakby bezskutecznie uczył się pływać, a mój ojciec był jego nieważnym nauczycielem. To układ, który wówczas błędnie rozumiałem — ojciec usiłujący złapać uchwyt, żeby go podnieść, wierzganie mojego brata utrudniające ratunek. Wystarczające zamieszanie, żeby stworzyć alternatywną historię. Kłamstwo, które wmawiałem sobie po dziś dzień.

Ale kiedy Lawrence nieruchomieje, a ojciec podnosi wzrok, nie ma wątpliwości, co wyrażają jego wytrzeszczone oczy. Triumf nienawiści, jakby składał sobie samemu gratulacje, że odebrał jednocześnie trzy życia.

Choć to mój ojciec trzyma Lawrence'a pod wodą, jest tylko ciałem. Kiedy obserwuję całe zajście, jego twarz się zmienia, ukazując to, co jest pod spodem. Kanciasta czaszka. Ostry podbródek. Policzki — za szerokie, za wysokie — rozpychające skórę. Widzę, jak faktycznie wygląda Nienazwany. To oblicze Beliala.

To jednak okazało się niewystarczające, by zadowolić złowrogiego demona.

Puszcza mojego brata i wraca do swojej pierwotnej postaci. Spogląda na dół. Na to, co zrobił. A potem na mnie.

Mój ojciec. To już nie Belial ani żaden duch. To ojciec spojrział w oczy swojego młodszego syna i przekazał jego sercu prawdę.

To powinieneś być ty.

Gdzieś z ciemności dobiega wołanie O'Brien. Odległy skrzek.

— David!

Biegnę z powrotem tą samą drogą. To tylko kilkaset metrów, choć wydaje się dużo więcej. Rzeka opływa brzeg i chlupie pod stopami. Moje serce zmienia się w węzeł bólu, który szuka drogi ucieczki pomiędzy żebrami.

Znów słyszę jej głos, tym razem słabszy. To właściwie nie krzyk, a puste echo.

— Biegnij!

Zachęca mnie do szybszego powrotu czy do ucieczki? To bez znaczenia. Bielal jest tutaj. Wiem o tym. Widziałem go. Jednak krzyk O'Brien sprawił, że przynajmniej na chwilę oswobadzam się spod jego wpływu.

Kiedy wypadam pomiędzy wierzb i wbiegam na zbocze, w pierwszej kolejności zauważam białą furgonetkę. Wygląda na nową. Wóz z wypożyczalni, tablice z Ontario z napisem: TWÓJ ŻEBY ODKRYWAĆ. Stoi za chatą, zaparkowany przed mustangiem.

Po chwili dostrzegam O'Brien. Leży przy tylnych drzwiach chaty, z głową niewygodnie opartą o drewno i luźno rozrzuconymi kończynami. Jej nogi podrygują w niekontrolowany sposób, a język raz za razem oblizuje blade wargi, jakby na próżno szykował się do wygłoszenia przemowy.

Na samym końcu widzę rany, kiedy więc klękam przy niej, zauważam jednocześnie, że to, czym ją pocięto, po zostawiło wzór krzyża na jej piersi. Krew barwi tkaninę koszuli.

— Musisz iść — mówi chrapliwie.

— Nigdzie się nie wybieram. Muszę cię zabrać do szpitala.

— Żadnych szpitali.

— Tu chodzi o coś innego.

— Nie dam rady, nawet gdybyś spróbował.

Bierze wdech, a wraz z nim otwierają się pulsujące rany. Zakrywam je dłońmi, ale jest ich zbyt wiele. Jest ich zbyt wiele. Jej ciepłe ciało szybko stygnie, wystawione na działanie powietrza.

Mimo wszystko jest spokojna. Wywraca oczami, patrząc w jakiś punkt gdzieś nad moją głowę. Żadnego strachu czy oznak cierpienia. Ostatni zastrzyk adrenaliny. Ostateczna wizja. Prawdziwa bądź nie.

— Widzę ją, Davidzie.

— Kogo widzisz? — pytam, choć już znam odpowiedź.

- Ona... czeka na ciebie.
- Elaine...
- Trzyma się. Ale... cierpi. Ona...
- Elaine. Proszę...
- ...chce, żebyś też uwierzył.

O'Brien opuszcza wzrok i obejmuje mnie spojrzeniem. Tylko w taki sposób można to określić. Obejmuje mnie spojrzeniem, jakby chciała, żebym przywarł do niej i usłyszał ostatnie uderzenia jej serca. Nie ma siły unieść dłoni, nie może mnie przytulić, więc robi to za pomocą oczu. Jej uśmiech gaśnie.

Kiedy przybliżam się do niej, już nie żyje.

Zapada cisza. Nie w tym sensie, że milkną ptaki czy przestaje powiewać wiatr. To cisza, jaka panowała przez cały czas. Za plecami słychać szum rzeki. Woda obmywa kamienie.

Opieram się o futrynę naprzeciw O'Brien. Na niebie uformowały się chmury, w których można by doszukiwać się na przykład kształtów zwierząt czy twarzy, ale ja nic dostrzegam. Mam wrażenie, że powinienem coś poczuć. Cokolwiek. Smutek. Gniew. Ale odczuwam tylko wyczerpanie.

I jestem świadomy, że ten, kto zabił O'Brien, nadal tu jest.

Jakby za sprawą własnych myśli, dostrzegam postać, której nie widziałem wcześniej. Stoi po kostki w wodzie, pochylona, z zanurzonymi dłońmi. Jest zajęta czymś, czego nie widzę z tego miejsca.

Przez chwilę przemyka mi przez głowę chęć ucieczki. Być może udałoby się niepostrzeżenie wstać, okrążyć chatę i dotrzeć do mustanga, a potem błyskawicznie ruszyć w drogę. Ale on wie, że tutaj jestem. Wie dobrze, co chodzi mi po głowie, a jednak pozostaje na to obojętny.

Tropiciel odwraca głowę tylko raz, kiedy schodzę po zboczu i zatrzymuję się kilka metrów za jego plecami. Jestem wystarczająco blisko, żeby dostrzec przesiąknięty bandaż, którym owinął głowę. Żeby zobaczyć, jak myje nóż. Długie ostrze o rękojeści pokrytej gumą. Nóż, który zostawiliśmy przy nim na poduszce w motelowym pokoju.

Zerka przez ramię i na mój widok szczerzy zęby w uśmiechu. Oczywiście nie ma w tym uśmiechu żadnego ciepła. Patrzy na mnie w sposób, w jaki jedno zwierzę patrzy na drugie, kiedy stara się uśpić jego czujność przed gwałtownym atakiem.

Powoli się odwraca, by stanąć na wprost mnie. Stopy nadal ma zanurzone

w wodzie. Prąd rzeki porywa odbarwione pióropusze zmywane z ostrza noża, jego nogawek i palców.

— Zszedłeś tutaj po to, żeby umyć nóż, czy dać mi czas na ucieczkę?

— Nigdzie się nie wybierasz — odpowiada. — Unieruchomiłem twój samochód.

— Mógłbym pobiec.

— Daleko byś nie uciekł.

— Jest jeszcze twoja furgonetka.

— Owszem — przyznaje. Wyciąga kluczyki z kieszeni i macha nimi w powietrzu.

— Jest jeszcze furgonetka.

W jednej chwili docierają do mnie wszystkie jego zamiary i choć próbuję, nie jestem w stanie opanować drżenia. Tropiciel dostrzega to i znów się chłodno uśmiecha w ten swój szczególny sposób.

Wyciąga jedną stopę z wody i stawia na brzegu.

— Dlaczego furgonetka? — pytam, bo rozmowa jest lepsza od ciszy.

— Żeby posprzątać.

— Wydawałoby się, że miejsce takie jak to idealnie nadaje się do ukrycia dwóch ciał.

— Zakopanie nie jest właściwym sposobem — odpowiada, potrząsając głową, jakby był rozczarowany faktem, że ludzie wciąż popełniają ten sam błąd. — I wiesz co? Nie podoba mi się to miejsce.

Tropiciel wyciąga drugą nogę z wody i się wyprostowuje. Po raz pierwszy zauważam krew na jego kurtce. To nie rozprysk krwi O'Brien — choć te widoczne są wszędzie, na jego policzkach, nawet na czubku nosa — ale rozcięcie z boku, tuż nad biodrem. Owalna plama na bawełnie.

Podąża za moim wzrokiem. Kiwa głową w reakcji na otwór w swoim ciele, jakby było to coś przeciętnie niewygodnego, czym będzie musiał zająć się później. Jak wizyta w pralni albo podjęcie gotówki z bankomatu.

— Twoja dziewczyna ostro walczyła, jak na chorą panienkę — mówi.

— Lubisz zabijać kobiety?

— Jeśli chodzi o zabijanie, nie ma mowy o lubieniu czy nielubieniu.

— Twoi pracodawcy... Czego się obawiają?

— Nie muszą usprawiedliwiać przede mną swoich decyzji.

— Więc zgaduj.

— Rzekłbym, że jesteś zbyt blisko czegoś — odpowiada i wychodzi na brzeg.

Wciąż stoi poniżej mnie, ale połowę dzielącego nas dystansu pokonał jednym krokiem.

— Czy Kościół nie skorzystałby na opublikowaniu takiego dokumentu? — pytam, rozmyślając jednocześnie gorączkowo nad planem, którego nie mam. — Mógłby zdobyć parę milionów wiernych dzięki samemu wybuchowi paniki.

— Oni nie zajmują się sprawami związanymi ze zmianą poglądów. Chodzi raczej o utrzymanie tego, co jest obecnie. O równowagę. Nie pozwalają, by jakiś pojeb wszystko spierdolił.

— To coś, w czym chętnie im pomagasz.

— Jestem facetem do wynajęcia — odpowiada, ale w jego głosie słychać słabość, która zdaje się zaskakiwać jego samego. — Zrobiłem to dobrych kilka razy.

— Morderca na usługach Kościoła. Czy to nigdy nie dotknęło sumienia ministranta z Astorii?

— Jesteś katolikiem, Davidzie?

— Moi rodzice nimi byli. Z nazwy.

— Nieważne. I tak wiesz, co to znaczy spełniać święte przykazania.

— „Nie zabijaj”.

— Najczęściej występujący wyjątek. Ale zaraz! To ty jesteś ekspertem, czyż nie?

Tym razem śmieje się szczerze, ale przerywa mu gwałtowny ból w boku, który sprawia, że na chwilę się pochyla, żeby za chwilę się znów wyprostować.

— Mógłbyś im powiedzieć, że uciekłem.

W jego spojrzeniu nie ma żadnego dowodu na to, że usłyszał moje słowa. Robi kolejny długi krok do przodu. I jeszcze jeden.

Oczekuje, że rzucę się do ucieczki. Ma lekko rozłożone ręce, ugięte kolana, gotów do skoku, kiedy tylko ruszę w górę zbocza. Zakłada pewnie, że zdoła mnie dopaść, zanim w ogóle zrobię pojedynczy krok.

To dlatego jest kompletnie zaskoczony, kiedy wpadam na niego.

W ogóle nie myślę o nożu. Nie myślę o niczym, poza szybkością. Docieram do niego, zanim wyszkolone reakcje pozwalają mu wykonać ruch.

Prawie mi się udaje. Uderzam wnętrzem obu dłoni w jego pierś, kiedy unosi nóż, dzięki czemu udaje mi się uniknąć trafienia. Rozcina tylko kołnierzyk mojej koszuli. Czerwona linia od ramienia do ramienia.

Ponownie unosi ostrze — bez wahania w przeciwieństwie do mnie, który musi się zatrzymać na ułamek sekundy, by się zastanowić — kiedy popycham go kolejny raz.

To coś zaledwie odrobinę silniejszego od trącenia, podobny gest, na jaki można natknąć się w metrze w godzinach szczytu. Ale to wystarcza, by lekko się zatoczył, aby stopą zaczął szukać oparcia z tyłu. Trafia jednak na kępę darni i wpada w poślizg. A ja znów nacieram.

Upadamy obaj w dziwacznych objęciach, z których żaden z nas nie może się wyzwolić. Ja na górze, on na dole. W ten sposób wpadamy do wody.

Obłąkana szamotanina. Ręce uderzające na boki. Dławiąca woda, która wdziera się do ust.

Nie ma żadnej walki, jedynie próby utrzymania głów nad powierzchnią. Czuję pod sobą, że strach Tropicielea osiąga taki sam poziom jak mój. Zamiast jednak wzbudzić to we mnie wahanie, jego przerażenie dodaje mi sił. Chcę, żeby doświadczył go jeszcze mocniej. Obietnica osiągnięcia tego celu sprawia, że wszystko przyspiesza.

Przyciskam kolanem jego łokieć. Nie może dźgnąć mnie w brzuch czy pierś, więc koncentruje się na moich rękach, które zaciskają się na jego gardle, szukając tchawicy. Przyciskam go całym ciężarem na prostych ramionach. W jego szyi wyczuwam jakieś miękkie kliknięcie. Znów próbuje mnie zranić, aż w końcu ostrze trafia podstawę mojego kciuka. Nabiera tempa dzięki pierwszemu cięciu. Krzyczący rozprysk krwi. Zaczyna ciąć, równomiernymi ruchami piłując tkankę. Potem kość. Nie przestaje, nawet kiedy jego twarz zmienia kolor z karmazynowej na fioletową, a potem na niemal czarną. Ale ja nie puszczam. Ból jest ogromny, jakby jakieś uwięzione we mnie zwierzę usiłowało szponami rozerwać sobie drogę na zewnątrz. Ostatnie szarpnięcie i nóż Tropicielea dociera na drugą stronę, a mój palec wpada do wody. Odpływa natychmiast, podskakując na powierzchni i ciągnąc za sobą oleistą plamę. Odprowadzam go wzrokiem. Czuję, jak życie wypływa ze mnie i jak przestało wypływać z człowieka, którego głowa znalazła się pod wodą. Nadal nie puszczam. Obserwuję, jak z jego nozdrzy i ust wypływają bąbelki. Jest ich coraz mniej, aż w końcu znikają całkowicie.

Biel braku przytomności przesłania mi widok. Ale nie puszczam. Nie puszczam nawet, kiedy opadam w dół.

Później też nie puszczam.

- III -
PRZEZ
EDEN



Biel.

A potem, kawałek po kawałku, znów ujawnia się świat.

Siedzę w samochodzie przy rzece. Przede mną stoi furgonetka z tablicami z Ontario. TWÓJ ŻEBY ODKRYWAĆ.

Krew.

To widok krwi przyspiesza bieg cząsteczek materii — kierownicy z napisem Ford na klaksonie, iPhone'a na tablicy rozdzielczej, myśliwskiego noża leżącego na pustych kubkach po kawie w uchwycie — wraz z bólem. Dodaje mu charakteru. Improwizuje.

Odciął ci kciuk Opatrz to.

Głos w mojej głowie. Pomocny, ale i pilny.

Powstrzymaj krwawienie albo znów stracisz przytomność i już jej nie odzyskasz.

Głos Tess. Nigdy nie była specjalistką od pierwszej pomocy, nigdy nie radziła sobie z nieprzyjemnymi widokami. Ale teraz wydaje się wiedzieć, o czym mówi.

Spoglądam na tylne siedzenie i dostrzegam rozpiętą torbę. Bielizna, bawełniane koszulki, odkręcona tubka z pastą do zębów, która zabrudziła niebieskim żelem parę skarpetek. Chwytam jedną z koszulek i zawijam wokół kikuta. Patrzę, jak krew przecieka przez materiał. Mapa powiększających się wysepek.

Sięgam po iPhone'a i drugą ręką wciskam 911. Odpowiada mi krótki, melodyjny sygnał błędu: „Brak połączenia”.

Coś popycha mnie do otwarcia innego okna na ekranie telefonu. Przechodzę do funkcji dyktafonu z listą nagrań. Znajduję jedno z nich i dotykam przycisku odtwarzania.

Ryk powietrza. Szybka jazda z opuszczonymi szybami. A potem głos. Przecina hałas w tle, jakby miał nad nim władzę.

— Wierzy pan w Boga?

Młody, damski głos, choć nie należy do dziewczyny, złożony z nieobecności — nie ma w nim żadnej modulacji, żadnego wahania. Fakt niemożności opisanego głosu czyni go nieludzkim.

— Nie wiem, czy Bóg istnieje. Nigdy go nie widziałem.

Mój głos. Znajomy, ostry ton, trawiony żalem. I jeszcze coś nowego. Nuta strachu.

— Ale widziałem diabła. I zapewniam cię, on jest zdecydowanie prawdziwy.

Spoglądam na tkwiący w stacyjce kluczyk. Obracam go, ale silnik nie pracuje. Świece. Tropiciel nie blefował.

Otwieram kolaniem drzwi po stronie kierowcy i na próbę stawiam stopę na ziemi. Jest coś, czego nie mogę pozostawić. Coś, czego potrzebuję się nauczyć.

Pierwsze trzy kroki są nawet przyzwoite. Potem kolana mi miękną i przewracam się, upadam twarzą w żwir. Ale zanim dociera do mnie fakt upadku, że znów próbuję brnąć dalej, już jestem ponownie na nogach. Mijam narożnik i znajduję ciało leżące przy tylnych drzwiach.

Moja przyjaciółka.

Na jej twarzy maluje się coś, co mogłoby świadczyć o jej ostatnich odczuciach. Coś w rodzaju boskiego błogostanu. Ale równie dobrze może to być kolejna błędna interpretacja. Bo czy nie ma czegoś potencjalnie kpiącego w jej szeroko otwartych oczach, wpatrzonych prosto w słońce? Czy jej uśmiech nie jest pozostałością po okrutnym śmiechu? Rozbawieniu na myśl o tym, co czeka na mnie u brzegu rzeki?

Tam właśnie prowadzą mnie teraz stopy. Idę po trawie w kierunku szarego potoku. Woda chlupoce i płynie wśród kamieni, które wystają nad powierzchnię niczym wyblakłe czaszki.

Jednak nie pada blask z owych płomieni,

Lecz raczej ciemność widoma

Martwy mężczyzna leży w odległości kilku metrów od brzegu. Jego nogi poruszają się na lewo i prawo z prądem, jakby schładzały się od upału.

Kłękam w pobliżu ciała. Wyjmuję mu z kieszeni kluczyki, po czym kładę dłoń na nieruchomej piersi. Szukam pulsu serca, choć wiem, że go nie wyczuję. Jednak również zdaję sobie sprawę, że on przemówi do mnie.

Martwy mężczyzna otwiera oczy.

Powolny ruch mokrych powiek, którego pragnę w ogóle nie widzieć. I ust. Ich rozwarciu towarzyszy odgłos przypominający przewracanie sklejonnych kartek w książce.

Pochylam się i przysuwam bliżej ucho. Słyszę mokre grzechotanie, kiedy bierze

oddech. Odgłos piasku sypanego do studni.

Mówi do mnie. To już nie jest ludzki głos, ale głos kłamcy, któremu wbrew własnej woli muszę uwierzyć.

Martwy człowiek wypowiada jedno słowo i wszystko powraca.

Pandemonium..

Kieruję się z powrotem na południe furgonetką Tropicielea. Myślę tylko o tym, by trzymać się drogi i nie pozwolić, żeby znów zabrała mnie biel.

Tablica informacyjna najbliższego szpitala sprawia, że zjeżdżam z Parry Sound i wkrótce zatrzymuję się przy izbie przyjęć ze straszliwą historyjką o nieudanym remoncie domu. Chcą znać więcej szczegółów, ale odpowiadam tylko niejasno, że miałem wypadek z piłą obrotową. Lekarz notuje, że rana wygląda na zbyt poszarpaną, ale ja tylko proszę o morfinę i wywołuję śmiech uwagą, że poszarpany to dopiero będę, kiedy usłyszysz o tym wszystkim żona.

Pytają o to, gdzie podział się kciuk, a ja niemal odpowiadam, że zapewne dopłynął już do jeziora. Ostatecznie informuję, że nie pamiętam. Teraz to i tak już nic nie zmieni, prawda? Było, minęło. To tylko kciuk. I tak nie przydawał się podczas pisania esemesów na telefonie.

Zszywają mi ranę i nakładają opatrunek. Kiedy lekarz sugeruje, że powinienem zostać w szpitalu przynajmniej na jedną noc z powodu utraty sporej ilości krwi, wymyślam historię o bracie, który mieszka w pobliskim miasteczku i już właśnie po mnie jedzie. Czy mogę po prostu pojechać z nim?

Po dwudziestu minutach wychodzę na parking i idę do furgonetki Tropicielea z nadzieją, że nikt wewnątrz nie obserwuje, jak wsiadam i odjeżdżam.

Kiedy docieram do wjazdu na autostradę, spodziewam się usłyszeć sygnał policyjnego wozu patrolowego jadącego po mnie, ale ulice są puste. W końcu ruszam ponownie w stronę miasta i w kierunku granicy. O ile zdołam do niej dotrzeć.

Wkrótce z pewnością będą mnie szukać kolejni ludzie. Nie dlatego, że w nocy (a może nawet nad ranem, o ile jeszcze trwa sezon łowiecki) ktoś znajdzie ciało O'Brien czy Tropicielea, ale dlatego, że jego pracodawcy będą oczekiwali na telefon z informacją o wykonanej robocie. Kiedy się z nimi nie skontaktuje, wyślą kogoś, by sprawdził, co się stało. A kiedy znajdą to, co znajdą, przejdą do planu B i zmobilizują wszystkie środki, które będą mieli do dyspozycji. A to oznacza też policję. A nawet coś gorszego.

Po przeszukaniu chaty zorientują się, że jestem bliski zrobienia tego, o co

poprosił mnie demon. Najprawdopodobniej dotarłem dalej niż ktokolwiek przede mną, i choć początkowo chcieli mnie tylko śledzić, żeby poznać charakter mojej wyprawy, teraz w grę wchodziło już tylko wyeliminowanie mnie z gry.

Mógłbym się ukryć, spróbować to przeczekać. Ale takie rozwiązanie ma kilka oczywistych wad. Po pierwsze, znajdą mnie. Po drugie, ludzie, dla których pracował Tropiciel, pragną zdobyć dokument z taką desperacją, że podwoją wszelkie wysiłki w każdej godzinie, w której pozostaję poza ich zasięgiem. I po trzecie, jeśli mam jakiegokolwiek szanse na odzyskanie Tess, to właśnie teraz, ponieważ dzisiaj o 18:51:48 wszystko zostanie stracone.

A to oznacza, że jak najszybciej muszę się dostać do Nowego Jorku.

Pandemonium.

Mógłbym spróbować dotrzeć na lotnisko w Toronto i złapać najbliższy lot na LaGuardia, ale porty lotnicze to trudniejsze przejścia graniczne niż mosty. Kamery, kontrole paszportowe, cło. Kiedy człowiek ucieka — niezależnie skąd — lotniska są kiepskim pomysłem na odwiedzinę.

A to oznacza, iż muszę pozostać na drodze, mimo że prowadzę samochód martwego człowieka. Człowieka, którego sam zamordowałem.

Zostawiam centrum Toronto z jego wieżowcami i smukłymi willami w tylnym lusterku i zjeżdżam na Drogę Królowej Elżbiety, autostradę prowadzącą do granicy z USA. Dwukrotnie mijam zaparkowane na poboczu wozy patrolowe policji Ontario, czatujących na rajdowców, ale służby porządkowe nie wydają się mną interesować. Mam szczęście, ponieważ trudno byłoby dotrzeć do mostu Rainbow na granicy w furgonetce wypożyczonej na nazwisko George Barone, czy jakiego tam nazwiska Tropiciel używał. I tak w ogóle nie pozwoliliby mi odjechać. Nie facetowi w poplamionej krwi kurtce, który niedawno stracił kciuk.

Kiedy dojeżdżam do Grimsby, zatrzymuję się przy sklepie 7-Eleven, żeby kupić opakowanie tylenolu, sześciopak red bulla, okulary przeciwsłoneczne, gotową kanapkę z jajkiem i sałatą, a w dziale z odzieżą, który okazuje się pojedynczym regałem, bejsbolówkę Red Soksów, koszulkę z napisem: GO! LEAFS! GO! i wiatrówkę z emblematem: „Goodyear Racing Team”. Wszystko się przyda. Pozostaje jeszcze zmiana samochodu na inny.

Po minięciu Saint Catherine wbijam się na podmiejskie skrzyżowania i kilka razy skręcam w losowo wybrane ulice. Zjeżdżam z szosy w sam środek wiśniowego sadu i porzucam furgonetkę obok kanału nawadniającego. Zakrywam dach najlepiej, jak potrafię, za pomocą leżących na ziemi gałęzi. Następnie skradam się wzdłuż drzew

w kierunku gospodarstwa, przy którym stoi poobijana toyota. Podchodzę cicho do drzwi, wypowiadając cichą modlitwę, podświadomie skierowaną do O'Brien.

Działa. Drzwi otwierają się z jękiem i wchodzę do zabłoconego pomieszczenia pełnego płaszczy i butów, dziecięcych rękawiczek i poopieranych o ścianę kijów hokejowych.

Farmerzy lubią psy, prawda? Jeśli ten również ma psa, to pozostaje kwestią kilku sekund, zanim bestia coś wyczuje. Pozostaje mi jedynie spróbować uciec cztery kilometry w kierunku autostrady, a potem co? Przejechać autostopem przez granicę?

Posyłam do O'Brien kolejną modlitwę.

W żadnej z kieszeni nie ma klucza, co zmusza mnie do wejścia po schodach prowadzących do kuchni. Zaglądam do miski na owoce, potem do talerza na cukierki z drobnymi pieniędzmi stojącego obok aparatu telefonicznego, macam ciemne zakątki na szafie.

Gdzieś na górze w łóżku przewraca się ktoś ciężki. Po chwili robi to samo ktoś drugi, równie ciężki, trącony pewnie przez tego pierwszego. A może ktoś zbliża usta do czyjegoś ucha i szepcze: „Słyszałeś to?”.

Lodówka.

Ten pomysł przychodzi mi do głowy zupełnie niespodziewanie i jestem pewny, że powinienem tam zajrzeć. Ale kto trzyma cenne rzeczy w lodówce?

Nikt. Są jednak tacy ludzie, którzy wieszają na jej drzwiach plastikowy sznurek z haczykami na klucze.

W końcu jestem na zewnątrz, bez problemu uruchamiam samochód i odjeżdżam.

Kiedy docieram do końca drogi przy granicy posesji i opuszczam szybę, nie słyszę żadnego szczekania czy wystrzałów. Nie chcę ryzykować kolejnego włamania. Powtarzam sobie, że tym razem udało mi się, przynajmniej przez kilka następnych godzin, kiedy państwo Wiśniowy Sad obudzą się i zobaczą, że znikła ich toyota camry z 2002 roku.

Zwykle przed mostem stoi kolejka samochodów, których kierowcy oczekują na znalezienie się przy budce, podanie paszportu i wytrzymanie badawczego spojrzenia, po którym człowiek czuje się tak, jakby zamiast dwóch flaszek w bagażniku przewoził zaszyte torby z heroiną. Liczę na drobne opóźnienie, żeby przygotować historyjkę i odpowiedzi na typowe pytania.

— To nie jest pański samochód.

Pracuję w wiśniowym sadzie. Właściciele wysłali mnie ze sprawą do załatwienia przed rozpoczęciem

pracy.

— Ze sprawą do załatwienia w Stanach Zjednoczonych?

Tak

— A o co chodzi?

O drabiny. Do zrywania wiśni.

— Nie macie drabin w Kanadzie?

Oczywiście, że mamy! Nie są jednak tak dobre jak amerykańskie.

Tym razem nie zamierzam się nawet modlić.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, nie ma żadnej kolejki. Opuszczam szybę, żeby przywitać się z pięćdziesięciokilkulatkiem o szarej cerze nałogowego palacza. Wygląda nie tylko na podejrzliwego, ale i na nieszczęśliwego.

— Obywatelstwo?

— Amerykańskie. I kanadyjskie. Oba.

— Tak? — Mruga oczami. — Co się stało z pańskim kciukiem?

Wychyla się ze swojej budki, wyraźnie zainteresowany moim bandażem.

— Straciłem sukinkota.

— Jak to się stało?

— Podczas zbierania wiśni.

Kiwa głową, natychmiast tracąc wszelkie zainteresowanie, jakby co noc słyszał z tuzin takich usprawiedliwień.

— Proszę na siebie uważać — rzuca i zamyka okienko, chroniąc się przed chłodem.

Rezygnuję z autostrady I-90 i zamiast tego jadę krajowymi drogami w kierunku Gotham. Porzucam toyotę za restauracją Pizza Hut w Batavia. Właśnie otwierają parking z używanymi samochodami, kiedy wkraczam tam w swoim przebraniu — okularach przeciwsłonecznych, bejsbolówce i kurtce *goodyear* z postawionym kołnierzem — i za pomocą karty kredytowej kupuję czerwonego chargera stojącego na trawniku. Dziesięć minut później rzuca na tylne siedzenie mapę stanu i wjeżdżam na I-90, kiedy w końcu uznałem, że prędzej zgubię się na drugorzędnych drogach stanu Nowy Jork, niż dojadę najbardziej bezpośrednią trasą na sam Manhattan.

Pierwsze złe wieści docierają do mnie w pobliżu serwisu samochodowego w Schenectady, gdzie zatrzymuję się, żeby wygooglować swoje nazwisko na iPhone.

Pierwszy wynik niemal skręca mi wnętrzności: „Profesor z Uniwersytetu Columbia poszukiwany w sprawie krwawych morderstw”. Rozważam kliknięcie artykułu, ale wiem przecież, że znam tę historię lepiej niż ktokolwiek inny.

Wsiadam z chargeera i odchodzę.

Parkingi z używanymi samochodami nie wchodzi obecnie w rachubę, ponieważ moja visa uruchomi wszystkie alarmy, kiedy tylko zbliżę ją do terminala. Pozostaje mi udać się na najbliższą posesję i otworzyć drzwi wejściowe do pierwszego napotkanego domu, nawet bez zaglądania przez okna, żeby się upewnić, że w środku nikogo nie ma. Kluczyki leżą na stole w jadalni. Odgłos splukiwanej toalety w piwnicy mówi mi, że mam sekundę, może dwie.

Więcej mi nie trzeba.

W niecałe półtorej godziny dojeżdżam do Nowego Jorku, porzucam kolejny samochód i łapię pociąg na linii Hudson. Dołączam do ubranych w płaszcze i garnitury pasażerów, którzy zajmują miejsca i ukrywają się za egzemplarzami „The Timesa” lub smartfonami w drodze do pracy, spieszących do swoich boksów i przeszklonych kabin.

Poprawiam kołnierz i opuszczam nisko daszek czapki. Wyglądam przez okno, dzięki czemu moja twarz pozostaje widoczna tylko dla przechodniów, których mija jadący pociąg.

Z każdym kilometrem jestem bliżej ciebie, Tess.

I z przyprawiającym o drżenie chłodem, który działa niczym wirus, również bliżej tego, kto cię więzi.

Na Grand Central wjeżdżamy o siedemnastej, w godzinie szczytu, przez co jestem zmuszony do przeciskania się przez ciżbę w gorących tunelach. Połowa z przybyłych szuka taksówek, których nie można nigdzie dostrzec na zalanej słońcem ulicy. Dwóch gliniarzy przy drzwiach wejściowych na stację trzyma się w cieniu pod metalowym dachem, przyglądając się przechodniom w swoistym rytuale zachowywania czujności. Czy tego popołudnia ich priorytety obejmują również wypatrywanie Davida Ullmana widzianego ostatnio w ubraniu z 7-Eleven i z brakującym kciukiem prawej ręki? Jeśli tak, to ci faceci kiepsko wykonują swoją pracę. Patrzą na mnie, kiedy ich mijam, i odpowiadają spojrzeniem w stylu: „Nie blokować drogi”, po czym wracają do opowiadania sobie jakiegoś sprośnego dowcipu i wypatrywania terrorystów i dziewczyn w krótkich spódniczkach.

Mimo to nie wydaje mi się, żebym przez dłuższy czas miał pozostać niewykryty. Każda minuta, podczas której idę po rozgrzanym betonie w kierunku Chase Bank na 48. Ulicy, bez zwracania uwagi w stylu: „Widziałem tego faceta w wiadomościach!” przy wtórze wysypujących się z czarnych furgonetek mężczyzn w fluorescencyjnych kamizelkach FBI, jest minutą, na którą nie mogę wiele postawić. Ponadto zamiast kryć się w cieniu budynków, zeskakuję z chodnika przy każdej przecznicy i macham ręką na taksówki, rzucając się w oczy każdemu mijającemu mnie gliniarzowi. Jednak w końcu uznaję, że ryzyko wezwania taksówki jest dużo większe niż ryzyko związane z wmieszaniem się w tłum podobnie ubranych turystów. Upał gotuje moje ciało wewnątrz nylonowej kurtki, ale nie zdejmuję jej z powodu obawy rozpoznania, kiedy uniesiony kołnierz przestanie zakrywać moją twarz.

Po wejściu do banku dostrzegam każdą kamerę bezpieczeństwa na suficie, każdego strażnika ze słuchawką szepczącą do ucha. Potem przychodzi pora na nową porcję stresu, kiedy podchodzę do stanowiska obsługi, podaję swoje nazwisko i proszę o przekazanie zawartości skrzynki depozytowej. Asystentka menedżera przychodzi uścisnąć mi dłoń (nieco przejmujący pokaz public relations) i życzyć powodzenia. Czy tylko mi się wydaje, czy odchodząc, kobieta odprowadza wzrokiem

mnie oraz mężczyznę prowadzącego mnie do skarbcza? Czy kiedy przystaje, by porozmawiać z mężczyzną przy zewnętrznym biurku, patrzy na mnie przypadkowo czy celowo?

I tak nie ma już odwrotu. Zbliży się osiemnasta. Mniej niż godzina do... Właśnie, do czego? Staram się nad tym nie zastanawiać. Robię po prostu kolejny krok. Za chwilę dokument znajdzie się w moich rękach.

Pracownik banku podaje mi duże pudełko i zamyka zapewniające prywatność drzwi, pozwalając wyciągnąć walizkę. Sprawdzam, czy laptop i kamera wciąż są na swoim miejscu. Dwa egzemplarze sprzętu, które pół tuzina sklepów z elektroniką sprzedałoby za kilka tysięcy. Wcześniej służył on do nagrywania egzaminów studenckich i tańczącej podczas wiosennego recitalu baletowego Tess. Teraz zawiera nową historię świata.

Zamykam walizkę i wychodzę, żegnając pracownika skinieniem głowy. Zatrzymuję wzrok na obrotowych drzwiach wychodzących na zalaną słońcem ulicę. Jeśli będę patrzył tylko na drzwi, nikt mnie nie zatrzyma.

I nikt nie zatrzymuje. Jeszcze nie.

Przy krawężniku, tuż przed wejściem do banku, zatrzymuje się taksówka, więc wsiadam bezzwłocznie, jeszcze zanim jej pasażer kończy płacić za przejazd. Obniżam się tak, żeby podczas postojów w korkach widoczna była jedynie moja bejsbolówka. Wbijam wzrok we własne buty, żeby uniknąć spojrzeń kierowcy w lusterku.

— Grand Central — rzucam, kiedy włączamy się do ruchu. Dociera do mnie, że ostatnim razem, kiedy podawałem taksówkarzowi ten kierunek, skończyłem w Dakocie.

Ale nie tym razem. Nigdzie się nie wybieramy. Tkwimy w miejskim korku na Piątej Alei, który przypomina bardziej wąski parking dla czarnych lincolnów, żółtych taksówek i firmowych furgonetek.

— Proszę pojechać inną trasą — polecam kierowcy.

— Jaką inną trasą?

Wciskam pięć dych przez otwór w pleksiglasie, żeby zapłacić z nawiązką za dziewięciodolarowy kurs. Wsiadam i idę wzdłuż kolejnych zderzaków w kierunku krawężnika. Kiedy się upewniam, że w pobliżu nie ma żadnej policji, zaczynam biec.

Funduję sobie pozbawiającą tchu przebieżkę wzdłuż 46. Ulicy do Park Avenue. Przechodnie zajęci swoimi iPhone'ami uskakują w porę, kiedy podnoszą wzrok znad ekranów telefonów. Niektórzy są względnie rozbawieni („Ho-ho!”), inni zaskoczeni w typowo nowojorski sposób („Skurwysyn!”) czy po prostu wściekli („Chodź tu,

dupku jeden!"). Jednak nikt nie próbuje powstrzymać osiemdziesięciu sześciu kilogramów złości w postaci nieogolonego szaleńca.

Mijam narożnik, nie zwalniając, i niemal wpadam na pchającą wózek ze staruszką pielęgniarkę, która odprowadza mnie krzykiem. Kiedy ich mijam, oczy starca rozbłyskują, jakby przez cały dzień czekał na widok wymachującego rękami faceta o przekrwionych oczach.

Nie zwalniam, dopóki nie wbiegam do budynku dworca. Dopiero kiedy jestem w środku, dociera do mnie, że zostawiłem w taksówce portfel. Karty kredytowe, dokumenty, każdy ostatni dolar. I jest już za późno, żeby wracać i szukać taksówki w korku. Ale to nie ma znaczenia. Na co miałyby mi się to przydać? Zamierzam przecież wejść w inne miejsce, takie, w którym pieniądze nie mają znaczenia. W miejsce, w którym nawet moje imię nie ma znaczenia.

Zbiegam po kamiennych schodach do hali głównej, gdzie podróżni rozglądają się w poszukiwaniu peronu lub robią sobie zdjęcia na tle gigantycznej amerykańskiej flagi zwisającej z sufitu. Żaden z nich nie jest świadomy, że gdzieś pośród nich przebywa pradawny duch, który przejmuje ciała zmarłych, oraz żywy człowiek, który pokonał jedenaście tysięcy kilometrów, żeby się z nim spotkać.

Staję w pobliżu środka hali, rozglądam się i uważnie obserwuję górny poziom z barami i restauracjami w poszukiwaniu czekającego na mnie Beliala. Ale czego tak naprawdę wypatruję? Jaką formę zdecydował się przyjąć? Postanawiam wypatrywać znajomych postaci. Willa Jungera. Toby'ego. Jednej z siostrz Reyes. Raggedy Anne. Jednak nie widzę nikogo wyglądającego znajomo, żywego ani martwego.

Niespodziewanie zalewa mnie fala nudności. Popełniłem błąd.

„Wskazówki" nigdy nie były „wskazówkami", a cały „trop" stworzyłem sobie sam. Demon, jeśli kiedykolwiek w ogóle był prawdziwy, tylko się śmiał, obserwując, jak biegam w kółko w skali całego kontynentu. Człowiek zagubiony w każdym tego słowa znaczeniu.

A to oznacza, że Tess również jest zgubiona.

Wkrótce zjawi się policja. Znajdą mnie tutaj płaczącego wśród tłumu, przeklinającego wymalowane na suficie gwiazdy i okrutnego architekta, który zawiesił je na niebie i zaprosił tych z ziemi, aby szukali wśród nich nieistniejących wzorów.

Żegnaj, nadziejo, więc, a wraz z nadzieją żegnaj, mój lęku.

Stoi pod tym samym złotym zegarem, w którym zwykła stać O'Brien, kiedy przychodziłem się z nią spotkać. Obserwuje mnie z wyrazem zadowolenia, którego

nie potrafił okazywać za życia.

Mój ojciec. Ostatni żart Beliala.

Podchodzę bliżej i czuję emanujący z niego triumf. Czuję zepsucie powietrza, które pozbawione smaku napełnia mi płuca, ale i tak pozostaje odrażające. Mimo to jego twarz pozostaje bez zmian — maska ojcowskiej przyjemności, radość z ujżenia syna po długim rozstaniu. Powrót syna marnotrawnego.

— Nie masz pojęcia, jak długo czekałem na kogoś takiego jak ty — mówi ojciec swoim głosem, choć spłaszczona modulacja wskazuje na to, że tak naprawdę należy on do demona. — Inni byli już blisko, ale brakowało im siły, by wytrwać. Ale ty, Davidzie, jesteś człowiekiem zdolnym do niezwykłych poświęceń. Prawdziwy apostoł.

— Nie jestem twoim apostołem — odpowiadam, choć ledwie słychać moje słowa.

— Czy nie odpowiedziałeś, kiedy cię wezwałem? Czy nie byłeś świadkiem cudów? — Przenosi wzrok na trzymaną przeze mnie walizkę. — Czy nie masz w swoim posiadaniu nowej ewangelii?

Nie robię żadnego ruchu. To walka z nadchodzącą czernią. Wokół głowy ojca dostrzegam cieniste punkty. Czarna Korona.

— Daj mi to — nakazuje.

Robię nieświadomy krok w tył, oddalam się od jego wyciągniętej ręki.

— Myślałem, że chcesz, żebym to upublicznił — mówię. — Żebym przemówił w twoim imieniu.

— Będziesz mówił w moim imieniu! Ale dokument cię wyprzedzi. A wówczas, kiedy nadejdzie pora, opowiesz swoją historię. Spersonalizujesz dokument, umożliwisz ludziom zaakceptowanie go.

— Szuka mnie policja. Inni też.

— Poddaj się mnie, Davidzie, a ochronię cię.

— Poddać się? Jak?

— Wpuść mnie do siebie.

Ojciec zbliża się o pół kroku, ale w jakiś magiczny sposób pokonuje zarazem odległość, o którą się odsunąłem. Stoi tak blisko, że widzę i słyszę tylko jego.

— Sposób przekazania naszej historii jest równie ważny jak sama jej treść — tłumaczy. — Narrator musi stworzyć własną interesującą opowieść, a nie ma niczego bardziej interesującego jak poświęcenie samego siebie. Milтона też to dotyczyło. I Sokratesa. I Lutra. I Wilde'a. Ale oczywiście poza Chrystusem nikt nie zrozumiał, że

wiadomość przekazywaną w łańcuchach o wiele lepiej słyhać.

— Chcesz zrobić ze mnie męczennika.

— W ten sposób wygramy naszą wojnę, Davidzie. Nie z pozycji dominacji, ale oporu! Zdobędziemy serca kobiet i mężczyzn, pokazując im, w jaki sposób od samego początku Bóg tłumił ich pęd ku wiedzy. Zakazanego owocu.

— „Odtąd podniecę umysły ich, aby pragnęły poznać więcej i odrzucić zawistny zakaz”.

— Tak! Ugasisz pragnienie człowieka, który pragnie poznać prawdę o nas, o naszym niesprawiedliwym upadku, o okrucieństwie Boga i emancypacji ofiarowanej przez szatana. Równość. Czy to nie najszlachetniejsza sprawa spośród wszystkich istniejących? Demokracja! To właśnie przynoszę. Nie zarazę ani cierpienie. Tylko prawdę!

Ojciec uśmiecha się do mnie w tak obcy sposób, że drżą nawet mięśnie jego policzków.

— „Śmiałość, co każe, by się nie poddawać nigdy i nigdy nie korzyć”.

— W rzeczy samej! — mówi, uśmiechając się szeroko. — Ślubowanie pana naszego szatana.

— Ale zapomniałeś o wcześniejszych wersetach. „Nie wszystko jeszcze stracone; wola nieskruszona, wieczna nienawiść, myśl o zemście”.

— Jak już powiedziałem — mówi głos mojego ojca, choć nie słyhać już w nim tego humoru co przed chwilą — John został zmuszony do zamaskowania swojej prawdziwej sympatii.

— To nie było zamaskowanie. Zemsta. Nienawiść. To twoja jedyna motywacja. „Dobro wszelakie jest dla mnie stracone; Zło, będziesz moim dobrem”.

— Gra słów.

— To właśnie twój styl! Wywracanie słów na drugą stronę. Nie możesz używać ich do określania tego, co czujesz, bo nie czujesz niczego. Dobro za zło, zło za dobro. To określenia, które leżą poza twoim zasięgiem.

— Davidzie...

— Belialu. „Bez wartości”. Twoje największe kłamstwo to współczucie dla ludzkości. To dlatego ten, kto dostarcza dokument, jest równie ważny jak sama jego treść.

Ojciec zbliża się jeszcze bardziej. Jego rozmiary stają się tak wyraźne jak w moim dzieciństwie. Mimo to nie potrafię przestać do niego mówić. Przeświadczenia, które

same opuszczają moje usta.

— Przez cały czas sądziłem, że zostałem wybrany ze względu na doświadczenie. Ale to tylko pozory. Wybrałeś mnie, bo jestem człowiekiem kochającym swoje dziecko. A twoja historia nie opowiada niczego. Nie ma w niej dziecka. Ani miłości. Ani przyjaźni. Nie istniejesz w żadnej z tych płaszczyzn.

— Uważaj.

— Dlaczego? Nie możesz zwrócić mi Tess. To od samego początku było kłamstwem. Udało mi się poznać twoje imię i przynieść tutaj dokument przed nastaniem nowiu. Nic z tego nie ma znaczenia.

— Davidzie...

— Masz moc niszczenia, a nie tworzenia. Ani jednoczenia. Niezależnie od tego, gdzie ona teraz jest, nie możesz jej sprowadzić.

— Dlaczego jesteś tego taki pewny?

— Dlatego że znalazłem się tutaj z innego powodu niż z chęci niesienia tobie pomocy.

— Naprawdę? — mówi, znów pewny siebie, jakby czuł, że wygrał tę rundę. — Powiedz mi w takim razie.

Nie potrafię na to odpowiedzieć. Pozostaje mi rozejrzeć się po przestrzeni wielkiej hali. Chyba po raz pierwszy słyszę nie kakofonię, a chór ludzkich głosów. Czy komukolwiek tutaj będzie mnie brakować, jeśli węzowi się powiedzie? Co taki koniec oznaczałoby bez Tess? Bez niej jestem bez wartości.

Ale choć jestem sam, ci, którzy mnie mijają, nie są sami. Młoda matka pcha jedną ręką wózek, a drugą trzyma dłoń berbecia, który wyśpiewuje alfabet. Starsza para całuje się na do widzenia, schorowane dłonie mężczyzny spoczywają na policzku żony. Dwie kobiety w burkach podążają za parą Żydów, a tłum sunie za nimi, jakby podążał na spotkanie odzianych na czarno ludzi w mieście. Facet leący gdzieś w szpilkach i czerwonej koktajlowej sukience, z wymagającą wyprostowania peruką Marilyn Monroe na głowie. Obcy ludzie zmierzający do celu w wielkim terminalu.

Ale patrzeć na nich tylko w taki sposób nie odróżniałoby mnie od spojrzenia demona. Unieważniałoby ich imiona. Ich własne powody do poświęcenia.

— To nie należy do ciebie — mówię, ściskając oburącz uchwyt walizki.

— Twoja córka...

— Nie zamierzam...

— Twoja córka CIERPI!

Rozdzierający wrzask, którego echo odbija się od kamiennych murów wielkiej hali dworca. Jednak nikt nie usłyszał tych słów. Nikt też nie słyszy jego kolejnych słów.

— Ona PŁONIE, Davidzie!

Zbliżam się o krok do martwego ojca. Patrzę w jego oczy, usiłując dostrzec obecny w nim byt.

— Jeśli Tess jest w piekle, powiedz jej, że wkrótce do niej dołączę.

Zamierza odpowiedzieć z niewyobrażalną siłą jak wąż szykujący się do ataku. Uniesione ramiona, palce rozczapierzone niczym szpony. Ale powstrzymuje go coś innego niż mój opór. Odwraca głowę, jakby usłyszał gdzieś z boku jakieś wykrzywane ostrzeżenie.

Cofam się, a ojciec obserwuje mnie z czystą nienawiścią jak głodujące zwierzę, które pożera swoje młode.

Odwracam się odprowadzany wrzaskiem Beliala. Przenikliwym i metalicznym. Którego nikt nie słyszy. Poza mną.

Jeśli będę do niego dłużej patrzył, będę stracony. Nie dlatego, że mnie dopadnie, ale dlatego, że sam do niego pójde. Ciężar tej świadomości jest większy od walizki, którą niosę. Jej zawartość wydaje się tak ciężka, jakby była z granitu.

Idę więc. Odwracam się do ojca plecami. Czuję na sobie dławiący go rozpaczliwy żal, po części należący do niego, a po części do istoty, która w nim tkwi.

Jestem w połowie drogi do ruchomych schodów, kiedy dostrzegam policjantów. Dwie pary funkcjonariuszy wchodzące na halę z tunelu prowadzącego do baru Ostryga. A chwilę później po schodach w holu po przeciwnej stronie schodzi trzech facetów w garniturach, którzy cicho ze sobą rozmawiają. Ludzie, którzy przyszli tu po mnie.

Żaden z nich jeszcze mnie nie zauważył. A to oznacza, że muszę się ruszać.

Ale pozostaję na miejscu zmrożony pełnym udręki krzykiem Beliala. W jego głosie słyhać cierpienie, ale gdzieś w głębi swej głowy słyszę wezwania.

Chodź, Davidzie.

Brzmi bardziej rodzicielsko, niż brzmiał mój ojciec za życia. Ale wyczuwam w nim fałsz, udawaną miłość.

Chodź do mnie.

Nie mam już żadnego wyboru ani drogi odwrotu. Obracam się z powrotem w stronę ojca, który wciąż stoi pod złotym zegarem, kiedy dostrzegam znajomo

wyglądającą kobietę. Kogoś, kogo znałem.

Widzę tylko jej plecy. To tylko mignięcie w tłumie. Ale w następnej sekundzie już wiem, że widzę O'Brien. Nie kruchą, zgarbioną kobietę, ale wysoką i wysportowaną dziewczynę z Connecticut, zawsze z głową na karku, rzucającą żartobliwe docinki, widzę ją taką, jaką tak naprawdę nigdy nie przestała być.

Nie patrzy w moim kierunku. Podchodzi do kasy biletowej, zwrócona do mnie plecami. Ubrana w szary płaszcz, przecina strumienie podróżnych. Włosy ma proste i rozpuszczone.

Ruszam jej śladem, co sprawia, że skrzek Beliala zmienia się w ogłuszający ryk.

Kobieta przypominająca wyglądem O'Brien kupuje bilet i miesza się z tłumem, zmierzając w stronę bramy. Zmusza mnie w ten sposób do zmiany kierunku, przecięcia linii wzroku umundurowanych policjantów, którzy podskakują teraz, by przyjrzeć się przesuwającym się głowom niczym zmarszczonemu od fal jezioru. Nie próbuję nawet się maskować, uznawszy, że dziwaczne uniki przyciągnęłyby uwagę w stopniu dużo większym niż swobodne zachowanie. Przez cały czas próbuję nie stracić z oczu ciemnowłosej.

Kiedy podchodzę bliżej, zawroźnienie Beliala niespodziewane rośnie o kilka oktaw, by rozdzielić się na dwie części, z których jedna osiąga rejestr niższy niż grom, przyprawiający o mdłości bas. Jest tak głośny, że zaczynam się obawiać, czy nie rzuci na głowy przechodniów wszystkich zawieszonych w górze gwiazd.

Podświadomie podnoszę głowę.

Kiedy ponownie opuszczam wzrok, O'Brien już nie ma.

Przynajmniej tam, gdzie stała uprzednio. Odnajduję ją niemal natychmiast jakieś dziesięć metrów na lewo. Jakim cudem pokonała tę odległość w ciągu sekundy czy dwóch? Nie ma czasu na poszukiwanie odpowiedzi. Śledzę ją dalej, odpychając ludzi, mamrocząc przeprosiny, podczas gdy ona wydaje się przemieszczać, nie dotykając nikogo.

Kiedy do niej docieram, za późno uświadamiam sobie, że powinienem zabrać dłoń z jej ramienia.

Zwierzęcy zapach stodoły. Pleśni na mokrej słomie.

Odwraca się. A raczej to jej głowa okręca się na szyi, reszta wydaje się nieruchoma jak u postaci z wosku, która częściowo ożyła. Wygląda to tak, jakby jej twarz zawsze była skierowana do tyłu, a ona tylko rozchyliła włosy, by pokazać wytrzeszczone oczy, sterczące kości policzków i podbródka oraz czarne zęby.

— Idziemy, profesorze? — pyta Chuda.

Kiedy zaczynam się wycofywać, zdaję sobie nagle sprawę, że kobieta zaciska palce na moim nadgarstku. Jej dotyk jest tak zimny jak stal kajdanek. Każde szarpnięcie wywołuje w łokciu ból, który jasno dowodzi tego, że kości się rozdzielają, a więzadła rozciągają niczym guma.

— „A więc dłoń w dłoni i krokiem niepewnym” — recytuje Chuda spokojnym głosem, prowadząc mnie z powrotem w kierunku złotego zegara, pod którymi stoi Belial. — „Z wolna przez Eden ruszyli samotnie”.

Przemierzam się, nie czyniąc żadnego kroku, jakbym tańczył ze stopami ułożonymi na stopach partnerki. Gdzieś nad jej ramieniem, w poszerzającej się luce w tłumie, czeka na mnie ojciec. Jego pełne udręki krzyki przybierają teraz inną formę — tysiąca dzieci, śmiejących się na spektaklu bólu wybranej ofiary.

Próbuję wymyślić jakąś modlitwę. Święte imię. Werset z Pisma Świętego. Nie znajduję jednak żadnych słów, które można by wypowiedzieć i w które można by uwierzyć jednocześnie. Jedynie jej imię.

Tess.

W pierwszej chwili to tylko myśl. Potem je wypowiadam szeptem, który sam ledwie słyszę. To jednak wystarcza, by Chuda na chwilę się zatrzymała i zwolniła swoją wędrówkę. Pozwala mi chwycić moje ramię wolną ręką i wyszarpnąć je, a zarazem dać się kopnąć w łydkę.

Coś strzela u podstawy mojej szyi. *To tylko obojczyk*, mówi ktoś, ale okazuje się, że to ja. Czuję ból, przeszywający i gorący.

Ale jestem wolny.

Ponownie znajduję oparcie dla stóp na podłodze i się cofam. Chuda wydaje się przez moment zaskoczona, ale po chwili powraca jej pozbawiony życia półuśmiech. Patrzy na zegar nad głową Beliala. Wskazówka minutowa dociera do pięćdziesięciu.

Dwie minuty do wschodu księżyca. Do momentu, kiedy moja córka będzie należeć do niego.

Chodź, woła mój ojciec. Już czas, Davidzie.

Odwracam się od nich i dostrzegam drugą O'Brien, która znika w przejściu prowadzącym do Czwartej Bramy. Przyspieszam do truchtu, co ponownie wzmacnia wrzaski Beliala. Są jeszcze głośniejsze niż do tej pory.

Jeśli dotrę do bramy, zniknę z jego pola widzenia. Nic nie ma już znaczenia. Muszę tylko do niej dotrzeć. Z każdym nowym krokiem, który oddala mnie od ojca i przybliża do bramy, wycie demona słabnie. Czuję, jak jego uścisk słabnie.

Cisza.

Natychmiastowa i całkowita. Opuszczam halę głównego terminala i wkraczam na peron wraz z innymi osobami, które kończą rozmowy lub wrzucają do koszy puste puszki, szykując się do wejścia do pociągu i znalezienia dobrego miejsca. Znów słyszę dźwięki ze świata żywych. Ich kroki na kamiennym podłożu. Ich: „Niedługo będę w domu”.

Nie ma jej tutaj. Kobieta, którą wziąłem za O'Brien — ale która nią nie była, którą nią być nie mogła — zniknęła. Sobowtór, który musiałem sobie wyobrazić. Przywołane wspomnienie tego, jak zjawiała się w czasach, kiedy spotykaliśmy się na randkach, które nie były randkami.

Jakkolwiek iluzja ta okazała się pomocna, teraz nie ma pomocy znikąd. Nie ma drogi powrotnej. Jeśli w ogóle mam jakąkolwiek szansę ucieczki, to nie tutaj na dworcu, ale w pociągu. Ale nie mam przy sobie biletu — nawet nie mogę go kupić — co oznacza, że wyrzucą mnie na następnej stacji lub zadzwonią po ochronę. Ale ostatecznie się stąd wydostanę. Choć na chwilę będę z dala od policji i od tego czegoś, co wciąż na mnie czeka pod zegarem.

Czuję na ramieniu czyjąś dłoń. Silny i pewny uchwyt.

— Niezły strój, profesorze.

Odwracam się na pięcie i widzę ją tuż przed sobą. Wygląda na nieźle wypoczętą i mającą się dobrze. I jeszcze coś... na rozbawioną.

— Elaine. Jezu Chryste.

— Co? On też tutaj jest?

Chcę ją objąć, ale nagle opływa mnie zimna fala, która prawie pociąga mnie ze sobą.

— Proszę. Powiedz mi, że nie jesteś...

— Nie martw się — mówi, szczypiąc się w twarz. — Nie ma tu nikogo poza mną.

— Ale nie może cię tutaj być.

— Mam na to stanowczą ripostę. — Pochyla się w moją stronę, dzięki czemu czuję zapach perfum na jej szyi. — Zdecydowanie tutaj jestem.

— Czy ty jesteś...?

— Nie dają ci skrzydeł ani aureoli. Nic z tych rzeczy. Ale tak. Z tego, co mi się wydaje. Myślę, że tak.

W mojej głowie kłębią się setki pytań, ale O'Brien odczytuje je wszystkie i odrzuca potrząśnięciem głowy.

— Wsiądź na stacji Manitou — mówi, podając mi kupiony bilet. — Będzie tam zaparkowany biały lincoln z kluczykami pod lewą przednią oponą.

— Dokument. Potrzebuję czasu, żeby go gdzieś ukryć. Albo zniszczyć.

— Wybór należy do ciebie.

— Będą chcieli mnie dopaść.

— *Północ, północny zachód.*

— Nie rozumiem...

— Jesteś Carym Grantem, pamiętasz? Dobry człowiek wplątany w parszywe interesy. Pomyłka z tożsamością. Policja zna Tropicieła. Wie, co zrobił. A ty? Ty jesteś tylko profesorem, którego największym przewinieniem był mandat za przekroczenie prędkości. Bronisz się w jedyny możliwy sposób.

— I to zadziała?

— Słuszne wątpliwości. W przypadku winy to działa wystarczająco często. Musisz zrozumieć, że szanse są jeszcze lepsze w przypadku niewinnych osób.

Przykłada dłoń do moich policzków.

— Świetnie sobie poradziłeś — oznajmia. — Nie tylko od pobytu w Wenecji, ale przez całe życie. Chyba o tym wiedziałam, ale teraz widzę to wyraźnie. Walczyłeś od czasów dzieciństwa.

— O co walczyłem?

— O trudne sprawy, które większość z nas fałszywie uznaje za proste. O bycie dobrym. Nigdy nie odpuszczałeś. Zostałeś sprawdzony i przeszedłeś test, Davidzie.

Nie ma czasu na przytulenie. Dostrzegam to w jej uśmiechu. Ale i tak mnie trzyma. Czuję siłę, która przeze mnie przenika i zmniejsza ciężar walizki w mojej dłoni.

— Musisz wsiąść do tego pociągu — mówi, puszczając mnie nieoczekiwanie. — Właśnie do tego pociągu. W tej chwili.

— Ja...

— Tak, tak, wiem.

Robię, co mi każe. Wsiadam przez najbliższe drzwi i słyszę, jak zamykają się za moimi plecami. Pociąg już rusza.

Ostatni wagon, w którym się znajduję, jest zatłoczony, przeciskam się więc przez przejście, zerkając przez okna na peron, ale O'Brien już tam nie ma. Stojący pod łukiem gliniarz obserwuje odjeżdżający pociąg i węszy za nim, jakby próbował wyczuć trop w nieruchomym powietrzu peronu.

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko znaleźć jakieś miejsce. Przechodzę do następnego wagonu, który jest tylko częściowo zapełniony. Zatrzymuję się przy siedzeniach, patrzę na tyły głów, usiłując ocenić, które miejsce zapewnia najmniejsze szanse na przyciągnięcie uwagi gadatliwego współpasażera.

Nagle krztuszę się powietrzem.

Siedzi w drugiej części wagonu, przy samym oknie, wpatrując się w mrok mijanego właśnie tunelu. Warkocz w kolorze wina ledwie widoczny w szczelinie między oparciami foteli.

Wydaje mi się, że minęły całe wieki, kiedy tam docieram i siadam obok niej. Przez dłuższy czas żadne z nas nie wykonuje ruchu. Znajomy zapach skóry kojarzący się z pomarańczą, teraz wymieszany ze znikającym odorem mokrego siana i zwierząt trzymanyh w brudnej zagrodzie.

Jej bezruch kojarzy się ze snem, ale odbijające się w szybie oczy Tess są otwarte. Patrzy na nas. Na kredowe zjawy w oknie. Kiedy się odzywa, para z ust pokrywa nasze odbicia mgiełką.

— Tato?

— Tak?

— Czy jeśli się odwrócę, nadal tutaj będziesz?

— Jestem tutaj, jeśli i ty jesteś.

Pociąg przyspiesza pod ziemią, pod wyspą zamieszkaną przez miliony ludzi. Wkrótce znajdziemy się po przeciwnej stronie rzeki.

Odwraca się i widzę wyraźnie, że to ona.

To ona, a ja wierzę.

Podziękowania

Szczerze podziękowania niech przyjmą ode mnie następujące osoby: Sarah Knight, Marysue Rucci, Kate Mills, Jemima Forrester, Kevin Hanson, Alison Clarke, Amy Cormier, Dominick Montalto, Jonathan Evans, Jackie Seow, Molly Lindley, Esther Paradelo, Chris Herschdorfer, Jackie Levine, Anne McDermid, Monica Pacheco, Martha Magor, Chris Bucci, Stephanie Cabot, Peter Robinson, Sally Riley, Liv Stones, Howard Sanders, Jason Richman oraz krąg moich aniołów: Heidi, Maude i Ford.

Tytuł oryginału
THE DEMONOLOGIST

Copyright © Andrew Pyper Enterprises, 2013
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j.,
Poznań 2014

Redaktor prowadzący
Izabela Trońska

Redakcja
Paweł Wielopolski

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Na stronach rozdziałowych wykorzystano ilustrację
autorstwa Gustave'a Doré.

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-545-4

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. [61 853 27 51](tel:618532751), [61 853 27 67](tel:618532767), faks [61 852 63 26](tel:618526326)

Dział handlowy, tel./faks [61 855 06 90](tel:618550690)

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

